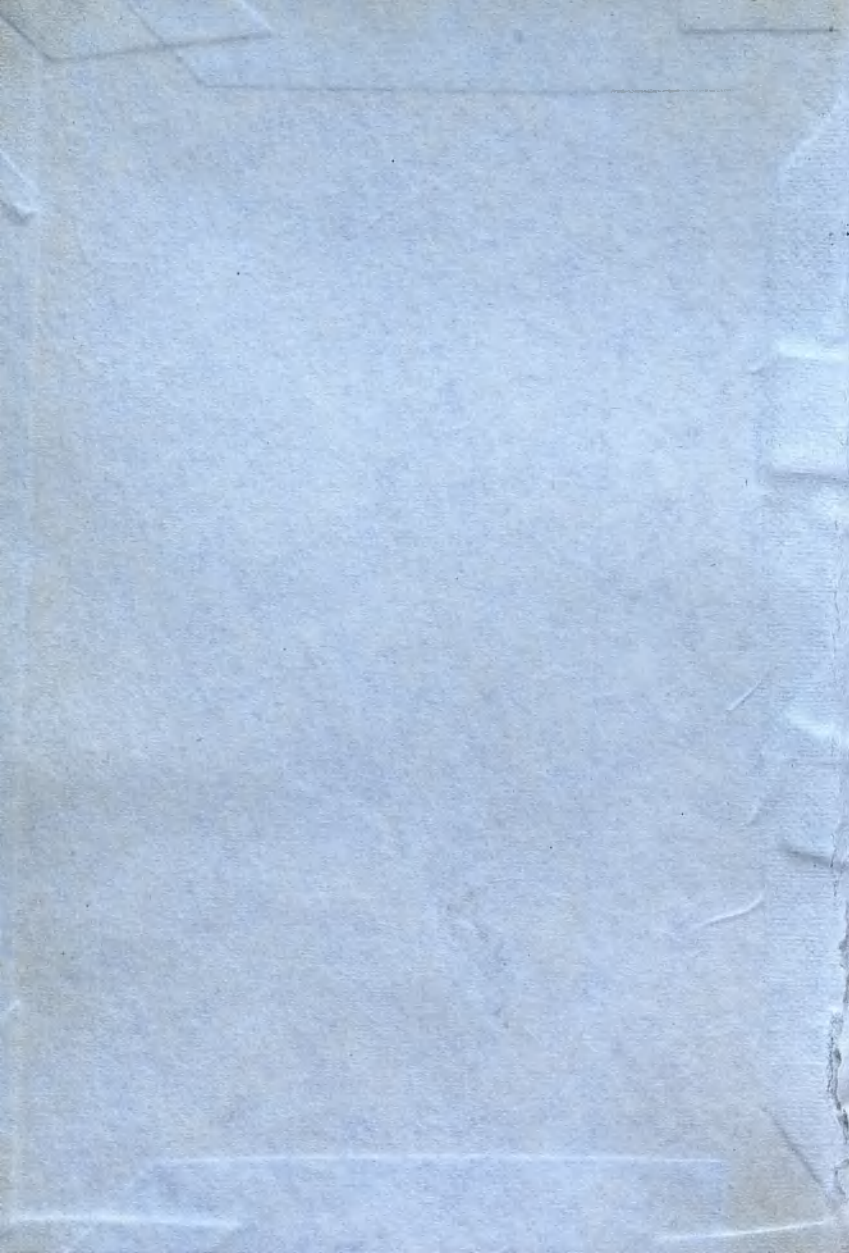






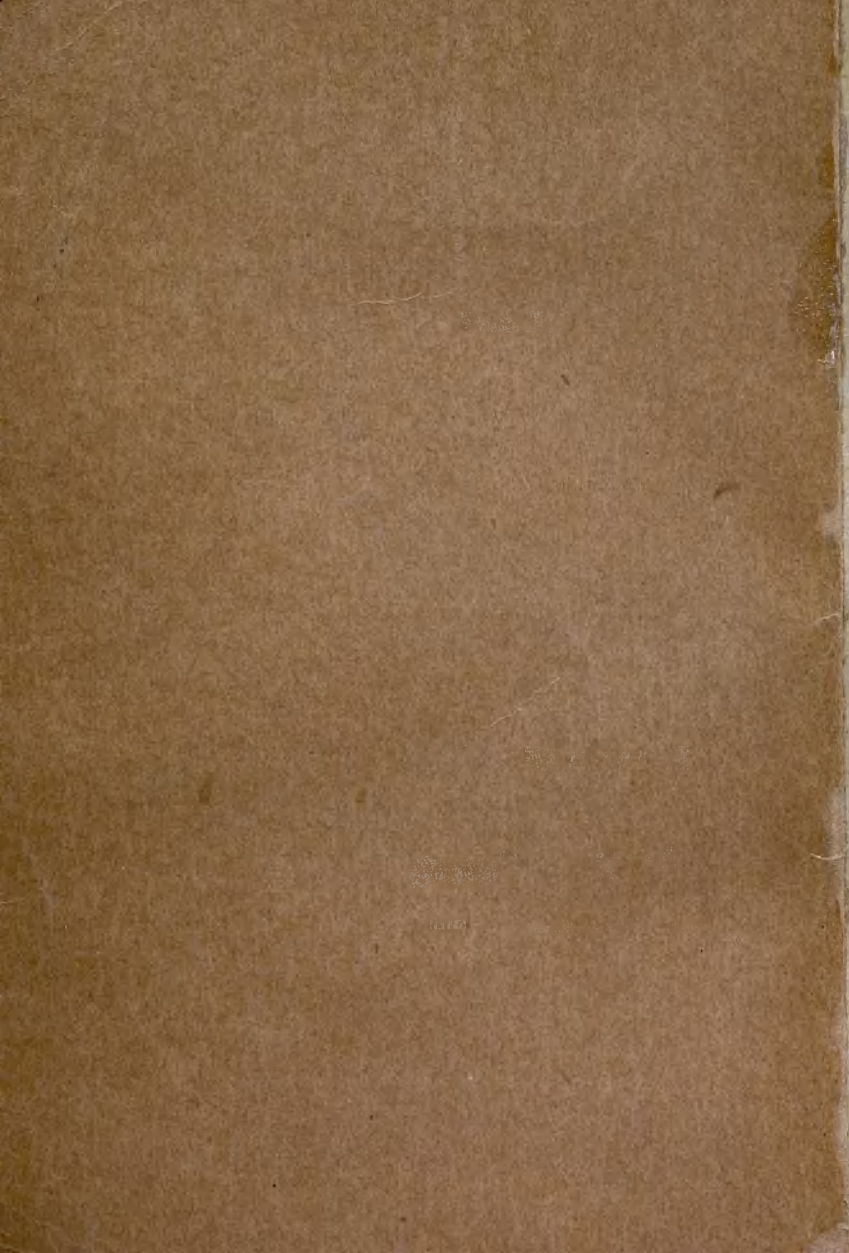
2838/66
Pierconia 5

STANISŁAW LIGOŃ

BERYIBOJKI
ŚLĄSKIE



JERUZOLIMA 1944



76



343729

I



Harold "Hocundra"
(Hauister Ligon)

STANISŁAW LIGON'
(K A R L I K Z K O C Y N D R A)

BERY I BOJKI
ŚLĄSKIE

WYDANIE SKRÓCONE

Z RYSUNKAMI AUTORA

JERUZOLIMA 1944

30 XI 45 / 1002 SL M 14 t e
SL 9 c 2

PRZEDMOWA DO DRUGIEGO WYDANIA

W roku 1931 wydałem idąc za namową swoich radiowych przyjaciół, pierwszy tomik tzw. „Berów i bojek śląskich”. W rok później ukazał się w druku tomik drugi.

Bezpretensjonalne te książeczki zawierały wybór dykteryjek i gawęd, które na przestrzeni trzech lat, poczynawszy od dnia otwarcia rozgłośni polskiego radia w Katowicach, co niedzieli jako „Karlik z Kocyndra” wygłaszałem. A że opowiadane były w jędrnej, śląskiej gwarze, zdobyły sobie powszechną popularność.

Pisząc wówczas — jak każe zwyczaj — przedmowę do wydawnictwa, nie przeczułem, że po upływie trzynastu lat, przypadnie mi w udziale opracowanie drugiego wydania, — jednak w jakże odmiennych warunkach. Wtedy jako szczęśliwy obywatel wielkiego, wolnego państwa, jako syn pięknej i bogatej ziemi śląskiej, o której wyzwolenie miałem także szczęście walczyć — dziś na tułaczce w obcym kraju, przeżywający od pięciu już lat tragedię swojej Ojczyzny, pełen bezbrzeżnej tęsknoty za umiłowanym krajem rodzinnym i z troską w sercu o los najdroższych. Czyż mogą być gorsze jeszcze warunki dla pisarza kłęczącego humor?

Nowe wydanie „berów” przeznaczone jest dla żołnierza na froncie i to mnie do pracy zachęciło, bowiem żołnierzowi naszemu, po trudzie i znoju dnia, należy się w wolnych chwilach trochę pogody i niefrasobliwej wesołości.

Pierwsze wydanie wymienionych książeczek dedykowałem tym swoim ziomkom, z którymi w „Kocynderskiej” pracy podczas walk o wyzwolenie Śląska uprawialiśmy wspólnie humor rodzimy krzepiąc nim serca rodaków w ciężkich chwilach.

Nowe wydanie poświęcam ich synom, którzy dziś na wszystkich frontach świata, pod znakiem Orła Białego walczą bohatersko o całość i niepodległość wspólnej nam, najdroższej Ojczyzny!

Niech tedy treść niniejszej książeczki spełnia tę samą rolę — jaką spełniały ongiś jej poprzedniczki.

Jerozolima, 1944 r.

Stanisław Ligoń





UO KUNSZCIE UOSPROWIANIO WICÓW (A NEGDOTEK)

Ludzie prowadziwie światowi mogom sie wdylki raduwać powodzynie i wzieniem w towarzystwie — obok naturalnie inkszych jeszcze zalet, wtencosz — jeśli poradzom uosprowiać wice — a casym jeszcze wienkszym, jeśli wcale nie uosprowiajom wiców...

Boć uo wiela dobry taki kawalorz raduje się zasłużonym i stołym uznaniem i każdy go rod widzi, to na uopach kiepski i usmołony uosprowiacz, kieremu się zdo, że nie ma lepszego nad niego, wzbudzo kole siebie wstrent i każdy by go nojlepiej wytrzas na pysk.

Momy śtyry zorty tak zwanych uosprowiaczy wiców a mianowicie:

1. uosprowiacz mo przy tym uosprowianiu zawsze gemba spokojno i poważno, za to ci, kierzy go słuchajom, trzymajom sie uod śmiechu zu brzuchy...
2. śmieje sie ten, kiery uosprowio i ci, kierzy go słuchajom...

3. uosprowiacz śmieje się jak koń albo jak „nagi w pokrzywach”, — zaś ci, kierzy go słuchajom, pozwieszajom smutno łeby i ani sie słóweckiem nie uodezwiom...
4. słuchajoncy chytajom za stołki, flaszki, śklonki albo inksze ciężkie rzeczy i pierom z śnimi uosprowiacza.

Takie som uokropne skutki kiepskiego i usmolonego uosprowiacza. W jakisik amerykańskiej gazycie cytołech roz tako uokrutno historyjo. Otóż jakiś taki usmolony uosprowiacz ze zorty nr. 4 uopedzioł kiejś za porzondkiem coś uoziem takich usmolonych i głupich kąsków. Ci wszyscy, kierzy go słuchali, wpadli w tako złość, że chycili pana brata za łeb, wywlykli go na dwór, uobloli petrolejem, zapolili, a potym dookoła niego tańcowali jakiś dziki, indiański taniec. Potym przywiązali do niego postronek i płowili go w rzyce, zaś jak go z tej rzyki wywlykli, to go potym włócyl po gościńcu przy pochodni. Zaś zbańturzone ze snu bez to larom matki dźwigały kole uokien swoje dziecka i padały: „Dziwejcie się kochane dziatki, jaki to koniec czeko takiego, kiero uosprowio głupie i stare bery. — Dowejcie pozór, coby i wos kiejś coś takiego nie trefiło.”

No i na uopach.

Jo znóm jednego karlusa, takiego se nic nieznaczonego i skromnego, kiero tam tak dalece nic nadzwyczajnego nie poradzi, (no troszyczka tam poradzi babrać na płótnie abo papierze, — myśla uo malowaniu, żebyście zaś niekierzy nie myśleli uo cymś inkszym,) — ale za to faron wiecie, poradzi uosprowiać, jak mało fto (sorta nr. 1). — I co z tego? Wszystkie kobietki uod szesnastego roku do lot stu przajom mu, pieszcom go i całujom, no a chłopci cęstujom go gorzółkom, piwskiem i nojfajniejszymi cygaretami (styry za pień groszy) — no i Bóg wie, cego by mu tam jeszcze nie dali i nie wiadomo, jakie go tam jeszcze szczęście skuli tego ceko! Jeno mu szczęście zowiścić, aże zowiścić.

Koždy uosprowiacz musi se zmiarkować trzy rzeczy, kiere som związane z jego fajnym kunsztym, mianowicie:

1. kąsek musi być krótki;
2. fajnie uopedziany;
3. koniec zaś nieuoczekiwany.

Nojważniejszym ze wszystkich jest punkt pierszy, to jest: zwieźłość. Długi kawoł jest, jak nie przymierzajonc, srogi komin

fabryczny, na kiery sie włazi na piechty. Toć widok z wierchu, jak sie tam wlasło — jest bardzo piekny, ale cóż, kiej tyn, co wloz, zmencół sie przy tym farónsko i wszystkiego mu sie potym uodechce. Uościonganie kawońka jak guminu, uosprowanie roztomaitych drobiozgów bez znaczynio psuje anegdotka i jeno droźni tych, kierz jom cierpliwie słuchajom. Słuchajoncy taki doprowadzony do uostateczności, kiej straci cierpliwość, może nawet popełnić mord, za kiery nie powinien być korany!

Joch som słyszoł roz, jak jedyn uosprowiol kawoń, a był to niby na pozór karlus ucony, ba, padali, że ponoć jakiś dochtór cy coś takiego. Uosprowiol tak:

Uopowiem państwu fajno dykteryjka. Ta rzec zdarzyła sie w niewielkim mieście. Miasto to było, jakech im już pedzioł, nie srogie, ale bardzo ruchliwe; leżało kajś nad Przemszom, ładowali tam na łodzie mouka, krupy, no i drzewo z pioskiem. Ludność tego miasta to byli przeważnie handlyrze, to jest tacy, co sie to zajmowali handlym. Skuli tego w tym miasteczku było moc szynków, w tych szynkach zaś tocyło sie kupa ludzi, popijali se gorzołka, piwo, selter, limonada. Roz do jednego z tych szynków — już-ech zapomniol blank, jak sie zwoł, może „Pod starym kokotem” — dość, że przyszoł tam roz taki naprany handlyrz. Dyć znocie, moi państwo, takiego napranego handlyrza, kiery to som nigdy nie wie cego by chcioł. Tóż kiej wloz, kozoł se jeszcze dać gorzoły, potym śtyry porcyje kielbasy z musztardom, potym gulaszu, no i piwa, piwa przede wszystkim! Siedzi se tak, je i pije — pije i je, a nad nim wisi klotka, a w tej klotce siedzi se kanarek, prowdziwy „harcer” i śpiewo jak sto drewien! Ja! Handlyrz słucho, słucho i uogarnył go zachwył. Toć wiecie, że kanarki śpiewajom bardzo pieknie, lotego tyż nazwali nawet wyspy Kanarskie jeich mianem. Handlyrz słucho tego kanarka, naroz woło kielnera. Przylatuje kielner, taki se zwyczajnie karlus z rubom paplom, poklabustrowanym szakiecie i cornom hadrom pod pachom — i pado: „Słuchom pana dobrodzieja, co moga dać!” — „Wiele kosztuje ten kanarek?” — „Tyn? kosztuje dwiesta złotych!” — „Kozcie mi go upiec na maśle”. Kielner spostrzezo, że handlyrz jest bogaty i może se na tako zochcianka pozwolć; sjon klotka z kanarkiem, a zaniós go nie padajonc nic do kuchni. Za mało chwilkla przyniós pieconka. „Sam majom, kanarka!”

„Ja?” Tóż dobrze, uchlastom mi tam za dwadzieścia groszy!”

Słuchacze zaśmiali się bez grzeczność, bo się myśleli, że „wic” już się skończył. Ale kaj tam, uosprowiaczowi było jeszcze żół rozstać się ze swoim pięćciomilowym „wicem”. Uobliznył się i zaczął uosprowiać dalej: — „No cóż tak gały na mnie wytrzyscosz? Urzezać mi tam z tej pieconki za dwadzieścia groszy i już!” Kielner zaś skrzeczy: „Jakoż to! Toch jo dło nich zmarnował takiego drogiego kanarka, to przeca nie idzie! — „Panie starszy! Radza im po dobroci, zawrzom się tyn pysk i nie godajom mi nic. Jo chca za dwadzieścia groszy kąszczek kanarka i już”. Zrobiło się larmo, uostuda i pranie. Poszli po policyjo i zdo mi się, że spisali protokół.

Wszyscy słuchacze siedzieli, jakby im chto gemby zaklajastrował, a jeden z śnich poszedł do antreja¹, wyszukał płoszcz uod tego usprowiacza i wypolił w nim cygarom srogo dziura.

Ftóż z was, mili moi czytelnicy, potempi go za to? — Wiem, że nicht...

Tóż z tego widzicie, jak się nie powinno uosprowiać „głupich kawałów”.

Taki kasek powinien mniej wiencyj wyglondać tak: — Bez uotwarte dzwierz jakiegos fajnego kafeju zaglondo cyjasik głowa: „Przebocom, cy majom napoleonsznita² ze ślagsanom³?

— „O ja jest, prosza bardzo, wlezom sam”. Włazi terozki cała figura. Sejmuje z łeba copka i pado głosym żałośliwym: — „Litościwi panockowie, dejcie mi kasek kołoca, boch już bez trzy dni nic nie jod!”...

Abo:

„Richard, cegóż się ty tak trzymosz za gemba?” — „No dziwej się, Karlik, ten buks chcioł mie piznońć w pysk. — „No jak cie chcioł, to cie przeca jeszcze nie piznył, czamu się tedy trzymosz?” — „No bo mnie piznył!” — „To trombo jedna, czamu godosz, że cie chcioł?” — „No mamlasie jeden, jakby przeca nie chcioł, to by mie nie piznył!”

Abo:

Na lotnisko w Poznaniu przyszło jakieś małżyństwo. Uon był handlyrzem, chcieli uoboje aeroplanym pofurgać do Gdań-

¹ do przedpokoju ² francuskie ciasto ³ z bitą śmietaną

ska, bo im strasznie było pilno. — Pilot uobejrzał se ta porka i pado, że nie może z śniemi polecieć, bo pado, że takie małżynstwo nie poradzi długo siedzieć cicho. Zacnom sie przegaduwać abo wadzić, rencyskami na prawo i lewo ciepać, uona, to jest ta żona tego handlyrza zanie mnie za renka szarpać, jo zapomnia uo motorze i może z tego być wielgie nieszczęście. — „Ale my nie bydziemy sie wadzić, bydziemy blank cicho, bo my z tej zorty małżonków, co se jeszcze przajemy. Mogom, panie pilot, być spokojni”. — „No, tóż dobrze”, pado pilot, „zabiera wos, ale pod warunkiem, że jak sie kiere z wos aby słówkiem uodezwie, to za każde słowo zapłacicie mi sto złotych”. — „Dobrze”, pado uona, „Ty Szmul, czy sie godzisz?” — „Godze sie”, pado Szmul. — Siednyli do aeroplanu i polecieli. Kiej przybyli do Gdańska, wyloz pierwszy pilot i uoglonął maszyna. Potem pado do pasażyra: „No, panie, trzymoć sie pan, ani słówkiem sie nie uodezwol?” — „Ani słówkiem”, pado pasażer, „ale uo mało co, to bychbył przegroł”. — „No, po jakiemu?” — „Ano jużech chcioł wrzasknoć, jak mi kole Bydgoszczy baba wyleciała z aeroplanu, alech se prendko, pysk zatkoł rencyskiem i anich pary nie puścił.” —

Tak, widzicie, mniej wiencyj trza uosprowiać.

Grzyj jednak, jak chtoś, co uosprowio, zanie uopisywać miejsce, kaj sie to stało, zanie godać uo latach swoich bohaterów abo jak uoni wyglondali, wtedy, bratowie, „kawoł” diobli weznom!

Nie ma tyż nic gorszego nad uosprowiaczy uoztargnionych abo zapomliwych...

Uopowiem państwu „coś wesołego”... Było to w roku tysionc łożiemset pięńcdziewieńćdziesiontym... Nie, co jo godom... w tysionc dziewieńćset... dziewieńćset... pierzyna... zaroz, w kierym to było roku?...

Ale smolić tam na rok... — wołajom słuchacze, uosprowiajom dalej!...

— Razem, razem! W mieście Jełabudzie mieszkoł jakiś Grek... nie... nie Grek a jakiś Ormianin. Hm? Nazywoł sie... jakóż sie to tyn pieron nazywoł... A to dopiero blank-ech se zaboczył...

— Ale smolić tam, jak sie nazywoł, dalej! — skrzecom słuchacze.

— Tóż tyn karlus pojechał se uokrentem... nie, przeprosom... nie uokrentem... poczoł se na piechty...

— Aeroplanem !!!

— Nie, wtencos jeszcze nie było aeroplanów. Naroz spotkoł jakoś staro pani... pani X. Chocioż nie... Uona była bardzo jeszcze młodo, bo była w poślubnej podróży. Ale nie, nie mogła być młodo, bo przeca nie miała zembów? Bo wiecie... przeca cały kawoł polygo na tym... A może tyż nie? Aha!...

— Jeśli chtoś takiego uosprowiacza zatrzaśnie, to nie jeno że nie dostanie kory, ale go jeszcze za to wynadgródzom! No toć inaczej być nie może...

* * *

Nieszczęściem w towarzystwie są też tak zwani: podpowiadacze wiców.

— Panie Karlik! Bydom tak dobrzy i uopedzom ten „kąsek”, co go to uosprowiali uońskiego tydnia... Takechmy sie z śniego uśmioli.

— Jaki kasek?

— No wiedzom, uo tym małym Żydku, co to prosił we szkole rehtora uo urlop. a kiej go sie rehtór spytoł. na co chce mieć urlop, pedzioł: „Mój tate pedzieli, co u nos w doma bydzie jutro uogień, że sie spolimy”. No, panie Karlik, niech nom to uopedzom!...

No, powiedzcie, moi mili czytelnicy, co mo wtedy zrobić taki Karlik?

* * *

Jak sie uosprowio wice, to trza sie jednak tyć troszka licyć ze składem słuchajonych.

Som „kawały” lo dziouch, som i lo wydanych kobiet, som też specjalnie „męskie”. Te kawały z trzeciej wymienionej kategorii można też uopedzić tej drugiej wymienionej kategorii, ale przodzi trza spenetrować, co i komu idzie pedzić. Ale broń Boże uopedzić coś takiego niewinnym uszkom dziuszek, dziepiero byś se narobił: Wszystko, co im uopowiesz, to stare, wyśmiejom sie z ciebie, to już downo słyszały! A jakże... Ano takie to już momy casy... Postemp — padajom wszyjscy!

Byłech kiejś w jakimś wienkszym towarzystwie u znajomych. Dziouszki obstompily mie i prosily, aby im Karlik uopedzioł jaki fajny kąsek, ale taki z musztardom.

— No, jo bych wom tam, dziubecki, pedzioł takiego wica, ale sie boja, czy tam w nim nie bydzie trocha za duzo tej musztardy!

— O, to nic nie szkodzi, uopedzom, uopedzom, Karliczku kochany!... Zarozki... (do matki:) Muterko, idźcie se ino na chwilka do drugiej izby i zawrzyjcie za sobom dźwierze!...

Ano, czy to nie „postęp”, powiedzcie moi państwo?...

* * *

No, na tym kończa swoja nauka „Jak uopowiadać dykteryjki, czyli kawały”. Myśla, że sie niejednemu z wos, moi kochani czytelnicy, przydo... prawda?

Do czytelnika: W tekstach uwzględniono w miarę możliwości wymowę panującą na Śląsku. Litera *u* przed *o* zwykle na początku wyrazów oznacza głoskę, która w gwarze śląskiej brzmi tak jak głoska oznaczona przez literę *ł*. Poza tym zachowano literę *ł* według pisowni ogólnie przyjętej — ze względu na łatwość czytania.



Z KOPALNI, HUTY, FABRYKI I INKSZEJ PRZEJENTNEJ ROBOTY

Podczas kąpieli w rzece jakiś robotnik wyratował tonącego dozorcę. Wdzięczny dozorca ściska rękę swego wybawcy i powiada:

— Mogom żondać uode mnie, cego chcom. Wszystko dlo nich zrobia.

Na to robotnik:

— Mom wielko prośba, panie majster. Niech, lo Boga, nic nie padajom moim kamratom, żech to jo jeich wyciongnoł z wody... bo miolbych się pierona z pyszna.

* * *

Jakiś robotnik uostoł przyjenty do fabryki, w kierej jednak nie uznawali przerwy na śniodanie. Trza tam było robić „durch” aże do uobiadu. Kiej przyszoł cas śniodanio, nasz robotnik wy-

jon se z szakieta kromka chleba i zacon go jeść. Kiej to ujrzoł werkmajster, z pyskiem na robotnika.

— Hej, a to co? U nos sam nie mo śniodanio!

— Joch se tyż tak padoł, panie werkmajster i lo tego-ech se przynios śniodanie z domu.

* * *

— Słuchejcie jeno, panie Gnojek, wos kiejś musiało przy robocie spotkać jakieś nieszczyńście, prowda?

— Po jakiemu, panie sztajger?

— No, bo zawsze przed robotom mocie taki pieroński strach!

* * *

W jednej z dzielnic Wielkich Katowic pękła rura wodociągowa tak, że trzeba było zamknąć główny kran. W trakcie tej czynności wykonywanej przez miejskich monterów od wody idzie sobie jakiś obywatel mocno, jak to mówią, naprany i tak zygzakiem z jednej strony ulicy na drugą, aż podchodzi do miejsca, gdzie monter właśnie zakręca główny kran. Widząc to pijany, staje wściekły i powiada:

— A mom cie! To ty pieronie tak kreńcisz tom ulicom, że nijak du dom trefić nie moga.

* * *

Do jednego z przedsiębiorców budowlanych zgłasza się pewien bezrobotny murarz prosząc o robotę.

— To nie pójdzie terozki, mój kochany, cegielnie strajkujom, nie moga dostać materiału. Wszystkiego mam ino coś około 100 cegłów na placu!

Na to murarz:

— Sto cegłów? Jejkusie panocku, dyć mi tego na cały miesionc styknie!

* * *

Karlik, w kościele siedzący w ławce obok klęczącego kolegi Gustlika:

— Gustlik, fedrunku¹ nastrzelofeś mi to na jutro?

Gustlik: — Ja.

¹ węgla.

Karlik: — Pódź, siednij se sam do ławki, bo sam jeszcze placu za tyła.

(Gustlik siada).

Karlik: — A kapa¹ zapioneś?

Gustlik: — Nie!

Karlik: — Mazoku diobli, toż wylaż z ławki, bo sam widzisz, za ciasno!

* * *

Jak wiadomo, robotnicy powracając ze szychty do domu, zabierają ze sobą zwykle klocek „pod pacha abo jakiś inkszy kącyczek deski”. Na jednej z kopalni zarząd tejże zakazał tego. Kiedyś wraca ze szychty „hajer” Duda i ma pod pachą dość srogą deskę. Naraz koło stróża jak na złość spotyka go nadsztygar i woła za nim:

— Hej, Duda, takich desek nie śmiecie z gruby zabierać, nie wiecie to o tym?

— Ja, panie „obersteiger”, jo to wiem, alech jo sie, widzom, niedowno uożenił, tóż mi ta deska jest koniecznie potrzebno...

— Ale to przeca za długo deska — pado nadsztygar.

— No tyć jo wiem, panie nadsztygar, ze za długo, ale to sie jom przeca w doma urznie!

J a k W i c e k P l u t t a o p o w i a d a

„Swos niebieskie bergmany —

Ze mie bergmon przekonany.

Nie wiertom brzuchem tak jak Polocek,

Jeno podłóža se pod zadek klocek.

Nie trza mieć krzywy cyl,

Eno ryl... ryl... ryl... a styl... styl... styl.

Trzy dziury uoroz ruk, cuk.

Jedna na ścisk, drugo na huk,

A chaupdziura na cały świder,

„Denn ich kann wie der Pieron fördern.”

¹ strop ² rębacz

„Hauptdziura nabija w migu,
I odstrzela bez smrodu i po cichu.
Jeno grzmot i błyskawica
Obróci stemple w skórzica¹.
Automat się cały trzęsie,
Ale fedrunk idzie w kęsie.
A ku temu bergi² jak bifeje³,
Ja, trzeba dosadzić do dziury tej cygoryje⁴.
„Stemple, tamy, kapy wytrząśnie,
I nawet elekstryka pod szybem zgaśnie”.
A pod szybem stoi inspektor Herrlich i pado:
„Donnerwetter ist das gefährlich!”
— „Ja, Inspektor und Genossen —
Wicek Plutta hat geschossen!”

S P O D „ F R Ó P A ” (K O R K A)

Richard Kwatyrka wraca se z jakiegoś geburctaku⁵ w knajpie „mocno na mokro”, ku chałupie. Ano po cichutko, żeby go staro nie słyszała, włazi se do kuchni, no i kładzie sie na ławce, na kierej roz dwa zasypio. Chconc sie w nocy obrócić na drugi bok... benc... zleciół na ziemia pod ławka. Przebudził sie i nie wie, co sie stało i kaj właściwie jest. Próbuje rencyskiem: z boku ściana, za głowom ściana, nad nim ściana, nogom świtnoł... ściana. Pierzyna, zimny pot go uoblewa... (zorientował się, że leży w trumnie. — Umysł zaczyna powoli pracować, więc Richard z rezygnacją mruczy):

— Ano dyć tak jest, joch umarty. Ino pierzyna nie moga spokopić, po jakiemu mi się „na dwór” chce...

* * *

Zeflik Lelek wraca mocno ulelany do chałupy.

— Nie gańba cie to, tak nieskoro w nocy przyłazić z karcmy do dom?

— Ale Hejdla, dziubecku, przeca dziepiero półdziesiontej.

¹ synamon ² skały ³ bufety ⁴ dynamitu ⁵ święta urodzin

— Ja półdziesiontej, sam mosz zygor, uobejrzyj wiela jest, jest trzy.

— Toś ty tako, Hejdl! To ty pierona zygarowi barzej wierysz jak mie, twojemu chopowi?

* * *

— No cóż, Karlik, jakożys sie tam po naszym wcorajszym bumlu dostał do chałupy? szczęśliwie?

— Diobłać tam! Moja staro ani sie słówkiem uod wcoraj do mnie nie uodzywo!

— E, toś ty, bracie, szczęśliwy, bo moja to ci jeszcze fórt godo i godo.

* * *

— Hanyś, widzisz, jakiś ty, zaś-eś sie uożar, a wcoraj przysięgnoleś mi, że już nie bydziesz zaglondował do kieliszka.

— Joch też, Hejdl, nie zaglondował, zawsze-ech przedtym zawierał uocy.

* * *

Noc. Zeflik z Gustlikiem naprani kolebiom sie do chałupy.

— Proszę pana, cy idziesz pon w ta samo strona, co i jo?

— Pieronie głupi, padej mi uobywatelu, a nie pon!

— A to czamu?

— No, bo po pierwsze-ech nie jest „gorol”, a po drugie toch jest „uobywatel”, a to skiż tego, że sie musza uobywać bez wiela rzeczy.

* * *

Jakiś wandrus dobijo sie do chałupy jakiegoś gospodarza i błagalnym głosem pado do gospodyni, kiero mu uotwarła:

— Przebocom, panucho, ale takie mom pragnienie uokropne.

— O boroczku, — pado gospodyni — dockeście chwilecka, zarozicki wom dom wody.

— Cego wody? Jo im przeca padom, że mom pragnienie, a nie, że sie chca umyć — skrzeczy zły jak sto dioblów wandrus.

* * *

— Ależ człowieku, bój-że sie Boga! Czamu to tak pijesz?

— A bo chca w gorzółce utopić moje frasunki.

— Topisz je co dzień bez cołki tydzień.

— Ja, bracie, nie mosz pojeńcio, wiela tym bestyjom potrza, aby sie potopiły.

* * *

—Wiecie Musiołko, mój stary, jak sie ino trocha za dużo napije, to potym na drugi dzień jest cały jak rozbity.

— E, to im dobrze, frau Pytel, U nos to je blank na uopak. Jak mój stary za dużo wypije, toch jo wdycki potym na drugi dzień jezech blank uozbito!

* * *

P o l i c j a n t: — Cóż to, nie poradzicie trefić do dziurki uod klucza? Dejcie no sam ten klucz, jo wom pomoga...

P i j a n y : — Dzienukuja, nie trzeba. Jenom bydom tacy dobry, a przitrzymajom ździebko ten dom, to se som do dziurki trefia!

* * *

Kiedys w sobotę po wypłacie jeden z naszych karlusów mocno (jak się to mówi) naprany podchodzi do jednej z aptek i wali w drzwi jak w bęben.

Po pewnym czasie zjawia sie stróż nocny.

— A cóż to tak pierom do tych dźwierzy i ludziom spać nie dajom? Takie robić w nocy larmo! Nie gańba ich to, co?

— Przebocom, ale mnie tak pierońsko zembska bolom, że nie moga już wytrzymać i chca se kupić jakie lekarstwo...

— Ja, lekarstwo... mnie, jak bolom zembska, to tam nie szukom pomocy żodnego lekarstwa, ino ida du dom do baby i już... Jak uona mnie przygarnie ku sobie, to i ból zemby diobli bierom!

— Ja, pierona, padajom!... tóż pedzom mi terozki, kaj mieszko ta jeich baba, zarozki tam póda do niej.

* * *

— Co to, Manuś, łeb cie boli?

— No toć boli, już nie wia, co mom robić.

— Co? Jo ci powia, przyłóż se kompres z „przybytku”!

— Ja, a cy uod tego przestanie?

— No toć. Przeca padajom, że uod przybytku gowa nie boli.

* * *

Przed jakąś destylą napranego Hanysa Tyrpałę spotyka jego kobieta.

— A ty stary uożyroku, nie wstydzisz sie, co, tak wylazić na droga? Nie gańba cie?

— Hejdla, mosz recht, wstydzasz sie i nie moga tak iść do domu!... — i mówiąc to, włazi zaś nazad do szynku.

* * *

Zeflik Chyrtoń wloz se do knajpy i wypił se coś uoziem „cystych z kropkom”. Skończywszy ta robota pado do kaczmarki:

— Bydźcie tacy dobrzy, frelko i zapiszcie se tam ta porcyjo, bo jo nie mom pieniendzy.

Kaczmarka wściekła wyjeżdżo na Chyrtonia z pyskiem:

— Wy, chacharze diosecki, wy uożyroku lagramencki, po co ślepiecie tyła, jak nie macie pieniendzy?

— A cóż se to myślom, frelko, dyć jakbych miał pieniondze, to myślom, żebych ich tak lekkomyślnie przepijoł? Nie ma tak dobrze!

* * *

Hanys Ciskocz, wracając z pracy do domu ogromne miał pragnienie. Chcąc se trocha kurz węglowy spłókać, wstąpił se do knajpy, a stanawszy przy szynkfasiu, powiada:

— Frelko, nalejom mi tam jedno, ale wartko, bo bydzie wielko awantura.

Wypiwszy powiada:

— Frelko jeszcze, po gibku jedno, bo uobocom, jakie za chwilka bydzie piekło!

Frelka przedziutko nalewa, ale Hanys wychyliwszy kubek, żąda po raz trzeci jeszcze jednego, bo „stopierońsko bydzie awantura”.

— A cóż to za awantura mo być?

— No dyć im nie zapłać za to, coch wypił, bo wiem, nie mom pieniendzy.

* * *

Jacek Tyrpała wraca jak zwykle z knajpy do domu; jest godzina pierwsza po północy. Stara jego budzi się i pyta, która godzina? Jacek bez zająknięcia powiada:

— Dziesięć.

W teje jednak chwili pisko stróż jedna.

— Cyganisz! — wrzeszczy żona. — Czy nie słyszysz wachtyrza, pisko jedno!

Na to Jacek:

— No cóż ty, głupio, przeca nuli¹ nie poradzi piskać!

* * *

Stanik Lelek po jakimś tam bardzo wesołym kolendowaniu u znajomych, mocno niepewny na nogach kolebie się nieskoro w nocy ku chałupie. Nareszcie ujrzał tabulę, na której napisane stoi: Przystanek. — Był to oczywiście przystanek tramwaju.

Lelek stoi i stoi, to się zaś kolebie sam i tam, zimno jak farona, aż ujrzał policjanta.

— Panie starszy... co jest pierona?... — pyto się nasz Lelek.

— Co mo być? O cóż się to tu tak stoicie — pyto policyjon, uśmiechajonć się pod nosem.

— Cekom, wiedzom, na tą pierzyńsko bankę², a tyn gizd nie jedzie i nie jedzie — pado Lelek.

— Ja, na bankę cekocie?... No to możecie długo cekać. W nocy bankę nie jeździ, idźcie do domu, idźcie — pado policjant i odchodzi uśmiechnięty.

Ale po godzinie wraca policjant i widzi, że nasz Lelek fót jeszcze stoi na tym samym miejscu.

— Człowieku, a cóż to sam jeszcze stoicie?

— No, dyć-ech im padoł, pierona, że cekom na bankę.

— Alech jo im przeca tyż padoł, że bankę w nocy nie jeździ.

— Nie róbcież mi za błoźna, pierzynie, że bankę nie jeździ, jak nie jeździ, to po co sam leżom te glajzy³, pierona... co?

* * *

Zeflik Kapudrok wrocił ze szychty, trefił kamrata i poszli se uoba na „jedynę”. Tyn „jedyń” jednak przeciongnął się nieskoro do późnej nocy.

Zeflik miał baba jak farona, wiedział więc, co go czeko, jak

¹ zera ² kolej ³ szyny

przydzie do chałupy naprany. Seblyk se w sieni buty i cichutko włązi do izby, podchodzi na palcach do kolebki i kolebie, kolebie, swego najmłodszego. Wtem budzi się jego połowica i ździwiono pyto:

— A ty, uożyroku diosecki, cóż to tam tak trzaskosz tom kolebkom?

— A dyc Pietrek zaś takie mo złe spanie i już go tak bez dwie godziny huśtom i huśtom i nijak nie może usnoć, a nie chcio-łech cie budzić, dziubku...

— Zawrzij-zys ten pysk, ty diobli cyganie, dyc jo sam Pietrka mom w łóżku, kole siebie!

* * *

Stary i młody Chyrtoń robią do kupy na grubie. Wracając z szychty wstąpili se do karczmy na jednego, żeby se kurz z piersisków splókać. Niedługo trwało, a para pijanych bukslików rozpoczęła bijatykę, w którą wciągali też i starego Chyrtonia i jeden z buksów maznął „fatra” w łeb. Młody Chyrtoń widząc to, powiada:

— Uociet, pierona, niech wos tyn gizd jeszcze roz piźnie, to jo mu pokoża!

Buks walnął zaś starego w kark.

— Uociet, nie bójcie się, niech jeszcze roz spróbuje, to uobocy!

Uociet dostał jeszcze jedna piguła. Na to pado młody:

— Pierzyna, Uociet, wiecie co, pódźmy lepiej do dom, boby my jeszcze uoba dwa dostali.

* * *

Po wiliji jeden z naszych pocziwych policjantów na Placu Wolności w Katowicach zobaczył obywatela, który se widać w ten dzień mocno zalał robaka. Borok leżał na drodze pod latarnią. Policjant podnosi go z trudem i pyta:

— Cóż to uoni sam śpiom, cy co?

— Ni, jo sam nie e... e... śpia.

— No wstanom, jo ich zawieda du dom.

— Dobrze — pado uelany — pódźmy!

— A kajż to mieszkajom? — pyta policjant.

— A dyc w Rybniku!

* * *

O n a : — To bardzo pięknie, Zeflik, przyłazić do dom z knajpy uo trzeciej w nocy !

O n : — Ja ! A to bardzo pięknie uod ciebie nie spać do trzeciej w nocy... co ?

O n a : — Dyc' jo cekom na cia uod sześciu godzin i nie spałach wcale !

O n : — No widzisz, dziubku, jo zaś siedza skiż tego uod sześciu godzin w knajpie, bo cekom, cobyś usnyła !

* * *

— Człowieku, toście znowu pijany jak nieboskie stworzenie ? Kiedy wy się poprawicie i zaczniecie nowe życie ?

— Ja, wiemom księżoszku, to już u mnie za nieskoro !

— Głupstwo, do poprawy nigdy nie jest za nieskoro !

— Nie ? No toż wiemom, księżoszku, jeszcze trocha byda cekol !

* * *

Jakiś pijany na drodze kolebie się mocno z jednej strony na drugą. Naraz „sztuchnył” jakiegoś przechodnia.

— Cóż to, pierzyński uożyroku, ślepyś cy co ?... nie widzisz ludzi ?

— Toć widza, pie...pie...ronie, nawet tuplowanie. Za... za...miast uonych jednego, toh widzioł dwuch !

— To to cóż ? Toście mnie nie potrzebowali tyrać !

— No toć, toć... aleh chcioł przeca pierona przeńść miendzy wami.

* * *

— Co na to poradzić, mój sąsiedzie ? Chłop mój sie kaździutki dzień uożyro, gospodarstwo zaniedbuje, w doma nie siedzi, jeno po rzond w szynku.

— Uo, moiściewy, dyc' na to jest řada...

— A jako ? Godejcież, sąsiedzie !

— No, toż załóżcie szynk, to bydzie wtedy wdycki siedzioł w doma.

* * *

— Ty świński uozyroku, terazki przychodzisz do domu, o czwortej rano? Jo cołko noc uoka nie mogła zmrużyć!

— A cóż se to myślisz, dziubku, że jo uoko zmrużył?...

* * *

— Widzisz, toś mie zaś wcoraj uocygańi, ty uozyroku dio-secki! Pedzioleś, że idziesz do kamrata, a polozleś do szynku...

— Po jakiemu, Hejdla? Przecach cie nie uocygańi, bo mój kamrat, widzisz, siedzioł w szynku.

* * *

Mały Pietrek poszoł do kupy z tatulkeim na spacyr. Na uogrodzeniu jakisik fajnej willi zauważył mocno czerwienionce sie liście dzikiego grona.

— Tatulku, dz'wejcje sie, jakie to sam piekne kwiotki rosnom.

— To przeca nie som kwiotki, mamlasie, to jest dzikie wino. Pietrek, ździwiony, po chwili:

— Tatulku, cy rośnie tyż kaj dziko gorzoła?...

* * *

— Richard, lo Boga świentygo, co ty robis, aże robis? Miał siedzieć w doma, smykos sie od rana do wieczora po knajpach.

— Musza.

— Czamu to musisz?

— Widzisz, byłech k'ejcik u wróżki. Padała mi, że mom sie wystrzygać baby i wody. W doma zaś mom baba i mom wodociong, tóż musza łązić do knajpy.

* * *

— Pódź, Hanys, wleziemy se na jedno.

— O dziękuja ci, jo nie pija.

— Cego to, nie pijesz? a to uodkond? Przeca-ēs se wdycki rod jedno chornół!

— No ja, widzisz, to prawie, alech sie już poprawił.

— Po jakiemu?

— Ano, bracie, uod casu, jekiech sie roz porzondnie olejoł i widziołech moja baba tuplowanie; uod tygo casu mom już dość!...



Z MAŁŻEŃSKICH MIODÓW, UO DZIOUCHACH I NIEWIASTACH

Pewien siodłok powadził sie ze swojom babom w piontek, kiero sie tak uozgniewała, iż bez całutko sobota ani słówkiem sie do męża nie uodezwała. Mąż byłby tam już chentnie skończył z tymi kwasami, ale majonc prawie (chłopi wdyczki majom prawie) nie chcioł sie uznać za winnego. Nazajutrz w niedziela przypodoł w kościele parafialnym uodpust, na kiero wiedzioł, że sie żona dównu raduwała. Pado se wienc: doczkiej, już jo cie zażyja z mańkuta. Rano uo ósmej pado do pacholka:

— Maciek, uszykuj mi jeny siwka do kościoła!

Żona zmiarkowała, że kiej przy swoim uporze trwać bydzie, do kościoła nie pojedzie. Chciałaby chłopą jakoś udobruchać, ale nie wie jak. Po chwili uodzywo sie do niego:

— Michał!

— Cego?

— Tyś w piontek kichoł?

— No to co?

— Tóż dej ci Boże zdrowie !

— Bóg zapłać !... Maciek zaprzyngnij tam pora koni do brycki, gospodyni też pojedom ze mnom do kościoła.

* * *

Hanys Kneflik i Richard Dziurka spotykają się na ulicy. Pierwszy z nich jest już od dawna żonaty, drugi zaś jeszcze samotny. Kneflik powiada do Dziurki:

— Wiesz co, kamrat, moga ci iny to jedno pedzieć, uożyń sie, to ci jednak jest fajnistio rzec !

Na to pado Dziurka:

— Ja wiesz, dyc jo mom cheńć do żyniaczki, jeno to ciężko bydzie zność tako kobieta, jakom szukom. Widzisz, jo chca kobieta cnotliwo, po drugie szporobliwo, a po trzecie milczonco i skryto.

Na to powiada Kneflik:

— Pierzynie Richard, to byś musioł moja baba dostać. Padom ci, kaj sie rano siednie, to jom na tym samym miejscu wiecór zastaniesz ! A szporobliwo, nim ci fenik wydo, to go dziesięć razy uobróci ! A milczonco i skryto tyż jest jak farona. Uod dziesięciu lot mo synka i myślisz, że mi dotond pedziała uod kogo ?

* * *

— A cóż sie to stało, Nowocko, że jeich dzisiok już tak w czas rano bańtowoł ?

— Ano wiedzom skiż kurów, musioł je budzić, bo nom wcoraj zdech kokot.

* * *

W Bytomiu na targu podszedł pewien chłop z Kozigóry ze swoją żoną do budki, w której sprzedawano wodę sodową i zamawia dwa „zeltry”. Sprzedawaczka pyta się:

— „Mit” albo „ohne” (Czy ze sokiem czy bez ?)

Na to odpowiada chłop:

— Tak, tak, mnie i uonej !... — wskazując przytem na swoją żonę.

* * *

— Richard, słuchej jeny ! Za tydzień obchodzimy strzybne wesele. Może bychmy tak na ten dzień zabili świnia ?

— A czamu to? Cóż biedno świnią temu winna, żech jo 25
lot temu takie zrobiół głupstwo...

* * *

— Te, Zeflik, słyszołeś to! Richardowi uciekła baba!

— Co ty padosz, a cóż uon na to?

— Uo, terazki sie już ździebko uspokoił. Ale przodzi tochmy
myśleli, że ten człowiek po prostu uogupieje z radości...

* * *

— Słyszołeś to już, co za nieszczęście spotkało „ślepra”?

— Nie! A cóż mu sie stało?

— A dyć borok z mojóm babóm uciek...

* * *

— Musza ci sie, Zeflik, uotwarcie przyznać, żech była uo-
kropnie głupio, kiech sie za cie wydała.

— Co ty nie padosz! A teraz-és już nie jest głupio?

— No toć że już nie!

— Widzisz, mój dziubeczku, jakieś mi powinna być wdzien-
czo za to, żech cie tak przeuonaczył!

* * *

— Wiesz co, Hanys, Mosz pieruchu, tako gryfno kobieta, że
jak patrza na nia, to se zawsze po cichu musza pedzieć: „I nie
wódź nas na pokuszenie”.

— No, bracie, kiejbyś jom ino poznoł bliżej, to byś potym rzy-
koł głośno, jak jo: „Ale nas zbaw ode złego”...

* * *

Pewien „bergmon” przypatrywał się w cyrku, jak pogromca
poskramiał dzikie zwierzęta. Po przedstawieniu udał się do wła-
ściciela cyrku i powiada:

— Przeboczom, panoczku, wiela by tyż to kosztowało, jakby
mi tak wytresowali moja baba?...

* * *

Konstant jest samotny, czyli jak padajom, starym kawalerem.
Ale mo przyjaciółka wdowa, do kierej uod poru lot chodzi se
každygo wieczora... na klyty.

— Powiedz mi, Konstant — pyta go sie roz jego kamrat, — czamu sie to z tom kobietom nie uożenisz ?

— Toć-ech to już chci-oł zrobić, — pado Konstant, — alech se pomysłoł: kaj jo potym byda co wiecór chodził, jak sie uożenia?

* * *

Córka: — Mamulko, dzisiok-ech sie powadziła z mojem narzeczonym. Terozki zaś nie wiem, chto komu mo uostompic ?

Matka: — Przed ślubem ustomp ty, po ślubie uon musi ustompic !

* * *

Pewna młoda mamusia, która w nocy już kilka razy wstawać musiała do krzyczącego małego... zła do męża:

— Mógłbyś sie też ruszyć i pochuścić małego, przeca to tak samo twoje dziecko, jak i moje.

Na to mężulek (rozespany):

— Pochuśćej ty swoja połowa, moja ta niech wrzeszczy !

* * *

Do mieszkano Pytlika zwoni sąsiadka. Otwiero dźwierze Pytlik.

— Przeboczom, czy jeich kobieta som w doma ?

— Nie, — pado Pytlik, — przed trzema godzinami wyszła na pięć minut do kamratki.

* * *

W ogrodzie zoologicznym strażnik objaśnia ciekawych.

— To sam jest „tiger” bengalski. Jest to uokropnie żarłoczno gadzina. Uon bez jedna godzina zeżre całego srogiego osła !

Jakoś kobieta ciongnie swojego chłopca, kiery stoi blisko klotki.

— Cof sie, Richardki, cof, nie stój tak blank blisko tej klotki.



P o c z y m i c h p o z n o c i e ?

Opowiem wam, mili moi czytelnicy, taką ot sobie historijkę z prawdziwego zdarzenia.

Otóż do jednego zajazdu (powiedzmy inaczej hoteliku), w małym, prowincjonalnym miasteczku, zajechała na noc młoda, szymbowna para. Zażądali wspólnego pokoiku o dwóch łózkach.

Gospodyni podeszła do swojego starego a więc gospodarza i coś mu tajemniczo z przejęciem szeptała na ucho.

Stary wyjon fajfka z gemby i pado:

— To nie idzie. A wierzaś sie pomyliła, może to małżyństwo?

— Ale małżyństwo!! Przecach genau widziała ani uon, ani uona nie mo piestrzonka na palcyskach.

— Nie majom piestrzonków, padosz, na żodnej rence?

— No dyc nie majom, przecach uogłondała.

— No aleś im przeca izby nie dała, jeszcze, co?...

— Toć-ech im dała. Przeca, jak wleźli do nos, to uoba mieli renkawicki, tózech nie wiedziała, cy żyniaci, cy nie.

— A uobsztaluwali co?

— Ja, uobsztaluwali, widać, że to katoliki, bo padali, że piontek i chcieli mieć ryby. Jużech im dwie kosała usmażyć.

— Maryjko święto! Co tu robić?... Jo ci powia, Monika,

zanieś im te ryby i powiedz, że sam u nos na noc nie mogom uostać. Dziepiero bychmy se narobili uostudy i zgorszynio. Przeca my som porzondni ludzie i hotelu nie momy lo takich jakichś grzyśników.

— Nie idzie, nie. Ale jak im to, farona, kandy pedzieć. A jak som żyniaci i uobrażom sie, szkoda zarobku. Co tu zrobić, aż co?

Naroz wrzescy stary:

— Mom, Monika, już wiem, jak ich wydostaniemy. Jo to som zrobia !!

— Jakoż to chcesz zrobić?

— No, już tam zrobia; nie bydź tako ciekawo. Jo wleza do gospodniej izby i byda z śniemi godoł. Ty zaś zarozicki przynieś za mnom te usmażone ryby. Uobocymy!

Stary wstoł, wyjon fajfka z gemby i wloz do fajnej izby, kaj se tajemnico porka siedziała cekajonc zamówionego jodła.

Gospodyni warcuotko wziena usmażone ryby, jedna większo, drugo meńszo, położyła je na półmisku, wraziła im do upieczonych pyszczków po listku pietruszki i wlaża z tym za gospodorzem do izby, i postawiła na nakrytym już stole.

Po małej chwili wyloz gospodorz z izby, podszed tajemniczo do swojej starej i pado:

— Te, Monika, ci uoboje som żyniaci, to prawe jest małżyństwo!

— Ja, małżyństwo?... Pedzieli ci?

— To ni, alech sie som przekonoł. Jakieś na stole postawiła ta miska z rybami, uon zarozki chapnół za ta wienkszo.

— To małżonkowie, zicher małżonkowie...

* * *

Radca Zdechlik umarł. Wdowa po nim (kiero mu bardzo przola) idzie do zakładu pogrzebowego, ażeby zamówić lo zmarłego pogrzyb.

— Om, pado se, pogrzyb pierszej i drugiej klasy jest jednak za drogi, nie stać mie na to.

— No, — pado kierownik zakładu pogrzebowego, — toć majom jeszcze trzecio i szczworto klasa, bydzie toniej.

— Ja, tóż dajom trzecio... — pado po pewnym namysle wdo-

wa, — bo szczworto?... ni... musiolby borocek stoć... niech se lepiej leży.

* * *

— Maryjko, dziouszko moja, powiedz, czamu se to nie chcesz wziąć Gustlika? To przeca taki gryfny i statecny synek?

— No ja, mamulko — gryfny synek to uon tam jest, ino wiecie wielki niedowiarek, kiejś-ech sie z śnim powadziła, bo padół, że ni ma piekła!

— A idź ino, idź, bedziesz tam na takie ździebko patrzała. Jak sie pobierecie, a uon pożyje z tobom bez pora miesiency, to tam już w piekło uwierzy, aże uwierzy...

* * *

— Człowieku, jakoż to mozenie taki uokwiawiony lotać po ulicy?... No uspokojcie się, jo wos zaroz zawieda do dom, do żony!

— Co do dom?... Za nic w świecie, przeca jo stamtond ida...

* * *

Stary przyjaciół do młodszego, mającego się żenić:

— Cóż to Zeflik, żynisz sie — a czamuż to?

— Ano widzisz, bo chca, żeby mi kobieta po śmierci uocy zawarła.

— Padosz? O mój przyjocielu, joch miał dwie żony, ale te mi dziepiero uocy uotwarły, aże uotwarły!

* * *

— Gustła, Maryjo... boch łyknał kneflik uod koszuli.

— No to dobrze — pado Gustła, — przynojmniej roz bydziesz wiedziół, kaj go mosz.

* * *

— Uokropne jest to wasze miasto — pado szwigermutra, kiero przyjechała w uodwiedziny ze wsi. — Ida wcora z banhofu, a sam dwóch buksów ciengiem lazło za mnom.

Na to pado zięć:

— Czamuście sie, Muterko, nie uobejrzeni? Buksy by byli ale wyrzywali, jakby wos uobocyli...

* * *

— Nie mosz tyła kurzyć, Zeflik, sam w gazycie stoi, że kurzenie jest takie szkodliwe!

— A nie pleć ino, nie pleć. Mom, chwała Bogu, pięćdziesion lot, a dobrze wyglondom, jak byk !

— No ja, widzisz, to prowda, ale kiejbyś nie był kurzył, to miałbyś terozki już wierza sześćdziesion.

* * *

Richard Porwoł i Zeflik Puścił poznali kiejś gryfno dziuszka, Hejdla jej było na miano. Richard tak sie w niej rozmiłował, że postanowił sie z śniom uożenić.

Ostrożniejszy Zeflik odmówił swego kamrata od tego zamiaru i dowodził:

— Widzisz, Richard, jak se weźniesz Hejdla, to tak, jakbyś se wzion nowy kołnierzyk. Dziepiero jak se go wrazisz na kark, zmiarkujesz, jaki to bydzie numer. Tóż dej se lepij pozór !

* * *

Zeflik Duldała na złość swojej ślubnej połowicy, z kierom jakoś nie mogli sie zżyć (pomimo że już bez poranoście lot znosili to jarzmo), często bardzo zaglondał do szynku, w kierym przesiadywał nieskoro do nocy.

Toć kobiecie się taki stan rzeczy nie mógł podobać. Myślała, co by to przeciw temu zrobić, aż wymyśliła, że chłopą trza bydzie strachem na droga poprawy nakłonić. Przeblykła sie za diobła i skryła sie za stromem na drodze. A kiej chłop jej tompoł z szynku mocno już naprany do chałupy, wyszła naprzeciwko niemu.

— Wszelki ducha Pana Boga chwoli, fto to sam ? — pyta Zeflik, a galoty mu sie trocha zatrzęsły.

— Joch jest dioboł ! — mruczy kobieta.

Na to Zeflik:

— Cego, dioboł ? Pódź kamrat i dej mi ręka, jo przeca mom twoja siostra za żona !

* * *

Do jednego z naszych „kintopów” kiejśik wiecór przychodzi jakiś chłop, melduje sie u właściciela kina i zły jak sto diobłów, zaczyna pieronić. Powiada:

— W doma pierona, wiecezro nie przyrychtowano, dziecka głodne, nieumyte, łóżka niepościelane, w izbie pełno gnoju, a moja baba siedzi sam u nich w kinie. Jak pierona nie zrobiom, że zarozki stond wylezie, to im ta cołko buda przewróca do góry nogami !

Właściciel kina przyrzekł uczynić wszystko, byleby się ino chłop uspokoił i nie robił breweryji. Wszedł potem do kina, stanął przed ekranem i w te odezwał się słowa:

— Szanownie Panie! Muszę wam oznajmić bardzo niemiłą rzecz. Przyszedł tu jeden mąż po żonę, która jest tu w kinie, pan ten twierdzi, że w domu nie ma wieczerzy, dziecka głodne, nieumyte, łóżka nieposłane i inne jeszcze wygaduje rzeczy, poza tym grozi, że jak ta jego żona nie przyjdzie, to tę budę przewróci itd... Najlepiej więc będzie, gdy ta pani, której się to tyczy, wyjdzie sobie tylnym wyjściem do domu.

Kiedy się potem światło rozjaśniło, ani jednej kobiety nie było na sali.

* * *

Eisenbaniok Grychtuła wjechał z maszynom na ślepy tor, rypnął o nasyp i porzondnie sie strzaskoł. Leży w lazarycie, kaj go odwiedził prezes kolei, słowiedziawszy sie o nieszczęściu.

- No i jakoż im sie powodzi, Grychtuła?
- No dzienkuja, panie Prezesie, już lepiej.
- Jak dawno to już służom na kolei?
- Ady już dwanoście lot, panie Prezesie.
- A jak starzy to som?
- Dwa śtyrdzieści, panie Prezesie.
- Żoniaty?
- Ja, panie Prezesie, z urodzonom Gmyrek.
- Tak, n otoż uopedzom mi, jak ich to nieszczęście spotkało?
- A dyc Panie Prezesie, całkiem prosto, Hażbieta dostała małe, tozech sie musioł z śniom uożenić...

* * *

Gdzieś tam na wsi umarł handlyrz. Baba zmarłego przola mu bardzo, aże przola, chocioż marcha nieboszczyk za życie lubił se tam i pociongnoć z flaszeczki, no i popieronić.

Najgorzej to, że jako handlyrz nie zawsze broł genau z wogom i kaj mógł, to tam ocygańł. Myślała często o nieboscyku, kaj też uon tam terazki bydzie i cy czego nie potrzebuje. Kiedyś ukazuje jej się we śnie duch i prowadzi ją do czyścica. Kiedy zaszli przed wrota czyścicowe, patrzy, a tam w ogniu aż po kark stoi jej chłopecek i miłosiernie patrzy na nia. Prosi więc owego ducha, co

by mogła uczynić, żeby męża z mąk wybawić. Na to duch:

— Złóżycie na biednych sto złotych, a tym z pewnością ulżycie jego niedoli.

Poszła więc i zrobiła, jak jej duch rozkazał. Chcąc się jednakże przekonać, czy ofiara poskutkowała, poszła znów do bramy czyściowej, do której już знаła drogę, no i zobaczyła chłopka stojącego jeszcze w ogniu, ale już tylko do pasa. Zwróciła się więc ponownie do swego ducha z zapytaniem, co by jeszcze uczynić powinna, ażeby mężowi więcej ulżyć w niedoli. Na to duch:

— Ofiara złożona przez was widać nie wystarczyła, musicie jeszcze dać na ten sam cel sto złotych.

Kobiecinka poszła do gminy i sto złotych złożyła, jak jej radzono. Nazajutrz idzie znów przed czyściec, zagląda przez dźwierze i widzi chłopcza stojącego jeszcze w ogniu, ale już tylko do kostek. Zjawia się duch i radzi, żeby na całkowite wybawienie cierpiącego jeszcze ofiarowała sto złotych. Na to kobieta:

— Wiedzom, mój chop za życia zawsze się skarżył na zimne nogi i kożdy roz-ech mu musiała dować flaszka z gorkom wodom do łóżka. Tóż myślą, że mu terazki domy pokój, niech se boroczek już tak stoi, aże stoi, bo mu aby bydzie w nogi ciepło.



W Szopienicach na dworcu podchodzi do kasy biletowej pewna kobiecina z czteroletnim synkiem, uobleconym fajnie w marynarskie ubranie z długimi galotami. Matka powiada do kasjera:

— Dajom mi jeden bilet i pół do Katowic.

Kasjer widząc chłopaka mówi:

— Słuchajom ino, matko, czy ten wasz synek nie musi też mieć cały bilet?...

— Po jakiemu? — pyto kobiecina.

— No bo jeich synek widać już starszy, kiej w długich chodzi galotach.

Rezulutna niewiasta nie zbита z tropu, podnosi trocha kiecki i mówi:

— Ja, tóż im to uo galoty idzie?... Widzom, jo mom krótkie, a płaca cały bilet, tóż się to wyrówna.

Zaskoczony takim niezwykłym argumentem kasjer, daje kobiecie żądane bilety.

Całe zajście byłoby się na tym skończyło, cóż, kiedy opodał stoi se jakoś przekupka, która przysłuchiwała się rozmowie i kupiła dla siebie już poprzednio bilet. Oburzona podchodzi do okienka kasy, podnosi również kiecki i wrzeszczy:

— Pedzom mi ino, co to za cygaństwo na tych banach? Tóż jo wcale nie mom galot, a musiałach za cały bilet zapłacić? Zarozkii mi dejcie pieniondze nazod!...

* * *

Mąż: — Mari. śniło mi sie, żech umar.

Żona: — A jak długo byłeś w czyściu?

Mąż: — Ani trocha. Jak mie święty Piotr ujrzoł, to zarozkii zawołał: Ty Hanys, pójdiesz do nieba, bo jo znom ta twoja baba.

* * *

Nowocce umar chłop, płacze wienc i lamentuje:

— Och bідno jo sierota, co jo terozki poczna na świecie bez ciebie samo jedno?...

— A dyć nie płaczcie, Nowocko — pocieszajom somsiadki, — przeca tego boroka już nie wskresiecie, choćbyście se uocy wyplakali.

— No dyć prawie mocie, a wyjmcie mu tam ta gromnica z gorści i schowcie, przydo sie lo drugiego.

NASZE SKRZOTY I NAJDUCHY

Przygody św. Mikołaja

Z uostatniej swojej wendrówki na ziemia wrócił święty Mikołaj do nieba bardzo markotny i smutny.

Podróż z 5-go na 6-go grudnia blank sie nie powiodła. Ludzie przyjeni świętego i jego podarunki uoziemle i z niecheńciom.

Bali, niekierzy se jeszcze warguwal i biedoka przedrzyźniali sztuchajonc sie miendzy sobom śmiejonc.

— No i jakoż to tam, staroszk? — pyto sie św. Piotr przy dźwierzach niebieskich. — Jokóz ci sie tam rajza powiodła? Widza po minie, że ci tam nie bardzo poszło, co?

Święty Mikołaj westchnoł se ciężko.

— Oj, nie poszło, nie, święty Pietrze. Blank mi sie ludzie zmienili i popsuli... Przemondrzałe to wszystko, a zimne, a drwionce, bez serca. Podarunki moje już im radości nie sprowiajom i nikogo nie cieszą... Uoblecynie moje (po prowadzie łaża w starym kapudroku i kapie, ale na te ciężkie czasy, kaj tako momy drożyzna, nie byda przeca po rzond suszył głowa Panu Bogu, uo nowe uoblecynie...) Tóż padom ci, że uoblecynie moje blank wyśmioli... A nojgorzyj dzieci! Downiej, to te najduchy wszystkie takie były dobre, kochane a miłe. Tak sie to z byle bździnki radowało! Cekali pod dźwierzami i śpiewali fajne, nobożne kolendy adwentowe... a teraz... nic!

Zdziwił się święty Pieter.

— Nic, padosz?

— A nic.

— Po jakiemu to może być?

— A cy jo już wiem.

— No, przeca do sto drewien, downiej ludzie wdycki raduwali sie podarunkom?

— Ano toć prowad! raduwali sie! Terazki już nic! Przynojmniej moje podarunki im sie nie podobały, aże nie!

Zadumali sie świeńci staroszkowie i zasmucili. Pyto sie zaś po pewnej chwili zadumany św. Piotr:

— A cóżeś im to zaniós Mikołajku kochany?

Święty Mikołaj rozciapierzył rence.

— A dyć to samo, co i inksze roki... Nawet ci powia, Pietrze kochany, że sie w naszych warsztatach niebieskich rubo poprawiło. Graczki¹ piękniejsze, nie sprowadzom już tych roztomaitych śmieci berlińskich ani inkszych. Uodkond sie w te sprawy wdała Nojświentszo Panienska, to ci terazki u nos takie fajne majstrujom graczki, że aż się w uoczach mieni... Zwyczajnie, kobiety w tych rzeczach wiencej majom gustu, delikatniejsze som... Tożech tyż dzieciskom zaniós na ziemia roztomałe wózki, lalki, wojoków pełno... A jakie to wszystkie, padom ci, jak żywe...

— No i...?

— A nic.

— To przeca nie do wiary!

¹ zabawki.

— Ale, dockiej ino, jak ci uopeda wszystko po rzond, dziepiero sie bydziesz dziwił. Tóż na tyn przykład, włąza do jakygoś fajnygo domu, zwon'a, uotwierajom dźwierze. Z dźwierzy wyłazi jakiś uozkociombany łeb i z pyskiem na mnie: „Juzaś dziod po fechcie, a cy wos tyż diobli uoztrząśli!... Nie ma nic, nie ma nikogo w doma!” „Ale nie, dzioucho, jo tam nic uod wos nie chca; jestech świenty Mikołaj, przychodza do dzieci”. „Prosze pani, bo sam przyłoz jakiś dziod i pado, że uon jest świenty Mikołaj, a przyszoł do dzieci, cy go moim puścić do izby?” Z izby słyhać głos: „Także coś, no to wpuść go już, tylko niech se nożyyska uobetrze, żeby mi tepichów nie zamaraś!” Włąza do izby... widza synka i dziouszka. Jedno wierza mo uos'em, drugie z dziesięńc lot... bardzo piekne dziecka. Tóż wyciongom z miecha bemben... synek krzywi sie: „E bemben, co mi po bembnie”, pado. Pytom sie: „A co byś to chcioł?” A uon mi na to: „Jo myśłoł, że mi radio przyniesiesz...” To samo z dziouszkom: dołech jej piekno, srogo lalka, a uona skrzywiła dziub i pado: „Eee... tako lalka?” Tóż sie zaś pytom: „A jakóż byś to chciała mieć lalka?” A uona: „Z bubikopfem”, no i dźwignąwszy kiecuszki lalce, pado: „Żeby miała dessous.” „Jakie to zaś dessous?” A ten śpik śmieje sie i pado: „No majtecki (wiesz galoty) a nie barchanowe, a jedwobne, prosze pana...”

— No widzieliście świeńci, to dziepiero śpik zatracony!

— Doczkiej świenty Pietrze, to dziepiero poczontek. Pytom sie potym: „A paciorek umiesz rzykać, co? No, powiedz mi paciorek!” Na to pado mi mamusia: „Powiedz Dziuniu: ja jeszcze jestem maleńka, nie umiem jeszcze paciorka... Ale zaśpiwaj no świetemu Mikołajowi p'oseneczkę, no tę, którą potrafisz... „Ja się boję sama spać”... albo: „Titine, ach Titine”... no zaśpiwaj aniołku, zaśpiwaj!” Juzech nie czekoł, aż mi zaśpiewo, jenoch wartko uciekoł, aż się zakurzyło!... Włąza do jak'ejś inkszej chałupy, dzwonia, tu mie zarozki wpuścili. Widza, synecek szykowny... Nie boi sie, mondrała widze. Wzrok żywy, uoczka jak z wongło. Taki ci bemben szwarny, zech uoców uod niego nie móg uoderwać, tak mie tyn śpik za serce chycioł. Tóż siengom wartko do torby i wyciongom piekno trombka. „Phy”, pado, „trombka? Ja bym wolał gramofon, brauning i narty... Nie potrzebuję twojej trąbki, to dla dzieci”.

Świenty Piotr chycił sie za głowa.

— No, wiecie święci, to sie przeca świat kończy!

Tymczasem świenty Mikołaj, bardzo widać uozgorszony, uozprowioł coroz do inksze historyje.

— Kaj indziej jeszcze gorzyj. Jakieś dwie śpikule, wykrygłowane, wypudrowane, dziuby cerwono pomalowane, łeby uostrzyżone, tak żech długo nie móg zmiarkować czy to dziouchy, czy syncyska. Dowom im piekne książeczki, bajeczki, a uone na mnie: „Takie coś! My chcielibyśmy jazz-band! no i Murzyna! Słyszoleś ty kiejś o tym, dyć jo ani nie wia, to co takiego ten jazz-band!

— Ano prawie i jo nie wiem, co to za diobelstwo! — pado św. Piotr i zamyślił się głęboko.

— Co robić, padom se, ida dalej. Właza zaś do jakiejś chałupy, zwoniał, a tu wyłazi jakiś rudy panoczek. Padom: Niech bydzie pochwalony Jezus Chrystus. A ten ci na mnie: „Hier niks po polsku... machen Sie, dass Sie fortkommen... Verfluchte Polaken”, no i zatrzasnął mi dźwierze przed nosem... Ano toch wzion i poszoł. Właza terozki do jakiejś ubogiej chałupki i padom se: No dyć, wierza, to tam były dziecka uod samych bogatych... ale sam to biedoki, tóż myśla, że mie z radościom przyjmom. Ale kaj tam, wlozech do izby, pisk i radość. Dziecka uobtoczyły mie kołem i wrzeszczom: „O, o, o, świenty Mikołaj!” A było ci tam tych dziecek jak plewów. Pod tym jednym wzglendem, to ci sie nic nie zmieniło. No chwała Bogu. Biera ci z torby szkatułka z wojokami i dowom jom nejstarszemu. A tu ci fater (ponoć jakiś komunista) na mnie: „O widzisz go, pieroński gorol, z czym to przyłoz do proletariackich dziecek... Z wojokami... Można jeszcze mosz katejmusek abo biblijka?... Zbieraj, pieronie, te swoje gorolskie klamory i ciś zawcasu, żebyś nie uoberwoł po tym starym puklu!” Rozpłakołech sie i poszedech. Toć n'e zrażony, łaziłech tam jeszcze po roztomaitych izbach, byli tacy, co mie z radościom przyjeli i przywitali, ale mało ich, bardzo mało było... W jednym, jedzinym domu to mie bardzo grzecznie przyjeni i raduwali sie bardzo, aleh i tam wpod.

— Po jakiemu?

— No bo to były Żydy...

— No i cóż ty boroczku, święty Mikołajku, terozki bydziesz robić? — pyto św. Piotr. — To na bezrok już, wierza, nie pódziesz na ta paskudno ziemia?

— A póda, póda... toć sie, wierza, ludzie jeszcze poprawiom. A jak nie, to póda do Pana Boga i uozpowiem mu wszystko i poprosza uo rzetelne różgi, a jak nie inaczej, to o zielazne, tak jak przed dziesięć laty; może sie potym spamientajom ludzie, jak ich zaś bieda wysieć!

— Terozki źle, oj źle na tym świecie!

* * *

Mały Hanys poszoł z ojcem do menażerii. Stojom prawie przed elefantem. Hanysek przyglondo sie z zaciekawieniem i pado do ojca:

— Fater, tako rubo skóra, to by nom sie ale uobum przydała...

— Po jakiemu?

— Ano, Fater, wom... jak wos mamulka pierom, a mnie... zaś, jak pon rechtór walom.

* * *

W teatrze polskim w Katowicach wystawili piękną baśń „Szkłana Góra”, ciesząc się ogromnym powodzeniem wśród młodzieży.

Kiedys jedna matusia powiada do syna:

— Karlicku, umyj se kark, pódziemy dzisiok do tejatru na ta jakoś tam góra ze szkła.

Karlik se kark fajnie wyszorował. Cóż, kiej fater miast po bilety wloz widać kaj indziej, no i z tejatru nic.

Za pora dni powtórzyło sie to samo: Karlik kark wymył, ale do tejatru nie poszoł, bo to było przed „gieltakiem”.

Po gieltaku zaś to samo: już mieli iść, kark był fajny, ale coś wlaźło w parada, no i zaś nic z tego.

Nareszcie po pierwszym, tatulek przynieśli bilety. Pódom na pewno. Mamulka woła Karlicka i przypomino, żeby se kark umył, bo pójdom do tejatru. Na to Karlik:

— Ja, ni ma tak dobrze, zaś sie umyja i byda cołki tydzień, jak głupi lotoł z umytym karkiem, a do tejatru nie póda !

* * *

— Czamusz to płaczesz, Richardku ?

— A boch wleciół do kupy kurzu, a mamulka mi wykłupali galoty.

— No to przeca bez to nie potrzebujesz płakać.

— Ja, ale mamulka, jak je klupali, to mi nie zjeni galot !...

* * *

— Mamulko, czamu to niewiasty wdyczy rade noszom białe szaty ?

— Ano widzisz, moje dziecko, to skiż tego, że bioło szata oznaczo szczyńście i radość, zaś czorno smutek !

— A tóż tak ? terozki dziepiero wiem, muterko, czamu młody pon, jak idzie do ślubu, mo czorne łachy...

* * *

Karlik przynosi ze szkoły do dom świadectwo. Matka cyto go:

„Pilność dobra, staraność dobra, zachowanie złe”.

— Słuchej-no, ty śpiku — pado uoburzono, — zachowanie tyż powinno być dobrze !

— Ja ? Tóż powiedzcie to, mamulko, rectorowi, jo przeca nie pisa świadectwa.

* * *

„Mom w doma piekno „szparbiksla”, podaruwała mi jom na Dzieciontko ciotka Barbórka. Jest to świnią ze szparom w łebie, bez kiero sie wciepuje pieniondze !”

* * *

— Jak urosna — pado Marijka — to byda rehtorkom.

— A jo — pado Stazyjka — byda muterkom i byda mieć wiela dzieci.

— A to fajnie — pado Marijka, — bydom do mnie chodżyły do szkoły, a jo byda prać, prać, prać.

— Zmoro diosecko — pado Stazyjka i zaczyno gorzko płakać. — Co ci zrobiły moje dzieci ?

* * *

Pytlicka do swojej małej córki:

— Hażbietko, ale ty przeca nie uozprowiosz nikomu, jak sie czasem mamulka z tatulkim powadzom, co?

— Ale kaj tam, mamu, jo ino uozprowiom, jak se do kupy prajecie...

* * *

—Karlicku — pado uocić, do którego przez podwórze zdą-
ża nieubłagany wierzyciel. — Schowia sie do „śranku”, powiedz
tymu panu, kiery sam idzie, że mie ni ma w doma, zech poszoł
fórt.

Karlik zrobił, jak mu uocić polecił. Kiedy jednak wierzyciel
pyto, kiedy uocić przydom nazod, uotwiero skonsternowany Kar-
lik drzwi od szafy i pyto:

— Fater, kiej to przydziecie nazod?...

* * *

— Hanysku, czamusz to tak płaczesz?

— A bo tatulek rypneli sie młotkiem w palec.

— No to z tego powodu nie potrzebujesz płakać!

— Joch sie tyż przodzi śmioł z tego, ale potym mie fater
zeprali.

* * *

— Wyciepniesz zarozki te grziby, ty śpiku! Jak to w doma
uwarzycie i zjecie, to sie otrujecie. . . to są przeca grzyby trujonce.

— No dyć jo wiem! My tych grzybów nie bydziemy ani wa-
rzyć, ani jeść. Jo ich, wiedzom, ino niesa na sprzedaż!

* * *

Marijka: — Ale to dziwne, aże dziwne, nom ci boczoń
prziniós braciszka aże do samego łóżka.

Zefla: — To nic tak dziwnego. Mojemu tatulkowi prziniósła
jakoś frela syneczka aże do kancelaryje!...

* * *

W pewnym, małym miasteczku, przed domkiem, na którego
drzwiach wejściowych umieszczona jest tabliczka z napisem „Ka-
tarzyna Krzykała, położna” — stoi taki mały śpik, wspina się na
palcach, usiłując dostać dzwonka, umieszczonego pod tabliczką.
Przechodzący na spacer miejscowy proboszcz widzi bezskuteczny
wysiłek malca, podchodzi do bąka, bierze go pod ramiona i pod-

nosi do dzwonka. Chłopiec pociągnął i zadzwonił, aż się cała chałupa zachwiała. Pocziwy ksiądz proboszcz postawiwszy urwisa na nogi, pyta:

— No, a teraz co?

— Terozki? No terozki księżoszku musimy ale pieronem uciekać!...

* * *

W tramwaju siedzi se na ławce jakiś synek, któremu z nochała wyłazi „ciągiem śpicysko”. Jakiś starszy jegomość, którego ten nie bardzo przyjemny widok drażni, pyta:

— Te, mały, nie mosz to szeptychli¹?

— O ja, mom, — pado synek, — ale im nie pożyczka!...

* * *

Karlik stoi z Manusiem na gościńcu przed chałupą i skrzeczy.

— Mamulko, mamulicko!

— Czegóż to chcesz, ty jancykryście? — pyta matka, wyrzawszy z okna.

— A dyć nic, ino Manus nie chcioł wierzyć, że wy świdrzyć²!

* * *

— Faterlicku, cy wy poradzicie sie podpisać, kiej zawrzecie uocy?

— No, cóż ci po tym, Hanysku? Nie próbowałech jeszcze, ale myślą, że to żoden kunsztik.

— No tóż faterku, zawrzyjcie uocy i podpiszcie moje świadectwo ze szkoły.

* * *

Rechtór nakazuje dzieciom w szkole, żeby ile razy się u nich w domu zdarzy jakaś zaraźliwa choroba, nie przychodziły do szkoły.

Mała Maryjka Kopyciok nie przysła bez trzy dni do szkoły.

— Nasi muter byli chorzy, — pado Maryjka.

— A czy była to zaraźliwa choroba? — pyto rechtór.

— Nie wiem, ale fater padajom, że to już u nos jest chroniczne.

— Co ty padosz, aż chroniczne? A cóż matce brakowało?

¹ chustki do nosa ² zezujecie

— No jo tak prawie nie wiem, ale za każdym razem to momy potym w doma uo jedno dziecko wiencyj.

* * *

A chtëż to strzaskoł ta szyba ?

— A dyć mamulka, ale to z winy tatulka, kierzy uodskoczyli na bok, jak mamulka na nich ciepnęli gorckiem.

* * *

Mały Karlik pado do swojego bogatego ujka, kiery do uojców przyszoł w uodwiedziny.

— Ujku, pogryźcie se trocha trowy, ja !

— Cego, trowy ? A tobie co zaś strzeliło do łeba, Karlik ?

— A wiecie ujku, bo tatulek padali, że jak bydziecie gryźli trowa, to potym bydymy mieć automobil i swoja willa.

* * *

— Mutterko, a czy ludzie to w ziemi rosnom ?

— A czamuż to, Hanysku ?

— No, bo ujek, co przyjechali wczoraj ze świata, padali do uojca: Człowieku, a kajś tyż tako baba wykopał ?

* * *

U Niechciołów przyniósł bocian dziecko. Niechcioł pyta sie małej córeczki:

— No Stazyjko, radujesz sie, że ci boczoń przyniós zaś siostrzyczka ? co ?

— O ja fater, jo sie tam raduja, ale wiecie, coś inkszego to nom przeca wiencyj trzeba !

* * *

Fater: — No, ciesz się Karliczku, boczoń przyniós ci małego braciszka, chcesz go uobejrzeć ?

Karlik: — Ech nie, fater, to mi tam nie nowość, ale wiecie, tego boczonია to bych chcioł uoboczyć.

* * *

W pewnej rodzinie zakupili rodzice swoim dzieciaczkom, 6-letniemu Zeflikowi i 5-letniej Gustli, podarki na gwiazdkę i schowali takowe na szafie w izbie. Zauważył to Zeflik i postanowił

zobaczyć, co to tam to „dzieciatko” przyniesie, jak zaś fater i mutra pójda do miasta. Kiedy więc rodzice wyszli z domu, namówił Zeflik Gustla, oboje przysunęli ku szrankowi stół nakryty białym obrusem, no i zaspokoili swą ciekawość. Po tej procedurze odsunęli stół na stare miejsce.

Matka wróciwszy do domu, zauważyła plamy na obrusie, woła więc dzieci i pyta:

— Zeflik, chto to tyn ubrus podeptoł?

Zeflik pado:

— Jo ni, to zrobiła Gustla.

Na to Gustla:

— Muter, to Zeflik zrobiół, uon wloz na stół, bo uon chciół widzieć „dzieciontko”, coście go nom w sklepie kupili.

Matka bierze karwacz. Zeflik w bek i pado:

— Gustla mie do tego namówiła, uona tyż wlaźła ze szłapami na stół, bo tyż chciała widzieć „dzieciontko”.

Matka zaczyno dziecka jedno po drugim smarować i pado:

— Wy, uowady uoszkliwe, joch sam stół cystym obrusem przykryła, coby już był na wilijo, a ty jancykrysty mi go tak zmasiły.

Zeflik sie jakoś wydarł mutrze z ronk i beczonec pado:

— Wroźcie se kajś wasze dzieciontko, kiej nos za nie pierecie.

* * *

— Ciotko, uostawiłech wom cukierka.

— A to pięknie Wichtorku, no tóż mi go dej!

Ciotka bierze cukierek, wkłada do ust i zjada go.

— No, ciotko, cy smakował wom tyn bombon?

— No toć że smakował, syneczku.

— No widzicie, terozki nie moga zrozumieć, czamu go nasz pies wypluł.

* * *

— Fater, wstońcie, bo już cas! Uo kierej-ech wos to miał uobudzić, uo szóstyj cy uo siódmyj?

— Uo piontyj, ty jancykryste! A wiela terozki na zygarze?

— Dziepiero uoziem — pado synek.

* * *

Mały Pietrek coś tam przeszkrobał. Tatulek odpion wienc poska i wyspoł mu pora w najodpowiedniejsze ku temu miejsce. Pietrek beczy. Fater, po uominieńciu pierszej złości, chce uspokoić płaczoncego synka.

— No widzisz Pietrek, nie bec już, nie bec, toć jo ci przaja, widzisz...

— Ja, przajecie, — pado łkajonc Pietrek.

— No ja, widzisz, toć ci przaja, i każdy roz jakieś niegrzeczny i ci wyspać musza, to mie to tyż boli i wierza barzij niż ciebie.

— Ja... — pado Pietrek z żalem, — boli... ale nie na zadku!

* * *

— Tatulku, czamu wy na głowie ni mocie włosów?

— Ano widzisz, mój synecku, lo tego, że pracuja głowom, a na takiej głowie, kiero pracuje, włosy nie rosnom.

— Aha, toż terazki dziepiero miarkuja, czamu mamulka nie majom włosów.

* * *

Pewien uociet trzymoł uostro swe dzieci. Roz podczas uobiadu uodzywo sie synek:

— Fater!

Uociet wejrzoł surowo i pado:

— Cicho, najduchu, dziecko jeny wtencos uodpowiada, kiej go sie pytam, a jo sie ciebie uo nic nie pytom...

I je spokojnie dalej. A kiej skończył, pyto synka:

— No i cößeś to chcioł pedzieć?

— Ja, terazki już jest nieskoro, faterku! W szałocie, kieryście jedli, była glizda...

* * *

— Sam przidziesz, najduchu! Jo cie nauca słuchać! Jestech twój uociet, aboch nie jest twój uociet?

— Jako to? To mie kożecie zgaduwać?...

* * *

Jeden znany redaktor mo synka bardzo żywego, który ojcu „po rząd” przeszkadzał w pracy, stawiając mu ciągiem najniemożliwsze pytania. Zniecierpliwiony tatuś zrywa się ze stołka, powiada:

— Przejenty bembnie, jak mi sie jeszcze roz uo coś zapytosz, to uciekna z izby i uobiesza sie !

— Tatulku, — woło synek, — to mie weźcie ze sobom, jo bych rod chcioł widzieć, jak sie uobiesicie.

* * *

Pewien uociet doł niegrzecznemu Zeflikowi w skóra. Skończywszy ta przykro procedura, pyto:

— A teraz powiedz mi, mój synku, za coś dostał baty ?

Zeflik ryczonc:

— Widzicie fater. jacyście wy som ! Przodzi mie pierecie, a po tym to sami nie wiecie uo co.

* * *

Mamulka: — Gustlicku, ujek idom do dom, idź i dej im pieknie roncarka. A jakóż to mosz pedzieć, jak gość wychodzi już z izby?

Gustlik: — A chwala Panu Bogu.

* * *

— Muterko, — pado mały Hanysek, — naszo ciotka Haźbie ta mo tako słodko gemba...

— Słodko padosz, po jakiemu ?

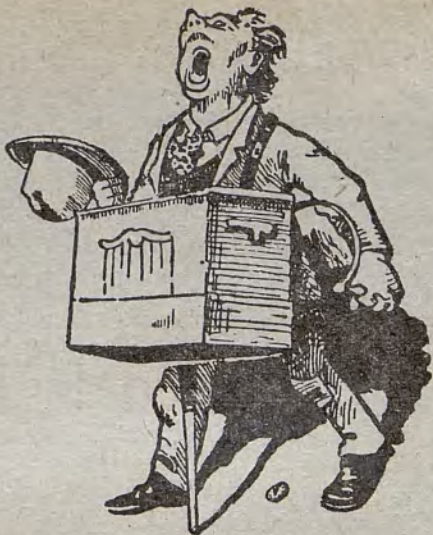
— No wiecie, skiż tych piegów, jak na nia patrza, to tak jak bych jod kołoc z posypkom.

* * *

— Staroszku, czy wy mocie jeszcze zemby ?

— Ni, moje dziecko, jużech wszystkie stracił.

— No, tóż trzymajcie mi ta żymla z wusztem, aż se ta klipa uostrugom.



UO BUKSACH — CHACHARACH I INKSZYCH MIGLANCACH

Kiedyś dawno jeszcze przed wielką wojną, ucząc się artystycznego rzemiosła między innymi i w Berlinie, poznałem tam tak zwanego „Schutzmana”, mieszkając razem z nim w sąsiedztwie, na piątym piętrze czynszowej kamienicy przy „Oranienstrasse”.

Przy bliższym poznaniu okazało się, że to mój ziomek, czyli jak jeszcze padają „Landsmann”, rodem spod Katowic. Odkrycie to zacieśniło sympatię, jaką siłą faktu ku sobie od pierwszego poznania poczuliśmy.

Często, czy to spotykając się z nim na schodach, czy też odwiedzany przez niego w mojej skromnej pracowni, gawędziliśmy sobie wesoło o naszym Śląsku i „Landsmanach”. Czuł się Polakiem i bardzo rad rządził „śląską gwarą”. Nazywał się Pikulik.

Otóż razu pewnego przychodzi sąsiad do mnie i wzburzony

opowiada o przygodzie, jaka mu się tego dnia zdarzyła. Polecono mu odstawić do sądu jakiegoś bukslika, podejrzanego o różne sprawy natury kryminalnej. (Nazywał się Pistulka.)

— Kiej-ech go tak wiód, — prawi mi Pikulik, — dzierzonc go za rencysko, naroz ten buks Pistulka uobroco sie do mnie i pado:

— Panie wachtmajster !

— No cegóż zaś ? Pieronie, cyś jest małe dziecko, że nie poradysz wytrzymać ! Dockiej zarozicki bydziemy na sondzie.

— Panie wachtmajster, jo nie uo to, wiedzom — jo bych chcioł cosik inkszego !

— Ja, inkszego... a cegóż to ?

— Ano, wiedzom, jo sam mom marka, chciołech se kupić bułka i kęs wusztu, bo mom, wiedzom, głód, jak sto pieronów. Bydom tacy dobrzy i dozwolom, dyć joch tyż jest człowiek !

— Dzisz, co sie to ślimokowi zaś zachciewo... głód mo. Joch już uod dwu godzin nic nie mioł w pysku, a nic nie padom. „Dienst je dienst” pieronie. Vorwärts marsz i już !”...

— Ale cóż, berdyjo zaś mie zacon prosić i molestować, a robił to z takim płacliwym głosem, zech, wiedzom, zmienknół. Padom se: dyć to tyż przeca jest człowiek !

Prawiechmy szli kole piekarza, tóż padom mu:

— No tóż wlazuj do sklepu i kup se, co ci potrza. Jo sam byda na ciebie cekoł... Ino uwiń sie, wartko, wartko !... „Dienst je dienst” pieronie !

Poszoł. Jo cekom ćwierć godziny, cekom pół godziny, cekom trzy ćwierci godziny, a tego gizda ni ma.

— Ni ma cie... o ty, diobli „lumpie”. już jo se po cia póda. Dockiej !

Wlazuja do sklepu i padom:

— „Mahlzeit”, panie majster ! Kaj to jest ten chłop, co se to sam bułki kupowoł.

— Ten chłop, — pado piekorz, — ja no, dyć uon już downo poszoł.

— Maryjko świento, poszoł, downo, kaj ? ! !

— A cy jo wiem kaj... Poszoł już przed trzy ćwierci godzinom, sam po zadku, bez te dźwierze !...

— O, ty pieroński „lumpie”, ty chacharze milioński, ty

podciepie jancykrysta... dockiej, chyca jo cie, aże chyca!

I rychtyk, cego nie robi Pon Bóczek. Ida jo se po połedniu na wachsztuba, naroz dziwom sie, a sam lezie Pistulka.

— Halt Pistulka... halt... bo strzela! Ty diobli szymo, ty cygónie zatracony... dom jo ci po zadku uciekać, aże dom!

Chyciech go za kragiel i marsz! — ale drab!

Idymy, idymy i kiejchmy już niedaleko wachsztuby, pado zaś ten gizd uoskliwy do mnie:

— Panie wachtmajster, nie gorszom sie, wiedzom, na mnie... jo już nie byda uciekoł... sprawiedliwie. Puszczom mie do piekarza, jo bych se rod bułka kupił... tak mi sie jeść chce, jak sto diobłów... Bydom tacy dobrzy i puszczom mie, jo zarozki wyleza. Bydom tacy dobrzy!...

No i cóż by uoni na to pedzieli, panie Karlik, aże co? Tacy, wiedzom, som ludzie.

— Do piekarza chcesz, żryć ci sie zaś chce? — padom do Pistulki. — Ano ni ma rady, jeść człowiek musi, tóż idź pieronie, kup bułka, a jo sam na przodku byda czekoł... Na przodku! — Pistulka, miarkujesz, cobys mi zaś bez zadek nie myśłoł uciekać!

— Ni, panie wachtmajster!

Joch se jednak pomyśłoł: ni ma tak dobrze, pieronie! Myślisz, żech jo taki głupi! Byda jo terozki wachowoł przy dźwierzach na zadku. Już jo cie dopadna, aże dopadna. Dockiej braciszku!

Pistulka wloz do piekarza, a jo mig do dźwierzy na zadku.

Cekom ćwierć godziny, cekom pół godziny, a Pistulki jak ni ma, tak ni ma.

— Nie przylazujesz, ślimoku?! Dobrze, już jo se po ciebie póda... nie szkodzi!

Wlazuja do sklepu i padom:

— „Grüss Gott”, panie majster”. Dajom mi sam ino tego karlusa, co se to bułka u nich kupił!...

— Karlusa, co se bułka kupił?... — pado piekorz, — a dyc uon już downo poszoł.

— Maryjko i Józefie święty!... poszoł, kaj, kieryndy poszoł?...

— No dyc sam, bez te dźwierze na przodku!... O już, wierz, bez trzy ćwierci godziny jak poszoł, „herr wachtmajster”!

— Uo ,ty marcho zatracono, ty cyganie świński, ty anarchisto

przejenty! Dockiej, dopadna jo cie, aże dopadna!

Za pora dni mom jo służba na „Szpittelmarkcie”; chodza se tam i nazod. Naroz dziwom sie, a sam niedaleko stoi Pistulka i uobgryzo se, jakby nigdy nic, jakieś jabłko.

Jo po gibku ze zadku i chap go za kragiel.

— „Malzeit” Pistulka! Jakóż sie to majom? A może bychmy zaś pošli do piekarza po bułki co? Bydziesz ty miał bułki pieronie, już jo ci sie terazki uo lepszy kust postarom, aże postarom! „Vorwärts marsz!”

Kiej tak tego gizda wieda, zaś-echmy przyšli kole tej samej piekarni. I co by uoni, panie Karlik, nie pedzieli. Ten zatracony chachor zaś zacyno skamleć:

— Panie „wachtmajster”, jo wiem, żech to jest taki pieron, kiery ani nie jest wert, że żyje na świecie. Przebocom mi, żech im uciek, ale to mie diobół skusił. Jo już terazki tego bych nie zrobił. Uoni som fajny chłop! Bydom tacy dobrzy i dozwołom mi se kupić plecionka u piekarza, tak mi sie, wiedzom, jeść chce, że nie moga wytrzymać. Puszcom mnie, panie „wachtmajster”, przeca to uostatni roz, już jo se terazki posiedza, aże posiedza i nie byda już tak wartko bułki uoglondół. Puszcom mie kochany panie „wachtmajster”!!

Bredzonc tak, płakoł jak małe dziecko.

No toć, Boże świenty, policyjon tyż mo serce. Tak mi zmienkło jak masło. Padom mu:

— Ty chacharze paskudny, zepsuty, chcesz zaś za błozna robić starego „Schutzmana”. Zaś ci sie do piekarza zachciewo, marcho zatracono i do nieszcynścio chcesz doprowadzić człowieka!... O, już ci się to nie udo, aże nie udo!... Chcesz żryć, dowej mi sam pieniondze na ta plecionka! Już ty mi nie uciecesz ani zadkiem, ani przodkiem. Sam bydziesz stoł przed dźwierzami i bydziesz ce-koł, a jo som póda po ta plecionka! Chacharze zatracony, cygónie ty diobelski!...

No i poszoł Pikulik, ale tyż i poszoł Pistulka.

Kiery zaś z tych dwuch dostoł order za spryt, tego sie niestety nie dowiedziałem.

* * *

A.: — No, dzisiok-ech aby roz zjod toni uobiod.

B.: — A welaś to zapłacił?

A.: — Sześćdziesiont groszy !

B.: — A coś to jodł ?

A.: — Zupa, befsztik, sznycel i jabłka !

B.: — Za sześćdziesiont groszy... to, wierza, wszystko musiało być końskie ?

A.: — Ni... jabłka ni !!!

* * *

— Wiecie co ? Jest nos trzech, urzondzimy se do spółki fajno wiecerzo. Jo dom jodło.

— No dobrze. Jo, jo dom picie.

— No, a ty Zeflik ?

— Jo wom dom słowo, że byda jod i pił z apetytem...

* * *

— Te Zeflik, kiejś taki mondry, to powiedz mi ino, jako jest różnica miendzy mojom babom a radiem ?

— A skond jo uo tym mom wiedzieć, mamlasie ?...

— No widzisz, to jo ci powia: moja baba do godanio nigdy nie potrzebuje nijakiej anteny...

* * *

— Wiesz, robia terazki kuracyjo, ale mie to uokropnie biere. Każdy dzień wstowom uo piontyj, potym sie gimnastykują do szóstyj, potym sie kopia w zimnej wodzie do siódmyj, potym do ósmej leca na szpacyr, potym bez ustanku robia do piontyj, zaś potym lotom do szóstyj, potym sie sebylkom do naga i do siódmyj zaś gimnastykują. Dziepiero terazki po tym wszystkim jem tyn pierszy talerz wodzionki.

— Ale człowieku, jak ty możesz takie życie wytrzymać ?

— A dobrze, przeca jo to dziepiero uod jutra zacynom.

* * *

— Hanys, a kajżeś to podziół twojego psa, tego fajnego wilka ?

— A sprzedół-ech go. Terazki ciężkie casy. Jak słysza, że sie tam kajś cosik ruszo, to som szczekom i bez to, widzisz, szpouja, bo nie musza płacić psiego podatku.

* * *

— Wiesz Zeflik, jak mój majster jest zły, to zarozki mo cerwony pysk.

— To nic, u nos to gorzyj. Bo jak nasz majster jest zły, to jo potym mom cerwony pysk...

* * *

X | — Panocku, bydom tacy dobrzy i pożyczom mi dwadzieścia złotych.

— Czego? Jo ich przeca nie znam!

— Toteż to! Przeca kto mie zna, to mi nie pożycz!...

* * *

— He, panie Kokot! Kiedy mi to wrócom moje pieniondze?

— Na drugi tydzień!

— Ja, na drugi tydzień, to mi uońskiego tydnia tyż godali.

— No, to im na drugi tydzień tyż tak powia... Joch nie jest taki człowiek, co jeden tydzień tak godo, a drugi inaczej.

* * *

Francik i Manuś, nieodłączni kamraci, pojechali se ongiś razem do Krakowa. Zachodzą do Hawelki, siadają przy stoliku i coś se zamawiają.

Na stoliku stoi karafka z jakimś tam płynem kolorowym, bardzo apetycznie wyglądającym. Oczywiście była to esencja octowa. Francika ogromnie kusiło, ażeby to skosztować, a upolowawszy odpowiednią chwilę, gdzie to ani goście, ani też Manuś, zagapiony na jakoś tam „frela”, nie zwracali na niego uwagi, łapnął flachę i porządnego z niej łyknął hausta. Efekt był taki, że mu się aż zaświeciło, a oczy zaszły łzami.

Manuś widząc to, pyta:

— A czegoż ty płaczesz?

— Ano, widzisz spomniot mi sie kolega, coch z śnim był na froncie, a zabiła go granata, i bez to płacza.

Za chwilę, kiedy znów Francik zagapiony na jakiegoś tam gościa odwrócił uwagę, Manuś łap za flaszkę i mocno z niej pociągnął. Rezultat był ten sam, co poprzednio u Francika. Francik widząc teraz u Mańka oczy pełne łez, pyta:

— A czegoż ty zaś płaczesz?

Na to Manuś:

— Ano płacza, pieronie skiż tego, że wtenczos ta granata ciebie nie zabiła.

* * *

Dwóch karlusów, oba jękały i zażarci nieprzyjaciele, spotykają się na drodze. Jeden powiada do drugiego:

— Cofnij się, ty pie...e...e...e...roń...s...s...ski strzypmie!

Na to drugi:

— Pieronie, cy...c...y...y...cy cofniesz to... to sło...o...o wo na... na...zod?

• Pierwszy:

— Głupiś, pieronie, jo...joch jest rod, zech... zech go wy...y...y...ciep!

* * *

— Ty, Hanys, cy już wiesz, że dzisiok rano uo piontej umar nasz przyjociel Zefl'k?

— Co ty padosz? No wiesz, mie by sie coś takiego nie mogło zdarzyć, jo uo piontej to jeszcze śpia...

* * *

— Panie komisorzu, joch cosik znod, tózech sie chcioł spytać, czy to sam u nich musza uoddać?

— No pewn'e, że jakieście coś znodli, to musicie to oddać. A cóżeście to znodli?

— No, joch panoczku robota znod, tóż bych im jom sam rod uoddoł.

* * *

— Na miłość Boską, człowieku, co wy robicie?

— Ano, chca sie uobiesić.

— No, jak sie chcecie uobiesić, to se przeca musicie powróz na kark założyć, a nie naokoło brzucha.

— Ja wiedzom, joch to już próbował, ale jak se powróz na kark założy, to potem „luftu” nie moga chycić!

* * *

W jednym miasteczku podchodzi przed lombard w nocy jakiś tyrknięty karlus i dzwoni przy bramie tak, że o mało dzwonka nie urwie. Wściekły i przerażony właściciel lombardu otwiera okno i pyta, co sie takiego stało?

— A dyć-ech sam u nich uonegdaj zastawił zegarek, mo numera 2528, bydom tak dobrzy i uobejrzom, kiero terozki może być godzina.

* * *

Do przedziału drugiej klasy wchodzi Karlik Mędrok, ma jednak bilet do trzeciej klasy. Naprzeciwko niego siedzi jakiś pan. Kiedy pociąg ruszył, przelatuje niedaleko samolot. Ów pan widząc to przez okno powiada do Karlika:

— No niedługo już, a i my polecimy !...

— Po jakimu ? — pado Karlik (po cichutku). — Czy ouni tyż majom bilet do trzeciej klasy ?...

* * *

— Pierzyna, po dioble to, jak ida wedle knajpy, to sie nijak nie poradza uoprzyć i musza tam wleść. Zaś jak stamtond wylazuja, to sie wdyczki musza uo coś uoprzyć.

* * *

— Ale doprowdy padom wom, chmotrze, iże baba nie jest człowiekiem.

— E, nie berejcie ino, nie berejcie... czamużby to baba nie miała być człowiekiem ?

— Ano toć możecie sie przekonać. Jak zawołacie za chłopem: hej człowieku !... to sie uobejrzy, a spróbujcie ino tak samo zawołać na baba, uobocymy, cy wom sie uobejrzy...

* * *

Jakiś nasz typowy bukslik, kiery roboty nie znod, bo jej nigdy nie szukoł, ulełoł sie kajś na fest, tyrpnoł uo jedno chałupa, potym uo drugo, zawadził uo jakoś latarnia, kiero mu prawie musiała stoć w drodze, no i gichnoł jak długi na chodnik niedaleko przykopy. W oka mgnieniu robi się zbiegowisko. Podchodzi policjant, łapie naszego brata za kragiel i pyto:

— Cóż to sam leżysz na tej ziemi ?

Na to bukslik:

— Przebocom, panie „wachtmajster”, jo wiedzom, pierona słuchom, cy tam na dole moje kamraty wongle kopiom.

* * *

Dwóch naszych karlusów, z zawodu monterów, wyjechało na robotę do Berlina. Przepracowawszy tam tydzień i otrzymawszy zapłatę, chcieli sobie troszka poszturmować. Idąc tak sobie i rozglądając, gdzieby se wstąpić, czytają nad pewnym sklepem napis „Manicure”. Zaciekawieni wchodzą do środka, gdzie ich od razu

posadzono na krzeselku, no i — jakoś gryfno „dziouuszka z bubi-kopfm oporządziła im pazury, obstrzygła je, wydropoła żałoba, namazała i wypolerowała”. Szpas ten kosztował trzy marki. Trocha im żal było pieniędzy, no ale zaspokoili ciekawość, a za to trzeba w Berlinie płacić. Nie uszli zbyt daleko, a tu znowu czytają „Pedicure”.

— Pieronie Hanys, co zaś to może być takiego? Pódźny, wszystko jedno, niech kosztuje wiewa chce, ale uoboczyć trzeba.

Włazą do sklepu, a tu, jak w poprzednim, sadzają ich na fotelu, ściepują im buty, no i robi sie to samo z palcyskami, ino że na nogach. Ani sie spostrzegli, kiedy za ten szpas zaś musieli dać po trzy marki. Wiedzą terozki przynajmniej, co to jest ten „pedicure”.

Idą dalej, idą, aż doszli do teatru (opery), na kierym uozwieszono afisze z napisem „Walküre”. Zdębieli. Naroz pado Zeflik:

— Hanys, pieronie, uciekejmy! „Manicure” i „Pedicure” to już wiemy, na co to jest, ale „Walküre” to już pierzyna nie wiem, co by nom sam jeszcze chcieli wypucować?

* * *

Na pewnej małej stacyjce na Śląsku pociąg pospieszny zatrzymuje się tylko minutę. Do kierownika pociągu podbiega Richard Musioł, który błądy wypadł z jednego z wagonów i prosi o pięciominutowy postój, ponieważ ma boleści i musi wyjść, a w wagonie nie ma potrzebnej ku temu ubikacji. Na to oświadcza kierownik pociągu, że się pod żadnym warunkiem na to nie może zgodzić i pociąg musi zaraz odjechać.

— No, to bydziemy widzieć — cy bydzie czekał, cy nie bydzie, — odpowiada Musioł.

— No, zobaczymy, — skrzeczy grubelacko kierownik i daje znak do odejścia pociągu.

Ale pociąg nie rusza. Kierownik daje jeszcze raz znak i gwizdże przeciągle. Pociąg nie rusza. Wpada więc z pyskiem do maszyny i pyta załogi, dlaczego nie jedzie. Na to maszynista:

— Bo nie moga, tam przed lokomotywom siedzi jakiś pieron...

* * *

Hanys Kintara przyszoł z urlopu w nocy do domu noclegowego i budzi Gustlika Macalika, z kierym śpi w jednej izbie.

Gustlik jest z tej samej wsi, co Hanys. Hanys tyrrpie Gustlika i pado:

— Gustlik, śpisz to?

Śpia, a co?

— Ano Truda kosała cie pozdrowić.

— Dziękuj bardzo!

Po pięciu minutach Hanys zaś woła na Gustlika:

— Gustlik, śpisz to?

— Cego mie, pieronie, po rzond budzis, aże budzis?

— No, bo Truda kosała cie pozdrowić.

— A dyć-eś mi to, mazoku, już pedzioł, a jak mie jeszcze, pierzynie, roz uobudzisz, to cie tak mazna w ten kichol, że mie popamientosz ruski miesionc.

— Ady zaś tak źle nie bydzie. Gustlik. Jo cie jeszcze fórt byda budził, boć cie Truda przeca kosała pozdrowić tysionc razy...

* * *

Karlik (najmując izba): — A wiela im to, panuchno płacił za ta izba na miesionc downiejszy kwaternik?

Gospodyni: — Ten chachor... ani fenika nigdy!...

Karlik: — No tóż dobrze... Biera ta izba na tych samych warunkach!

* * *

— Co to, zomb ich tak boli? A dyć jo bych go zarozki wyrwoł, jakby to był mój.

— No, dyć i jo bych go wyrwoł, jakby to był jeich.

* * *

W nocy uo godzinie trzeciej jakiś karlus łazi na czworakach po ulicy. Podchodzi drugi jego kamrat i pyto:

— Hanys, pierzynie, cyś uogłupioł? A cóż ty sam robisz?

— Jo? A dyć szukom. sto złotych!...

— Cego? Sto złotych?

— No dyć!

— A to ci bracie pomoga...

Po ćwierć godzinie:

— Hanys!

— A cego?

— A cyś sam zicher stracił?

— Pieronie, przeca jo nie padoł, żech je stracił, jeno że ich szukom!...

* * *

Hanys, spotkawszy *Gustlika* po roku niewidzenia go: — *Kajś* to tak długo bywoł?

Gustlik: — Adyc dopiero coch rok odsiedziol.

Hanys: — A za cōz to?

Gustlik: Podkowa-ech wzion jednemu gospodarzowi.

Hanys: — Toś za to aż rok dostał?

Gustlik: — No, bo sie tak głupio zdarzyło, że z tom podkowom był do kupy koń, wiesz!

* * *

Jeden z naszych Ślązaków, nazwiskiem *Hanys Lelek*, nie mogonc nikaj w kraju dostać roboty, wywendrowoł na „szyfie”, kaj sie zgłosił za „hajcera”, do Ameryki. Myśłoł se boroczek: jak sie ino dostana do tego kraju, kaj dolary rosnom na stromach, to mi już bieda nic nie robi... Ale dostać sie do Ameryki, to jeszcze nie wszystko, o czym sie miol nasz *Hanys* przynależytość przekonać. W tyj uobiecanyj ziemi dolarów jest bezrobotnych jeszcze wien-cyj, niż u nas w Polsce; tóż nasz *Hanys* łaził z dnia na dzień, uod rana do wieczora i szukał tej roboty. Nareszcie pewnego dnia szczyńście mu sie uśmiechnyło i dostał robota w jakimś wendrownym cyrkusie. Bez dzień pomagał ustawiać tyn cyrkus. Zaś na wieczór zawołoł go dyrechtór tego cyrkusu do siebie, kozoł mu wdzioć skóra od niedźwiedzia. Potym zawiedli go na arena i kozali mu sie ringować¹ z prawdziwym niedźwiedziem. *Hanys*, kiery zmiarkowoł, co sie święci, struchłoł. Cofać sie z areny było go gańba, bo to był chłop z naszej wiary. Zaś jak uostanie, pewny był, że go ta bestyja rozszarpie... Wienc kiedy sie ta walka zaczyno, zbliżo sie nasz *Hanys* po leku ku niedźwiedziowi i rzyko „Ojczcie nasz” itd. Wtym podskakuje niedźwiedź ku niemu i pado mu do ucha:

— Pieronie głupi, a dyc sie nie bój, bo jo tyż ze Śląska...

* * *

¹ borykać się.

Zeflik Kotyrba i Gustlik Macalik poszli sobie kiedyś na „wander”. Przyszli do większego miasta, ale im się jakoś nie widziało, ufechtować nic nie mogli i tak głodni i pełni smutku tapiają się nad brzegiem rzeki i utyskują nad swoim losem.

— Pieronie, Zeflik albo się utopić, albo co, bo ci tego już nie wytrzymom.

— No to się utop, nicht ci tego nie broni, — pado Zeflik. Naroz Zeflik aż podskoczył i pado do kamrata:

— Gustlik, som pieronie pieniondze, cytoj! — i mówiąc to wskazuje tabliczkę stojącą niedaleko brzegu, na której widnieje napis: „Za wyratowanie tonącego płaci magistrat pięćdziesiąt złotych”

Na to Gustlik:

— To cóż z tego, kaj mosz topielca?

— No, ty głupieloku! — pado Zeflik. — Ty bydziesz się topił, bydziesz ryczoł „retong”, a jo cie z wody wyciongna.

— Kiej nie poradza pływać.

— To nic. — pado Zeflik. — Jo trocha poradza i jakoś cie tam z wody wyciongna, nie bój się! Pieńcdziesiont złotych „zicher” kieremi się po bratersku podzielimy i bieda się skończy.

Jak uradzili, tak tyż zrobili. Gustlik wchodzi na „jakoś tam nadbrzežno kempka” i nie namyślając się wiele, wskakuje do wody. Woda jednak w tym miejscu głęboka, ciągnie Gustlika w dół. Biedak więc zaczyna naprawdę tonąć i z wywalonymi oczami wrzeszczy:

— Zeflik, topia się... ratuj!

Tymczasem Zeflik stoi najspokojniej przed tablicą z wlepionymi nań oczami i ani myśli pomóc kamratowi. Po wielkich usiłowaniach półżywu Gustlikowi udało się jakoś wygramolić z wody. Podchodzi więc do Zeflika i powiada:

— Czamuś mie nie ratował, tak jak-echmy to obgodali, uo mało co, a byłbych się utopił. To kamrat, przyjociel tak robi, co?... To świnią by porzondniej postompiła, a ty diobli soroniu, ty! Za to cie tak ino maznońć w pysk, żebyś zaroz do tej wody wleciół.

Na to Zeflik:

— No, cóż się tak uozdzierosz? Dyć inoch chciół twojego dobra i tyła.

— Jak to dobra? — pyto Gustlik.

— Ano, joch chcioł, bymy wiencej zarobili. Dyc cytej na tyj tablicy? Sam stoi: „Za wyratowanie tonącego płaci magisrrat 50 złotych. Za wyciągnięcie trupa płaci się 100 złotych”. No tóż powiedz, chciołech twoja krzywda? I cy mom głowa na karku?...

* * *

Richard do *Alojza*: — Pieronie, Alojz, ale źle wyglondosz!

Alojz: — Nie dziwota, jak człowiek musi przy monterach haruwać od rana do wieczora.

Richard: — A długo to tam już robisz?

Alojz: — Po niedzieli mom zacońć...

* * *

— Wiesz Hanys, kupilech ci se psa, wilka, a taki ci do mnie przywiązany, że za nikim nie pójdzie ino za mnom, uod nikogo żarcio nie weźmie, ino uody mnie, nikogo ci nie użre, ino mnie...

* * *

Karlik, weź mycka i idź do sklepu! Kupisz wusztu, szyuki, szwajcarskiej kejzy, styry flachy koniaku, dwadzieścia flaszek piwa cornego, dziesięć cygor, no i kup żymeł.

— Fater, a cy to wszystko mom wziąć na bórğ?

— No nie, żymyły mozesz zapłacić.

* * *

— Zeflik, powiedz mi, jako jest różnica miendzy kozłem a dyrechtořem banku?

— Nie wiem.

— Nie wiesz?... toś tromba. Widzisz, kozioł wdycki som trefi do kozy, zaś dyrechtořa banku trza tam dziepiero zawieźć.

P i e r w s z a s p o w i e d ź

(Nie-bojka)

Hanys Kręćik małym se był śpikiem, ale za to strogim huncwotem. Wszandy go było pełno: w szkole i kościele zawsze będyjo stoł na zadku, zaś przy zgóbieńiu¹ na samym przodku. Przy

¹ dokazywaniu.

pocierzu zawsze społ, przy robocie morzył, jeny przy misie to sie pocił. Zdrowie służyło mu, zwyczajnie jak wszystkim wielkim gałganom, papla srogo i cerwiono. Na okrongłym, wielkim łebie rosła szopa, jak uciepka słomy do straszynio wróbli. Jedna wiecha na lewo, drugo na prawo, jedna sam, drugo tam, zaś wele uszów styrcaly dwie mańsze uciepeczki, a potrzonc na nie, każdego świen-działo rencysko, żeby za nie pociongnońć. Najwiencyj tyż używoł se na nich pon rechtór, kiery pokusie nigdy nie poradził sie, prze-ciwstawić.

Dzisiok dziwny i paskudny był dzień. Hanys Kręcik miał iść do pierszej spowiedzi. Najstraszniejszom chwilom w jego życiu miał być pierszy rachunek sumienio. Matka, idonc rano ze mszy, kupiła Hansykowi w sklepie u Sollmana srogo kartka papieru biłego i „blajszyft”.

— Hanys !... — padali muterka — siednij se sam pięknie przy stole, gemba uobróć sam, na uobrozek, do Pana Jezusa. Weź se ten papier, myśla, że ci styknie i zrób se po lekutku i z uozwo-gom rachunek sumienio. Zebyś zaś nic nie zapomniół, napisz se wszystkie grzychy, te ciężkie przódzi, a potym te mańsze. Siedź a nie wierć sie, wiesz, że po połedniu mosz iść do pierszej świętej spowiedzi.

Padajonc to muterka, poszli do kuchni zająć sie pospodar-stwem, cichutko jak zwyczajnie, a to skiż tego, żeby Hansyka w sku-pieniu nie szterować.

Tóż siedzi nasz Hanysek, po prowadzie nie siedzi, a zdo sie przylepiony do kanty stołka. To abo gryzie koniec „blajszyfta” abo tyż, jak mu sie jaki srogi grzech spomni, chyto sie rencyskiem za kudły.

Uod czasu do czasu przeżyżdzo mańkutem wartko bez stół a nigdy po darmo. Po każdym takim ruchu wyciongo miendzy palcyskami jedna abo wiencyj much, ale dzisiok uozgnioto im jyny łeby ; skrzydeł, ani szłapów nie wyrwywo, a to skuli tej spowiedzi, do kierej przeca puść musi. Kiej se tak w duchu wspomino swoje pora przeżytych lot i wszystkie gałgaństwa i niecnoty, to go aż mory bijom, aż mu sie ćma robi w uocach. A sam jeszce zygor, jak-by na złość, po rzond na ścianie pado: doc-kiej, doc-kiej, doc-kiej ! Nojbardziej to go mierzi ten grzych z cornym kotem uod ksiendza

faroża, kierego na jesień chycił, udusił, a potym w chływiku uobie-
sił.

— Ano jak ty mnie, tak jo tobie!

Bo trza wom wiedzieć, że nasz Hanysek bardzo przoł pto-
kom, miół ich tyż porańście, kiere se nie bez trudu przeca chycił
do ślaczka. Roz widzioł, jak mu jakieś kocisko porwało ulubionygo
czyza. Od tego czasu zaprzysiengnoł wszystkim kotom śmierć.
Nojgorzej to zaś było, kiej po zamordowaniu farożowego kota,
skrył sie Hanysek za stodoła i czekał, aż gospodyni uod księżoszka
pódzie do chływika futrować kury. Rozpacz i złość, jako się po
ujrzeniu zabitego kota objawiła na tłustej gembie gospodyni, na-
pełniła naszymo Hanyska nojwienkszym rozkoszom. No, ale to
przeca grzych tuplowany!

Tóż pisze Hanysek: ... Staremu kopidołowi wraził do fajłki
jakieś kudły, kiere znod na placu... Gospodorzowi Cypionce, jak
wióz na furze żyto do młyńa, przerznoł nożym dwa miechy...
Starej komornicy Pytlinej wytrzas śłodrom dwie szyby... Swojej
mutterce (kiero była wdowom i ciężko na utrzymanie swoje i Ha-
nyska musiała pracować) prawie co dzień wyzyroł z gorka młyko
i to bez ździebło...

Pisoł tak i pisoł, co jedyn grzych to wienkszy, co jedno gał-
gaństwo wienksze uod drugiego.

Toć z tym ździebłem, dziepiero zaś wcoraj to zrobił — a
wiecie jak? Wrożoł do gorka bez kozuch słomka, kozuch uostoł
nie naruszony, a młyko wyzyroł. Mutterka wierzyli, że to zaiste
jakieś czary, abo urok zmory, kiero jom uod czasu do czasu w nocy
gniótła. Ani jej bez głowa nie przeszło, że to sprowka tego jancy-
krysta Hanysa. Jeszcze wiecie, co jej radził:

— A dyć, muter, weźcie se świencono woda i pokropcie tyn
gorcek, to sie wierza uodmieni.

O ja, ludkowie, najduch zatracony to uon już tam był, tyn
nasz Hanysek. Kiej już tak tych roztomaitych kąsków spisoł —
bez trzydzieści, nie poradził se już wiencej spomnieć. Tóż wzion
i przeczytoł se ta litanijo coś bez uoziem razy, to skuli wprawy.
żeby nic nie zaboczył i wartko spowiedź odbył i nie uozdroźnił
bez stenkanie ksiendza faroża, miarkujonc z góry, jak sie to księżo-
szek z takiego grzysznika jak uon, radować bydom.

Potym Hanysek podpisoł jeszcze pod ta swoja grzyszno li-

tanijo swoje miano i przezwisko, kartecka pięknie złożył i wraził jom se do kabzy.

Na uobiod dali muterka zacierki na samym mlyku, ale mu jakoś nie podłaziło. Zaiste mlyko przypominało mu ten grzych ze słomkom. Ba, i mutrze nie mógł wejrzeć do uoców, toć nosił teraz w kabzie na piśmie, włosnym rencyskiem napisane, jaki to z śniego huncwot.

— No, wielaś to tam tych grzychów naszkryfłół, Hanys? — pytali muterka.

— Ujdzie muter, ni ma tak źle.

Po jodle zabroł sie Hanys do szkoły, a stamtond z inkszyni syncyskami poszoł do kościoła.

Ksiondz „faroż” siedzieli już w słuchatelniczy i zarozki tyż mali grzysznicy zacyni jeden po drugim w skrusze i z pewnym lenkiem podchodzić do Bożego trybunału, opuszczajonc go po odbytej spowiedzi z ulgom i lekkościom. Szło to szykownie i wartko, jak nie-przymierzajonc po maśle. Nie dziwota, syncyska prawie że koždy grzychy miał napisane na papierze, to tyż roz dwa uodcytoł je jakby z książki. Toć ksiondz faroż sami tego naucyli na katej-musku, radzonc:

— Ino se wszystkie grzychy spiszcie, chłopcy, żeby nic nie zapomnieć. Uobocycie, jak wom to bydzie lekutko na sumieniu, jak grzychy dokumentnie wyznocie i za nie żałować bydziecie. Tego nie idzie wcale uopedzić, takie coś, to sie ino cuje.

Ale naszymu Hanyskowi jakoś ciężko szło z tym żolem za grzychy i postanowieniem poprawy. Widać, jeszcze go ciengiem żył duch kuśił.

Tego siwego kota — myśli se — kierego terazki mo gospođyni, chciółbych dopaść, zarozicki gizda uobiesza. Jutro se go musza upasować.

Ale nim sie łoroczek spostrzegł, już przy słuchatelniczy na niego przyszła kolejka. Nogi mu dygotały, kiej uklenknoł kole krotki. Ksiondz faroż uotworzyli uokienko na znak, że Hanys mo zacząć spowiedź. Ten zaś nic, ino szuko i szuko rencyskami po kabzach. Księżoszek zniecierpliwieni padajom:

— No, czamu nie zaczynosz? Godej: „Jo ubogi, grzyszny człowiek...”

Ale Hanys nic, czerwony jak rak poczon przewrocać w

kabzach, patrzonc zakłopotany to sam, to tam. Wreszcie ze łą w głosie pado:

— Prosza uojca duchownego, joch stracił moje grzychy.

— Cego to, grzychy-eś stracił... widzisz, ty gałganie, no i jakóż teraz bydzie?

Ale dobry ksiondz faroż jakoś zaradzili, no i zaczyni Hany-skowi w wyznawaniu grzychów dopomogać.

Tóż, noprzodzi przyszła sprawa z tym uobieszczonym kotem gospodyni, potym te dziury w miechach, a potym już po porzonjku wyśpiewoł Hanysek jeden grzych po drugim, nie zaboczywszy nic. Toć jedno przestempstwo prawie było podobne do drugiego.

Kiej skończył, czekał terozki pokuty bez jakiejkolwiek obawy. Boć cóż tyż księżoszek mieli robić, przeca wrzeszcć głośno nie mogli, boć ucyli na katejmusku uo tajemnicy świętej spowiedzi. Za uszy ani za kudły tyż go wytargać nie mogli, bo chroniła go uod tego krotka w uokienku, kierej praktyczność pod tym wzglendem dziepiero terozki podziwioł.

A potym księżoszek wcale nie byli tacy źli, jakby sie zdowało. Jenó skiż tego kota, to się pytali:

— A czyś go wierza menczył?

— Ni, prosza ojca duchownego, jonych go uobiesił.

Nic na to księżoszek nie padali, a nawet zdowało sie Hany-skowi, że się troszycka pod nosem uśmiechnyli.

— Uo, tymu siwymu gizdowi tyż nie podarują, tyż go uobie-sza, jo już mom wprawa w tym — myśłoł se Hanys, kiej po otrzy-maniu pokuty, uodchodził od słuchatelnicy.

Wyszedłszy z kościoła czuł nasz Hanysek ogromnom lekkość na duszy, aż se podskoczył z rozkoszy. Ale nim szłapami dotknął ziemi, już go chtoś ze zadku dopodł za kragiel. Patrzy, a to gospo-dyni od ksiendza faroża, chyciła go i zawłykla ze złością w ślypach do szopy. Tam chyciła kawoł drewna i nuż uobkładać Hanysa.

— Tóżeś to ty mi, chacharze, tego kota zakatrupił... ty? A mosz... a mosz... a mosz!

Hanys przeca nicego nie żondoł, a gospodyni ino dowo i dowo bez ustanku:

— A mosz!... A mosz!...

Oj! ryczoł tyż to, boroczek, ryczoł, aż sie kury wystraszyły i jak głupie na wszystkie strony zaczynny uciekać.

— Już nie byda... już nie byda... już nie byda... — skrzeczło Hanysek.

W ten sposób dziepiero gospodyni uobudziła w Hanysie prowodziwy żoł za grzychy i postanowienie poprawy.

Nareszcie gospodyni zmenczono, ciepnyła drewnym do szopy a Hanysem ze szopy. Uciekoł tyż to, uciekoł, aż się kurzyło za nim, a jakby na urongowisko usłyszoł z dachu wesołe miałczynię burego kota. Ale uo wieszaniu go, już biedny Hanysek nie myśłoł. W łepetynie jego krenciła się ino jedna myśl: fto jej pedzioł uo tym kocie? Toć nieroz przezywoł na gospodyni po cichu „czarownica”, a dzisiejsze lejty utwierdziły go w przekonaniu, że niom baba jest.

Kiej ze zbołałym puklem przyszoł du dom, muterka czekali już na niego przed progiem. Rence trzymali na zadku, trzymajonc cosik, co nie koždy potrzebował widzieć.

— No, tóżeś przyszoł, mój synečku? — przywitali go muterka jakimś dziwnym głosem. — Tóż pódź do izby, pódź!

W izbie dziepiero uoboczył Hanys, co to muter kryli za sobom. Była to blank nowo trzcina...

— Dockiej ty jancykryście, już jo cie teraz poświeńca, jo ci pokoża mlyko, już go terozki nie bydzie ubywało, aże nie bydzie!..

I muterka zabrali się do Hanyska dokumentnie, oj zabrali. Pukiel uoszczendzali, jakby wiedzonc, że tam już wlaźło, co wleźć miało. Ale za to pora coli niżej... flastrowali, a flastrowali z wpławom, jako jeno majom nasze mamulki na Śląsku.

Hanys ślimtajonc i trzymajonc sie za galoty, myśli: Tóż to to jest ta tajemnica świentyj spowiedzi i to, so sie po niej cuje...

Wyrwawszy się muterce, ino roz prasknył do dźwierzy i na dwór. Polecioł na niedaleko łoncka i położył sie boroczek, zbity i zmaltretowany, do trowy, niedaleko płota. Usnoł z wielkiej turbacyji. Naroz uobudziło go jakieś bolesne darcie w głowie. Nie myślćcie, że to z jakiegoś było zaziembienio... o nie, powód to był blank inkszy.

Siodłok Cypionka klencół z drugiej strony sztachetów, prze-
raził rencysko bez szpara i trzymoł Hanysa za kudły. Potym

dopod go za uszy i jak klyscami ciongnął, jakby chcioł wielki łeb Hanysa przeciongnąć bez wąsko szpara w sztachetach. Hanys skrzeczół:

— Muter, moje uszy... moje uszy!

Cypionka zaś śmiejonc sie, padół:

— Muter, moje miechy... — i ani myśłoł popuścić.

Kiedy jednak po pewnym czasie puścił łeb, uszy Hanyska wyglondały, jakby je chto uomalowoł modrom tintom¹. Uciekajonc po zapłociu do dom, trefił na swoje nieszczęście kopidoła, wi-dać że tam na niego wachowoł. Oj, ździelił go tyż to, ździelił styliskiem uod łopaty bez zbołoły zadek, aż mu się w uoczach zaświeciło.

— Mosz, ty diobli śpiku zielony, za te kudły we fajfce... mosz... a mosz!

Tak boroka nigdy jeszcze nie sprano, jak dzisiok. I to ksiondz faroż uosprawiali na katejmusku, jak sie to koždy dobrze i lekko czuje po pierwszej, świętej spowiedzi.

Nazajutrz biedny nasz Hanysek, szykujonc się do Stołu Pańskiego, ledwie trzymoł sie na nogach, tak go wszystko bolało i po-liło. Do tego przyłonczył sie jakiś dziwny lenk, — po rzond mu sie zdowało, że chyto go Cypionka za kudły, abo tyż czuł mu-trzyna trziczna na galotach.

Po Komunii świętej przytompół Hanysek razym do chałupy, kaj po lekutku powróciła mu zaś radość do życia, zwyczajnie, jak to u młodych. Muterlicka nie czekali już dzisiok ze trzcin-kom, ale naszykowali dobrej kawy i srogi kęs kołoca z posypkom, kiery Hanys spucowoł nie uostowiajonc ani kruszynki. Jeny że stoł borok przy jodle i choć go mamulka namowiali, żeby se siednył, rie chcioł ani rusz. Widać to wcorajsze świencynie młyka jeszcze siedziało na zadku.

Kiej po pewnym czasie spuchniente uszy Hanysa zaczęny wracać do pierwotnego wyglądu, a i ta część pod plecyma wydobrzoła. Hanys po lekutku wrócił też zaś do rozumu. Zaczół myśleć i sie zastanowiać i terozki dziepiero zrozumioł, że to spisane grzechy, kiere stracił, były powodem jego nieszczęścia i udrenki.

A rzec miała sie tak: Francik Smykała Hanysa nojlepszy

¹ atramentem.

przyjaciół, znad ta kartka z jego grzechami, a jako dobry kamrat polecił do wszystkich poszkodowanych i grzechy Hanysa zdradził. Uwierzyli, boć przeca kartka była fajniście podpisano przez Hanysa jego mianem i przezwiskiem.

Ale Hanysiek tej przyjacielskiej przysługi nie zaboczył, oj nie...

Po pewnym czasie Francik Smykała miał podbite uoko i spuchniento papla. Wtajemniczeni uosprawiajom, że to mu Hanys uoddoł coś z tego, co dostał uod wszystkich w dniu swojej pierwszej, świętej spowiedzi.

* * *

Nauczycielka: — Kokot powiedz mi, wiele jest trzy razy śtyry?

Kokot: — Dwanoście.

Nauczycielka: — Dobrze. A wiele jest cztery razy trzy?

Kokot: — Śtyry razy trzy jest szesnoście.

Nauczycielka: — Źle!

A pragnąc nieukowi wytłumaczyć rzecz poglądowo, każe przynieść swojego pieska skomlącego pod drzwiami klasy. Bierze więc psa i zwracając go głową do ucznia pyta:

— Co to jest?

— To jest pies — powiada uczeń.

— Dobrze, — a odwracając teraz psa drugą stroną do ucznia, pyta: — A co to jest?

— To jest suczka, prosze pani nauczycielki.

* * *

— Lelek, ile dzień ma godzin?

— Pieńćdwadzieścia.

— Co? Któż cie to tak nauczył?

— A pon rehtór wcoraj padali, że terozki dzień już uo godzina jest dłuższy!

* * *

— Co to jest cud?

— Nie wiem, panie rehtór.

— No, gdyby na ten przykład słońce świeciło w nocy, co byś powiedział, co to jest?

— Miesionczek.

— No, ale gdyby ci powiedziano, że to jest słońce, jakbyś to nazwał?

— Ano, że to cygaństwo.

— A gdybym ja, co nigdy nie kłamię, powiedział ci, że to słońce?

— To bych pedzioł, że uoni sie uożarli, panie rehtór.

* * *

Nauczyciel tłumaczy uczniom o pożyteczności zwierząt i co człowiek wszystko od nich otrzymuje:

—Widzicie, moje dzieci, pszczołka daje nam miód i wosk od krowy mamy mleko i skórę na obuwie, świnia daje nam mięso i szczecinę do szczotek i tak dalej.

— A jakie bydlątko dało ci ubranie? — pyta rehtór Karlika

— Mój uocieć, panie rehtór.

* * *

— Przed wiejską szkołą zatrzymał się wóz z mlekiem, zaprzężony w osła. Syncyska drażnią biedne zwierzę, jeno potulny Hanysek stał na boku i nie brał udziału w tym gałgaństwie. Chłopców dokuczają coraz bardziej osiołkowi. Wtem nadchodzi właściciel wózka, syncyska uciekają, jeno Hanysek zostaje przy wózku, który w poczuciu swej niewinności był pewny, że mu się nic nie stanie... i naraz dostał festelnie w głowę.

Nie czekając, aż drugi raz dostanie, ucieka do sieni szkoły i wpada „na księdza kapelonka, kierzy tam ucyli katejmusku”.

— Co to za zachowanie, — woła oburzony księżoszek i maźnął Hanyśkę „bez gęba”.

Z płaczem i wrzaskiem wpadł Hanysek na schody i spotyka pana rehtora.

— A ty co tak skrzeczysz, najduchu?

— Bo ksiondz kapolonek dali mi w pysk, a jō przeca tymu uosłowi nic-ech nie zrobił!...

I Hanysek zaś dostał po raz trzeci w pysk.

* * *

— Podobno jeich synek dostał zły stopień z historii.

— A bo tym rehtorom to się już we łbach poprzewrocało... pytajom się biedne dziecko uo takie rzecy, kiere się stały, kiej go jeszce na świecie nie było.

Koń należy do zwierząt domowych, jak gęś, kokot, kura, gołomb i płoſcyce, chociaſki mało kiery mo konia w doma, chyba że tyn iſtny jeſt „kuczerem”, „bergdyrechtorem” abo ſzergom¹. Jak wſzystkie zwierzynta domowe, koń należy do zwierząt pożytecznych, bo dowo człowiekowi zarobek, chociaſ mu nie dowo mlyka.

Koń jeſt długi i mo na samym przodku ſrogo głowa, kiero ſie nazywo końsko głowa abo łeb. We łbie po uobuch stronach mo koń uocy, kiere ſom zawsze ſłepo, ſkiż cego noſi koń bryle² ze ſkóry, przez kiere jeſzcze mniej widzi, jak przedtym. Koń, kiery jeſt ſłepo na uocy, widzi z przodku tak ſamo, co i ze zadku. Koń nie mo kudłów na łbie, a jeno na karku i tym ſie różni uo człowieka. W gembie noſi koń zemby, jak człowiek, po kierych ſie poznowo cy koń jeſt ſtary, cy młody.

Koń mo z wierchu pukiel, (cyli jak rechtór padajom grzbiet) kiery ſie ciongnie bez całego konia aſ do zadku, a jeſt na to, aby na nim mogło ſie rajtować. Ten pukiel jeſt zawsze bardzo chuły i uoſtry i lo tego trza mu zawsze przywiązać ſiodło abo rubo deka, ażeby ſie tyn, co na nim rajtuje, nie uoſłupoł na poły. Na koſdym końcu mo koń jedna ſłapa, do kupy ſtyry, z kierych jedno zawsze jeſt popsuto i zawsze muſi lotać na trzech abo na jednym. Zadniom ſłapom koń ſwito, na co trza bardzo dować pozór, bo to jeſt niezdrowe. — Na samym zadku mo koń uogon, z kierego ſie robi matrace abo pendzle, a kierym ſe koń moſe chuſtać abo uodganiać muchy.

Między uogonem a łebem mieſci ſie cały koń, kiery mo na bokach wyſtajonce ziebra, kierych koń nie ſmie widzieć, aby nie umar ze ſtrachu, że jeſt taki chudy. Skiż tego dowo mu ſie na ſłypie bryle.

Z konia robi ſie wuſztliki końskie. Używo go ſie tyſ do rajtowania i zaprzyngania, ale coroz mniej, bo ludzie wolom terazki jechać na kole abo na autoku.

¹ hyclem² okulary

Jeśli koń jest rodzaju żeńskiego, to pado sie na niego kobyla
abo skapa, cego jednak uozpoznać nie idzie, bo koń męski wygłon-
do tak samo jak koń babski, kiery nie nosi kiecek. — Koń jest
stworzyniem bardzo dobrym i pożytecznym, cóz z tego, kiej go jest
coroz to maniej, a to skiż tego, że go ludzie coroz to wiencyj zeży-
rajom. Koń je trowa, siecka abo uowies. Piwa ani gorzołki nie pije.
Cytać tyż nie poradzi, bo nie potrzebuje chodźić do szkoły.

* * *

W jednyj wiosce uotrzymał pon rehtór w podarunku uod jed-
nego z wdziencznych uojców ucznia, mendel jaj. Uradowany tym
bardzo postanowił skorzystać ze sposobności, jako że prawie była
lekcja rachunków i przerobić na owych jajach do kupy z uczniami
śtyry działania rachunkowe.

Zaczon więc nauka w te słowa:

— Słuchejcie ino, dzieci i dowejcie pozór. Na górze mom ko-
szyczek z jajami. Idzie tam Pluszyk i przynosi trzy jajka, potym
idzie tam Różła Gmyrek i przynosi coś śtyry. Wielu to bydzie do
kupy? No, powiedz Pataś!

— To bydzie siedym!

— Bardzo dobrze! No, a terazki jo śniesia jeszcze pięć. Wielu
to bydzie do kupy? No, powiedz, Jendrek?

Jendrek sie zacyno śmioć do rozpuku i nie uodpowiado.

— Czamu sie śmiejiesz? Odpowiadaj na pytanie, uośle darda-
nelski! — woło zagniewany rehtór.

— Jeckusie, panie rehtór, przeca uoni nie poradzom snosić ja-
jec, uod tego przeca som kury!...

* * *

— Hażbietko, nie gańba cie to, — pado rehtórka, — mosz
już śtyrnoście lot i nie potrafisz nawet bez błendu napisać własnego
nazwiska?

— A cy sie to uopłaci? — pado Hażbietka. — Za pora lot
sie wydom i byda sie i tak inacyj nazywała...

* * *

Nauczyciel w szkole wyjaśnia szczegółowo uczniom zdanie:
„Wiek sędziwy należy szanować!” Chcąc się przekonać, czy
dzieci rozumiały, daje taki przykład:

— Powiedz mi Gomóło, jakbyś postąpił ,gdyby do przepełnionego tramwaju, w którym siedzisz, wszedł staruszek?

— Pedziołbych: Nie ryjom sie sam, bo nie ma placu !...

* * *

— Gustlik ! — pyta rehtór w szkole, — co otrzymujemy z gęsi ?

— Z gęsi dobre mięso.

— Dobrze, co jeszcze ?

— Z gęsi momy tłuste.

— Dobrze, ale nie mówi się tłuste, a mówi się tłuszcz... Ale co jeszcze mamy z gęsi ? No, nie wiesz ?... Co macie w domu w łózkach ?

— Płoszcyce, panie rehtór.

* * *

W szkole na lekcji religii jest nauka o pochodzeniu człowieka jakaś przemądrzała uczennica wyrwa się i mówi:

— Prosza ksiendza katechety, mój tatulek padali, że my pochodzimy od małpy.

— Tak, to powiedz tatulkowi, że my sie sam historią jego rodziny nie zajmujemy ,a ino historią biblijną — powiada ksiądz katecheta.

* * *

Mały Gustlik chodzi do gimnazjum i jest uczniem pierwszej klasy. Kiedyś (zdarza się to bardzo często) był bardzo niegrzeczny Pan profesor, którego napomnienia nic nie skutkowały, przesłał ojcu Gustlika „karteczkę” z następującą treścią: „Gustlik zachowuje się w klasie niegrzecznie, ustawicznie gada i przeszkadza innym w nauce”. Karteczkę tę miał Gustlik na następny dzień zwrócić p. profesorowi z podpisem ojca.

Gustlik przyniósł nazajutrz wspomnianą karteczkę, na której obok podpisu ojca przeczytał zdanie: „Panie profesorze, to jeszcze nic, to by dziepiero musieli poznać jego matka — ta dziepiero godo, aże godo !!!

* * *

— Kopyciok, powiedz mi, dlaczego Cham śmiał się z ojca swego Noego ?

— Bo sie Noe uożar, panie rehtór !

— Bardzo dobrze, (ale nie mówi się uożar, a upiŕ) ... Ale gdyby i tak było, czy śmiałybyś się z własnego ojca?

— Nie, panie rechrór.

— Dlaczego?

— Bo każdy roz, jak mój uocię przyłazom do dom uożarci, to jo już śpia.

O p i s ś w i n i

(Opracowanie szkolne Zeflika Mądrali)

— Świnia, jako że mo śtyry szłapy, to należy do zwierzont. Świnia zaczyno się uod przodku dwiema dziurkami uobtoconymi mięsem, co się nazywo ryjok. Ryjok jest bardzo świni potrzebny, bo go wszandy wrožo, aby coś wywoniał, a co zaś wywonio, to zaroz pakuje do pyska. Pysk świni skłodo się z zembsków, długiego języka i tego, co tam wrožo. Język włazi prosto do żołondka, kiery przyjmuje wszystko i jest bardzo srogi, bo każdy świnia mo wielki apetyt i żre ciengiem i lo tego nazywo się świnia, jak każdy inkszy, kiery uonacy to samo. Wszystko żarcie przemienio się u świni w preswurszt¹ i krupnioki², żymloki³ abo leberka⁴, kiery som skiż tego, bo świnia żre wszystko, co znojdzie na drodze swego żywota.

Świnia kończy się na zadku małym uogonkiem, kierym mele na wszystkie strony, bo cego inkszego z śnim robić nie poradzi. Cało świnia stoi na śtyrych patykach, kiere się tyż nazywajom nogami. Nogi siengajom od wierchu aż na spodek do samyż ziemi. Skiż tego świnia stoi.

Świnia uoblepiono jest marasem, pod kierym znajduje się skóra, kierom świnia jest uotocona, aby się nie uozleciała.

Chłopem uod świni jest wieprzek, kiery nigdy nie w'ie, czemu żyje, aż go zakatrupiom.

Diecko uod świni nazywo się prosie. Mordercom uod świni jest masorz, kiery jom uozuonacy. Uod chwili, uod kiereż masorz świnia zabije, to uona już nie żyje. Uoczyszczony zadek uod świni

¹ salceson ² kaszanki ³ kiszki z bułki ⁴ wątrobianka

nazywo sie szynka, kiero każdy bardzo rod spuszczo z apetytem, jak mo na to. Inksze kaski uod świni sprzedowo masorz na mięso, z kierego robi sie niedługo milionerem. Do strzewów uod świni wrožo masorz mięso i inksze uodpadki, co sie potym nazywo kielbasa. Lepsze kaski zjodo masorz som, lo tego masorz wozy tyła, co pietności urzėdników abo pięńćdwadzieścia robotników do kupy Świniów jest u nos za tyła. Świnia uogłondać można w szlamie i chlywie, na pastwisku i na spacyrze, na wsi i w mieście. Nasz kraj jest bardzo bogaty w świnię i mógby dužo świń wysyłać do ink-szych krajów, ino świnię nie chcom, bo im sam u nos iest dobrze.

Izby, w kerych mieszkajom świnię, nigdy sie nie schroni¹ i dłotego sie chlywikami nazywajom. Głos uod świnię podobny jest do mlaskajoncego abo chrapijoncego człowieka, a wtedy ny nie wie-my, kery drugiego przedrzyźnio.

Som roztomaite świnię: jak kery jest pragliwy i łakomy, to pa-dajom na niego świnia. Jak sie dziecko uobćko² abo uopaprze, to mamulka padajom „prosia”. Jak chto na swoja wiara abo uojczyzna przezywo, to padajom, porzondni ludzie, że to już ober-świnia. Jak kery nie wie, czym jest i nosi mantel na uobu ramionach i sprzedo sie za pora złotych, to tyż padajom, że jest świnia... i tak jest!

* * *

— Francik, powiedz mi, wiele jest jeden więcej jeden?

— Jo nie wiem, panie rehtór.

— Dej ino pozór, jo ci to wytłumaczę: Powiedzmy, żeś chwy-cił dwa ptaki. W jednej ręce trzymasz jednego, w drugiej też jedne-go. Wiele to będzie razem?

— To bydom dwa, panie rehtór!

— Bardzo dobrze, a jeśli teraz jednego puścisz, to co będzie?

— To... to będzie śmierdzieć, panie rehtór!

* * *

— Hanys, powiedz mi, co to jest stary kawaler?

— Stary kawaler to jest szczęśliwy człowiek, panie rehtór.

— A skąd ty to wiesz?

— No bo uociec prawiom to co dzień do mutry.

* * *

¹ sprząta ² obje

Nauczycielka na lekcji przyrody opowiada o kwiatach. Pragnąc dzieciom uzmysłwić różnicę pomiędzy pięknem róży i fiołkiem, prawi:

— Wyobraźcie sobie wysoką piękną panią, kroczącą z dumnie podniesioną głową... jest bogato ubrana, na nikogo nie spojrzy, nikomu się nie ukloni... to róża. A teraz za nią idzie stworzenie niepozorne, skromnie spuszcza głowę... co to jest?

Cała klasa wrzeszczy:

— To jej mąż... To jej mąż!

* * *

W klasie lekcja religii. Temat: modlitwa wieczorna. Ponieważ nauczyciel na lekcji poprzedniej tłumaczył dzieciom znaczenie modlitwy porannej, chciał więc naprowadzić uczniów na konieczność odmawiania także modlitwy wieczornej. Pyta więc:

— Rzychoń! Co robisz wieczorem, kiedy kładziesz się spać?

— Pięknie się umyja.

— Dobrze... A ty Buła co robisz?

— Jem, panie rehtór.

— Dobrze... No a ty Kopyciok, co robisz?

— Zadanie szkolne.

— Bardzo dobrze.

Nauczyciel pyta kolejno szereg innych uczniów, żaden jednak nie mówi, że się modli. Nauczyciel nie daje za wygraną i pyta, chcąc ułatwić odpowiedź:

— Słuchajcie no, dzieci, wy mnie nie rozumiecie. Co robi wasza mama, jak się kładzie spać?

Z oślej ławki podnosi się palec.

— No, Kapuściński? Co robi mama?

— Goni błechy!... (pchły).

* * *

W szkole lekcja przyrody. Pan rehtór rozprawia o mrówce i jej pracowitości. Mówi, że mrówka jest tak silna, że unieść może ciężar kilkakrotnie od niej większy i cięższy.

— No Karlik, — pyta nauczyciel, — cóżby się z tobą stało, jakby tobie ktoś taki ciężar włożył na plecy?

— Jeckusie, panie rehtór, jo bych zarozki do galot nasuł...

Opracowanie Zeflika Gromotki
ucznia z klasy szkoły średniej

Krowa jest zwierzonkiem domowym i ssoncym, krowa mo sześć stron, jedna prawo, drugo lewo, jedna na wierchu, jedna na dole. jedna na przodku i jedna na zadku. Krowa jest cołko uobciongniento skórom wołowom, a na zadku mo uogon z puszem na końcu. Z tym puszem uodganio muchy skiż tego, coby nie powpadały do mlyka. — Blank na przodku mo krowa głowa, a to na to ,coby tam mogły rość rogi i coby był plac na pysk. Rogi mo krowa na to, coby mogła bość, a pysk, coby miała z cym ryceć. Na spodku pod krowom wisi mlyko, kiere mo urzondzenie do ciongnięcio. Jak ludzie za to ciongnięcie ciongnom, to leci z śniego mlyko. Mlyko robi krowa wdycki, tak że sie nigdy nie końcy. Jak uona to robi — tegochmy jeszcze nie mieli.

Krowa wonio bardzo fajnie i cuć jom już z daleka, to robi fajny wiejski luft. Chop uod krowy nazywo sie wół, kiery wyglondo tak samo jak krowa, jeno że nie mo na spodku mlyka, dlatego wół nie jest zwierzokiem ssoncym. Wół to jest tyż przezwisło.

Krowa żre trowa, uoskrabiny i mlyc. Jak krowa mo dobre jedzynie, to wdycki za, to robi dobre mlyko, a jak mo złe jedzynie, to robi niedobre mlyko.

Jak na dworze jest gorko ¹, abo jak grzmi, to krowa robi skisłe mlyko. Krowa je bardzo maluśko. Co roz zjodło, je potym porzond to samo, tak długo, dopóty sie nie najodo. Co łyknie, to i sie zarozki zaś wzbijo i zaś mo pysk połny. Wiencej już nie poradza.

* * *

Nauczyciel pyta w szkole dzieci:

— Moje kochane dzieci, powiedzcie mi który jakie przysłowie.

No Józik.

Józik: Jak sobie chto pościele — tak się i wyśpi...

Hanys wstaje i mówi:

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

¹ gorąco

— Dobrze! — mówi nauczyciel, — siadaj. Gustlik powiedz ty jakie przysłowie.

Gustlik wstaje i mówi:

— Deszcz leje jak z cebra.

— Dobrze, siadaj.

Wtem widzi nauczyciel, że Karlik dłubie w nosie i patrzy na muchy. Woła więc:

— Te Karlik, co dłubiesz w nosie, a nie uważasz na naukę? Powtórz zaraz to samo, co ci trzej powiedzieli.

Karlik naturalnie nie uważał, słyszał, że dzwonią, ale nie wie-dzia, w którym kościele; wstaje i mówi:

— Jak se chto pościele i rano wstaje, to leje jak z cebra.

* * *

Na katejmusku pytajom ksiądz kapelonek:

— Te Karlik, co musimy uczynić przodzi, zanim uotrzymomy uodpuszczynie grzychów?

— Przodzi? Przodzi musimy zgrzyszyć, księżoszku... — pa-do Karlik.

* * *

Nauczyciel pyta sie raz w szkole:

— Co jest gorsze na świecie, jak diabeł?

Karlik sie melduje i pado:

— Gerichtsvollzieher¹, panie rechrór.

— A to po jakiemu?

— No bo wiadom, nasi tatulek mieli koza, a wdycki jej pada-li, jak nie chciała jeść: by cie już roz diobli wzieni. Diabeł jednak nie przyszoł, ale za to przyszoł „modry ujek” i koza wzion.

* * *

Na lekcji religii w klasie drugiej nauczycielka opowiada z biblijki o plagach egipskich i o tym, jak to Mojżesz stanął przed Faraonem i rzekł: „To mówi Pan przez usta moje; Faraonie, wy-puść mój lud”. W trakcie tego opowiadania zauważyła nauczyciel-ka, że Karlik Bąk nie uważa. Wyrywa go więc i każe powtórzyć opowiadanie:

¹ komornik sądowy.

— No, Karlik, powiedz no, jak powiedział Mojżesz do króla egipskiego?

Na to Karlik:

— Mojżys se stanął przed uonym, ciepnoł mu kryka pod nogi, aż sie w ślanga przemieniła i pado: To mówi Pan i Bóg mój... faronie, puścis Żydów abo nie puścis?

G Ł O W A

Uozmyślanie filozoficzne

Dzisiok wszystko na świecie mo głowa — ludzie i gadzina, gwoździe, cukier i kapusta. Głowa kapuściano różni sie jednak bardzo uod głowy ludzkiej a to skuli tego, że kapuściano jest pożyteczno!

Dzisiejsze dziouchy nie majom głowy a jeno główki, nieprzy mierzajonc jak zapołki, szpyndliki abo lalki. Kiej jednak zapołka bez główki nie przido sie na nic — to u ludzi ni — jest blank na uopach. Bardzo często człowiek bez główki uostoł srogim człowiekiem, bo postem — bali, nieroz i ministrem.

W szkole uodmianom główki som: nagłówki, uomigłówki i półgłówki. Tych uostatnich w dzisiejszych casach jest bardzo dużo — ale to nie zawsze widać.

Z inkszych rodzajów głowy, rozróżniamy jeszcze głowa rodziny, kiero jest potrebno do dowanio na wszystko lo wszystkich, no i do płacynio podatków i do podpisywano weksłów! Prócz tego momy jeszcze głowy państwa i białogłowy. Jedynie sardynki to nie majom głowów.

W głowie siedzi wdycki mózg. Z mózgu momy udary, po łacińsku „ślakgotrefy”, pomieszanie zmysłów, a w restauracyi dostaniemy tyż mózg smażony i tyn jest nojlepszy!

Do porzondnyj głowy noleży wdycki kapelusz, bez kierego, zwłoszca kobiety nie poradzom żyć i suszom uoń głowy, czyli jak jeszcze padajom głupie łeby swoich chłopów.

W głowa kładzie sie bez poranoście lot szkoły, najroztomailsze pożyteczne wiadomości, zaś na głowa wciero sie najroztomailsze pomady i uoliwy, a to skiż tego, coby w głowie nie było cuć siana.

W głowie polityka abo redachtora lengnom sie rozmaite cygaństwa i kacki. Z głowy Jowisza — wyskoczyła Pallas Atene.

Rekrut mo w głowie wdycki siano, — uotwarto głowa mo adwokat, ciężko głowa mo zwykle literat, aktor, malarz abo inkszy pijok, — mokro głowa mo waryjot — a zmyto głowa mo wdycki mąż — zaś choro głowa majom wszyjscy, kierzi cytajom nasze gazetiska.

Głowy niekierych sejmów, magistratów i urzendów, wyływajom niekiedy tyla wody, że można by z śniom zływać drogi i ulice i uszporować miastom i gminom miechy całe złotych, kiere wydować muszom na wozy i beczki do sikanio.

Uczyń, kiere mo protekcyjo abo uojca redachtora, mo dobro głowa — uo cłowieku, kiere miał szczyńście i wygroł wielki los w loteryi — padajom, że mo srogo głowa — abo — że mo głowa na karku.

Na głowa abo jeszcze inaczej na łeb bije sie nieprzyjociela, a taki wódz, kiere to zrobił — zadziero wdycki głowa do góry.

Politycy i kandydaci na nowych przyszłych ministrów, łomiom se głowa nad nowymi cygaństwami — kierymi chcom chytać uobywateli uo ciasnych głowach.

Zaś nasze kobietki łomiom se główki nad tym, jak zawrócić chłopu głowa, aby berdyjo kupił im na główki nowy kapelusz, nowy kostium abo nowy płaszcz. Dobrom receptom w tym razie jest, jak żonecka dostanie skuli tego silnygo bólu głowy, — kiere musi trwać tak długo, po wiela mąż blank nie utraci głowy i kupi to, co uona chce.

Po głowie skoce mężowi wdycki żona, zaś dzieciom, kiere sie nie cese co dzień, skoce abo spacyruje coś inkszygo. W takich wypadkach pasuje przysłowie że:

Uod przibytku głowa nie boli!

Głowa zwieszo wdycki „na piersi” uoskarżony — kierymu tak doradził „adwokat”, głowom piere uo mur w „hereście” — (ale ino w książkach) uoskarżony, głowom kiwie za plecami męża żona — na znak, że jednak uona mo prawie, — w głowa ciepie sie w knajpie flaszkami i sklonkami uod piwa i gorzoły, — zaś w doma szporobliwi małżonkowie bierom se do tego wałek do ciasta abo sebuwacz!

Do głowy lezie wdycki gorzoła i piwo, — głowa ścino sie

też toporem abo rzeźbi, maluje, strzyże i goli.

Przy wojokach głowa jest potrzebno do noszenio czopki i do krencynio z śniom na prawo abo na lewo. Zaś w cywilnym stanie, stowajom na głowie komedianci, a przy szportach na przykład przy fusbalu kopie sie głowom bal czyli piłka, przy boksie bije sie w głowa, — a przy zapasach robi sie z głowy mostek.

„Boli główka”, — to nojlepszo, ale nie jeno w szkole wymówka — a „mondrej głowie dość na słowie” — i już.

UO SĄDACH, SĘDZIACH I JEICH KUNDMANACH

Kiejś na budynku pracowało dwóch mularzy. Pewnego dnia sie zdarzyło, że jeden z nich śleciół z rusztowania i sie farnośko potrzaskoł...

Świadkowie tego zajścia dowodzili, że ten drugi mulorz ściepnył na skwol swojego „kamrata” — no i sprawa dostała sie przed sond.

Na uozprawie, pado syńdzia do uoskarżonego, żeby ino uope-dzioł, jak sie to stało, że ten drugi mulorz śleciół!...

— Ano, panie syńdzio — pado uoskarżony — murowalichmy do kupy na jednym rynsztunku, jo i uon. Naroz zgodało sie uo polityce — uon godoł swoje i joch godoł swoje... uon chciół mieć prawie i joch chciół mieć prawie.

— Naroz uon prziskoczył ku mnie i chycił mie tak „brewider” za łeb. Joch sie tyż nie doł i tyżech go chycił za łeb — i takechmy sie do kupy wodzili i sam i tam.

Joch jednak był mocniejszy, tózech go szykownie chycił ze zadku za „kragiel”, dźwignyłech go i przeciep-żech go wiedzom bez baryjera i takech go dło strachu — ździebko trziomł w „lufcie”.

— Naroz ten podciep zacyno skrzeciec:

— Pieronie! Puścis mie — abo nie puścis!

— No, tóż lo świentyj zgody-ech wzion i go puścił.

* * *

Sędzia: — Więc oskarżony was chciał przekupić?

Siadek: — Dyć tak panie syńdzio.

Sędzia: — Ale wy nie wzięliście pieniędzy?

Świadek: — Ni, panie syńdzio.

Sędzia: — A cóż wam na to oskarżony powiedział?

Świadek: — Jesteście uosłem, panie syńdzio.

* * *

Przewodniczący sędzia, który mocno zezuje (u nas mówi się, że świdrzy), pyta się pierwszego oskarżonego:

— Jak się pan nazywa?

Drugi oskarżony: — Robert Klyta!

Przewodniczący: — Ja się pana nie pytam!

Na to odpowiada *trzeci oskarżony*:

— Joch tyż przeca nic nie pedzioł!

* * *

Sędzia: — Czy oskarżony może przytoczyć jakieś okoliczności, które by wpłynęły na zmniejszenie kary?

Oskarżony: — Cego, uokoliczności? Aha, już wiem, panie syńdzio. Ano, moga jeny tyła pedzieć, iż mie już wierza coś bez dziesięć razy zawierali, ale to nic nie pomogło.

* * *

— Czamużeście to ukradli tyn zegarek?

— Ano, toć-ech se szoł panie syńdzio, a zegarek tyż szoł. Tóż se myśla... kiej tak, tóż se pódymy uoba do kupy — no i tózechmy pošli uoba.

* * *

— Toście rozwalili gorczek na głowie waszego chłopca, jest to czyn, kierego z pewnością żałujecie?

— Toć-że żałuja, panie syńdzio. Szkoda gorczka, dałach za niego coś bez złotego.

* * *

Oskarżony! Jesteście człowiekiem zupełnie zepsutym! Musieliście chyba obracać się tylko w złym towarzystwie?

— Ja, majom prawie, panie syńdzio, uod uosiemnastego roku życie mom po rzond jeno z syńdziami do cynienio.

* * *

Sędzia: — Oskarżony Frąkoc, przyznajecie się, żeście podczas bójkki odgryźli Franciszkowi Tuleji ucho? Za taką surowość nie ma okoliczności łagodzących.

Oskarżony: — O ja, panie syńdzio, som takie uokoliczności, bo uon na te ucho, coch mu go uzar był blank głuchy!

* * *

Jakiś karlus staje przed sondem, za to, że bez powodu maznoł w kark jakoś paniczka, jadonco z śnim do kupy w „śtrasbance”.

— Bez powodu?... pyto uoskarżony — A dyc panie syńdzio iny niech słuchajom, a potym niech pedzom cy bez powodu, cy ni.

— Właza do „śtrasbanki” i siadom se na ławce. Włazi jakoś panuchna (tako wiedzom munchla) i siednyła se naprzeciwno. Przyłazi siafner i panuchna chce mieć bilet do parku Kościuszki... Uotwiero taśka, dobywo z śniej bajtlik, uotwiero bajtlik, dobywo z śniego 10 groszy, zawiero bajtlik, uotwiero taśka, wrožo do niej bajtlik, zawiero taśka i dowo pieniondze siafnerowi.

— Panuchno, pado siafner, do parku Kościuszki bilet kosztuje 20 groszy. Panuchna uotwiero taśka, dobywo z śniej bajtlik, dobywo z śniego złotego, zawiero bajtlik, uotwiero taśka, wrožo w nia bajtlik, zawiero taśka i dowo siafnerowi złoty. — Siafner zmienio i uoddowo panuchnie 90 groszy. Panuchna uotwiero taśka, dobywo bajtlik, zawiero taśka, uotwiero bajtlik, wkłodo bilet.

— Po chwileczce przyłazuje siafner i pado: „Przebocom panuchno i pokozom mi ino tyn bilet, bo zdo mi sie, żech im nie zrobił dziurki.

Panuchna uotwiero taśka, dobywo bajtlik, zawiero taśka, uotwiero bajtlik, dobywo bilet, zawiero bajtlik, uotwiero taśka, wkłodo bajtlik, zawiero taśka i dowo siafnerowi bilet.

Siafner robi dziurka i dowo z podziękowaniem panuchnie bilet. Panuchna uotwiero taśka, dobywo bajtlik, zawiero taśka, uotwiero bajtlik, wkłodo bilet, zawiero bajtlik, uotwiero taśka, wkłodo bajtlik i zawiero taśka.

— Ledwie to skończyła, wlażuje do banki kontroler. — Panuchna uotwiero taśka, dobywo bajtlik, zawiero taśka, uotwiero bajtlik, wyjmuje bilet, zawiero bajtlik, uotwiero taśka, wkłodo w nia bajtlik, zawiero taśka i dowo bilet kontrolerowi. Kontroler robi modrym bleisztiftem śtrych bez bilet i dowo go nazod panuchnie.

— Panuchna uotwiero taśka, dobywo bajtlik, zawiero taśka, uotwiero bajtlik...

— Człowieku! wrzeszczy syńdzia, na miłość Bosko przestońcie, bo uogupieja!!!

— Ja widzomi panie syńdzio, jo też-ech prawie nie uogupioł. Mom uośmioro dziecek, ciężko pracuja na kaszcech chleba, a tyn pieron z baby, ta staro murchła... Toż mnie też złość dopadła jak sto drewnien, zapomniołech uo wszystkim i maznółech baba w łeb i tyła. Toż niech sami pedzom, panie syńdzio, był powód cy nie było powodu?

N i e p o r o z u m i e n i e

W pewnym mieście naszego województwa znaleziono trupa mężczyzny i odstawiono takowego do kostnicy, gdzie następnie prokuratoria zbadała zwłoki i spisała szczegółowo, celem rozpoznania, ubranie i rzeczy znalezione przy trupie, oczywiście w języku polskim, poprawnym. W czasie tym, w jednej wiosce pobliskiej przepadł jakiś gospodarz i już drugi dzień nie było o nim wieści. Żona zrozpaczona szukała, dopytywała się i nareszcie słyszała, że w mieście znajduje się jakiś nieboszczyk. Zabrawszy córkę, pojechały do miasta, a tam udały się prosto do kostnicy, która jednakowoż była zamknięta. Ktoś mieszkający w pobliżu radził im udać się do sądu, dokąd też obydwie poszły i zgłosiły się w kancelarii, w której znajdował się sekretarz pochodzący z innej dzielnicy, a więc nie znający narzecza górnośląskiego i młodszy funkcjonariusz Górnoślązak. Gdy powiedziały sekretarzowi cel swojego przybycia, zaczął im tenże czytać pomiędzy innymi spisane części ubrania, w którym trupa znaleziono, a mianowicie: „kamaszki z cholewkami, spodnie z bizami, marynarka z paskiem, niebieska koszula, futrzana czapka, w kieszeni szlifszejn i puszka blaszana oraz okulary”. Na to rzekła nasza gospodyni patrząc na córkę: „Dzioucha, to nie bydzie uociec, bo przeca uociec mieli: kropy, spodnioków wcale nie mieli, jeno galoty sztryfiate, przy marynarach wcale nie służyli, poska też nie mieli, jeno jakła z lemcem na zadku, koszula nie była nie-

biesko, jeno modro z komzonu, w kabzie mieli brusek i bańka na kawa, na głowie baranka, no i bryle; a zwróciwszy się do sekretarza, rzekła: przebocom panie sekretorzu, to nie jest mój chłop, jeno jakiś cudzy, bo z tymi łachami to wcale nie sztytuje. I byłyby obydwie z córką odeszły, gdyby nie funkcjonariusz Górnoślązak, który na czas jeszcze wyjaśnił tak sekretarzowi, jako też matce i córce, że opis, znajdujący się w sądzie, zupełnie się zgadza z ich opisem.

* * *

Sędzia: — Oskarżony, ile miechów kartofli skradliście waszemu sąsiadowi?

Siedem, panie syńdzio, trzy w poniedziałek a dwa we wtorek.

Sędzia: — No, to przecież dopiero jest pięć.

Oskarżony: — A dyc po te dwa póda se dziepiero dzisiok wiecór, panie syńdzio!

* * *

Sędzia: — Oskarżony, czy rozumiecie znaczenie przysięgi?

Oskarżony: — Rozumia, panie syńdzio. Jeśli przisiengna. uostana uwolniony. Jeśli zaś uodmówia przysiengi, to mie zawrzom do kozy!

* * *

Przed gmach sądu karnego w Katowicach zajeżdża dorożka, z której wysiada elegancki panoczek.

Dorożkarz: — Panoczku! Czy mom sam na nich doczkać!

Panoczek: — Doczkać? To im wierza bydzie za długo.

Dorożkarz: — Za długo? O, ni, jo mom cas, a jak długo uoni tam uostanom?

Panoczek: — A trzy miesionce.

* * *

— Hanys, a za co cie to zawarli?

— A boch za wartko jechoł autem. A ciebie za co?

— Mnie? A boch jechoł autem za pomału.

— Cłeku, a dyc za to nie mieli cie prawa zawrzyć!

— Padosz? Ja, ale widzisz to auto było kradzione.

* * *

Kiedys przed pruskim sądem wojennym, toczyła się rozprawa przeciwko jakiemuś osobnikowi, którego rzeczoznawcy uznali za nienormalnego.

Orzeczenie to twierdziło, że oskarżony cierpi na manię wielkości, jednakże od czasu do czasu ma pewne momenty, gdzie myśli zupełnie normalnie.

Prowadzący rozprawę „kriegsgerichtsrat” uśmiecha się niedowierzająco i twierdzi, że on sobie z oskarżonym poradzi.

Wprowadzają go więc na salę rozpraw i na zapytanie o nazwisko, odpowiada, że jest „królem angielskim”.

— Cieszy mnie — odpowiada przewodniczący „kriegsgerichtsrat”, że spotykam tu kolegę, jestem bowiem „cesarzem chińskim”, — po czym rozgląda się tryumfująco na ławników.

— Co, uoni som cesarzem Chin? — odpowiada oskarżony. Nie wierza! Uoni som „kriegsgerichtsrat” Schulze, nojwienkszy uosiół w dywizji.

— A widzą panowie (mówi lekarz rzeczoznawca), tak jak mówiłem, oskarżony ma jednakże momenty, kiedy rozumuje normalnie.

S t r a s z n y w y r o k

Kalasanty Duda, siodłok poważny i bogaty, wrocił se kiejś nad ranem z knajpeczki — w kierej z komplami przependził wesoło noc, — du dom.

Był w dobrym humorze, bo sie nie boł baby — a to skiż tego, że jej nie miół, bo był mondrala samotnym. Zaś gospodyni, kiero mu gospodarstwo prowadziła, nie mogła mu z roztomaitych powodów robić breweryi.

Kiej przechodził przez targowisko (a było to w piątek), ujrzół handlyrza, kiery sprzedowół ryby. A że Kalasanty bardzo rod jod ryby, — stanół i kupił dwie fajne i srogie szczuki (szczupaki), — radujonc się, jaki to bydzie miół dzisiok dobry uobiod i już mu ślinka leciała na samo wspomnienie uo tym.

To też tompół ku domowi, byle warciej. Jednak kiej włoz do izby, srogie go spotkało uozczarowanie. — Gospodyni przypomniała Kalasantemu, (kiery też był na sondzie syńdziom przysien-

głym), że mo dzisiok jakoś pilno uozprawa i że musi zarozicki iść na sond.

Zapieronił po cichutko — ale nie było inkszej rady, to tyż jeno miłościwym uokiem wejrzoł na szczuki — kiere se leżały na kuchennym stole, łyknoł ślinka i poszoł.

W sońdzie toczyła sie rozprawa przeciw dwum złodziejom włamywaczom i była bardzo ciekawo. Toteż wszyjscy słuchali z wielgim zainteresowaniem. Jeny nasz Kalasanty, kierego dziepiero terozki zebralo — usnył na fest, uśmiechajonc sie pod nosem i uod casu do casu uoblizujonc sie — widać, że śniły mu sie owe szczuki.

Naroz sztuchnył go drugi ławnik i uobudził:

— Wstanom panie Duda, idymy na narada!

I poszli, — ale kiej Kalasanty siednył na mienkim fotelu, zaś zarozicki usnył.

Po chwili zaś go chtoś sztuchnył. — Był to przewodniczoncy sondu, kiery mu do ucha skrzeczoł:

— Hej, panie przysiengly Duda, — co momy zrobic z tymi uoboma?...

— Co?... pado zaspany Duda... jo myśla, że tygo jednygo uwarzymy — a tygo drugiego zaś upieczymy i fertig...

* * *

Sędzia: — Opowiedzcie, jakim sposobem Kopycioka spotkało nieszczęście?

Świadek: — Ano ślichmy sobie po „glajzach”, potym słysza że cug jedzie, potym cug przejechał, potym Kopycioka nie było, potym wlozech zaś na „glajzy”, potym ujrzołech mycka uod Kopycioka, potym pora kroków dalej ujrzołech noga, potym renka, a potym pomyślołech se: o lo Boga! Cy aby Kopyciokowi nie przytrefiło sie jakie nieszczyńście!



UO DOCHTORACH, APTYKORZACH I JEICH UOFIARACH

— Panie dochtór, kiedy mie tak „genau”, uobszukali, nie robiom mi strachu, a pedzom tak brewider, co mi brakuje?

— No jeżeli mam być szczery, to im powiem, że im nic nie brakuje, tylko gnojek są i leń ich trapi.

— Tóż dzieńkuja im pięknie panie dochtór i prosza ich, żeby mi pedzieli, jak sie lyn po łacinie nazywo, żebych móg mojej babie pedzieć, na co choruja.

* * *

— No i jakoż sie tam czują, panie Stękała — pyta dochtór pacjenta.

— A jakoś nie lepiej, panie dochtór.

— Braliście lekarstwo?

— Ano dyć-ech broł.

— A dieta? Czyście usłuchali mojej rady? Padolech wom, że mocie jeść takie jodło, kiere je trzyletnie dziecko?

— No dyc panie dochtór, jodech, jak mi padali. Dzisiok-ech zjod dwa knefle, kęs papieru, ździebko mydła i kęs wongło, ale mi jakoś nie pomogło.

* * *

Do pewnego lekarza przychodzi bardzo chudy pacjent.

— Co panu jest? — pyta lekarz.

— Panie dochtorze, już od trzech dni nie moga nic jeść!

— Hm! Ano zapiszę panu środek, który zaraz wzmoże mu apetyt.

— To zbytczne, panie dochtorze, apetyt to jo mom, brak mi jeno jedzynio.

* * *

Panie dochtorze, teraz, kiedy mie tak dokładnie podszukali, prosza mi pedzieć, jak długo jo jeszcze mniej wiencyj moga żyć?

— Ile pan ma lat?

— Dwa śtyrdziyści.

— Czy pan pije?

— Nie!

— Czy pan pali?

— Ale kaj tam!

— Kobietki pan lubi?

— Nie!

— Grywa pan w karty?

— Nie poradza!

— No człowieku, to na jakiego diabła chcecie jeszcze dłużej żyć?

* * *

Do urzędu stanu cywilnego przychodzi Hanys Grychtuła i zgłasza zgon swojej żony Marty.

— Jakiego lekarza miała jeich kobieta? — pyta urzędnik.

— A żodnego, sama widzom umarła.

* * *

Jakóż tam idzie jeich chłopu, frau Pytlik?

— O bardzo źle, nie może i nie może nijak skończyć.

— A kierego to mają dochtora?

— A dyc żodnego.

— Ja no widzom, to tyż nie dziwota, że nie może skończyć.

* * *

Pewien lekarz, odwiedziwszy chorego w domu, po zbadaniu jak zwykle napisał receptę. Z braku bibuły, chcąc prędko obsuszyć napisane, zeszkobał ze ściany trochę wapna, posypał po piśmie, podaje receptę choremu i mówi:

— To lekarstwo będziecie używać co godzina, dobrze?

Za kilka dni przychodzi znowu lekarz i pyta:

— No, jak tam, lekarstwo poskutkowało? Używaliście go?

— No, ale panie dochtór podziwiam sie, dyć już całe ściany zedrzyte, a nic mi nie pomogło.

* * *

W Mysłowicach spotyka na drodze lekarz żonę pewnego biednego chorego, którego ma w opiece lekarskiej i pyta:

— Jakże się miewa pani mąż?

— A dyć dzieńkuja, panie dochtór, już mu trocha lepiej. Pojodł se dziśioł już trocha kartofli!

— A czy z apetytem? — pyta lekarz.

— Nie, prosza pana dochtora, jeno z kapustom!

* * *

Jeden z naszych lekarzy pojechał raz w odwiedziny do kolegi, który był lekarzem w szpitalu dla obłąkanych w Rybniku. Po obiedzie prosi kolegę, czyby nie mógł w jego towarzystwie zwiedzić zakładu.

Przychodząc więc między innymi do celi, w której siedzi pewien chory trzymający lalczkę, którą ustawicznie przyciska do piersi, całuje i gorzko płacze. Na pytanie, jaki to może być powód choroby, dowiaduje się, że nieszczęśliwy ten zakochał się w pewnej panience, ta jednakże wzgardziła jego miłością i wyszła za mąż za innego. Zawód ten, nieszczęśliwy tak sobie wziął do serca, że oszalał.

W następnej zaś celi ujrzał nasz doktor chorego, który ustawicznie bił głową o mur, krzycząc: O idioto! — idioto! Na pytanie, co temu się stało? — odpowiada oprowadzający lekarz:

— To widzisz jest ten, co się z panną tego poprzedniego chorego ożenił.

Bydom tacy dobrzi i dajom mi pigułki francuskie na przeczyszcynie. Ale ja, żeby były francuskie.

— A po co im francuskie? — powiada aptekarz.

— A dyc weznom moje.

— Ja jeich, pado gość. A jako jest różnica miendzy francuski-mi a tymi uod nich?

— Jako różnica? Ano po francuskich pigułkach dostanom „diare”, a po moich dostanom ganz einfach... laksyrka.

* * *

Zeflik Tyrpała uodudlił sie kiejś porzondnie, no i leżonc po schodach na trzeci sztok do swojego mieszkania, zamiast do dźwierz, wloz do uotwartego uokna, no i spod na podwórze, ale tak szczęśliwie, że se nic nie zrobił. Przyjechoł wóz ratunkowy, no i zabrali biednego Zeflika do lazaretu. Tam dochtór, kiery go uopatrzył, pyto go, jakie miol ucucie, kiej lecioł na dół?

— Jakie ucucie? pado Zeflik, a dyc żodne!

— No ale pyto dochtór — musieliście przeca uo cymś myśleć, leconc z takiej wysokości.

— Ja, tóż tak... No wiadom, jakiech już był wele drugiego sztoku, toh sie dziwował, czamu to w izbie Musiolicki tak niesko-ro sie jeszce świeci.

* * *

Kajsik (a kaj nie moga wom pedzieć), znany dochtór rod se czasym zajrzoł do śklonecki — a zaglondajonc nieroz dość długo w nia — mo dość. Kejsik siedzi se zaś w ulubionej knajpcie, mocno już zawiany, skond wołajom go do ciężko chorego. Pojechoł kaj go wołali, włazi do izby, siod se na łóżku i chconc ujońc renke chorego, aby puls zbadać, przez roztargnienie biere swoja renka. — Po chwili uobróco głowa i pado do żony chorego:

— Nic mu, wiadom, nie jest, uon sie jeno mocno uleło!

* * *

Pewien wieśniak widzi w aptece, jak aptekarz szykując mu przepisana medycynę, zlewa ją z różnych flaszek (w kierych tylko po troszce płynów), do jednej flaszki.

Zniecierpliwiony woła więc: „A cóż se to panoczku myślom, że jo takie resztki byda ślepoł? Jo chca pierzyna mieć świeżo medecyna a nie takie ślywki”.



U O W O J O K A C H I K A S A R N I

Podczas wojny bolszewickiej na froncie, odłamek granatu zranił między innymi także dzielnego żołnierzyka ze Śląska, Hanysa Gorczka, w brzuch.

Szpital polowy. — Na stole operacyjnym leży nasz Hanys, naokoło niego kręcą się: doktor-chirurg, dwóch asystentów, trzech sanitariuszów no i siostra miłosierdzia. Lekarze otwierają Hanysowi brzuch, wydobywają z niego kawał żelaza, no i ranę zaszywają.

Okazuje się jednak, że jakoś operacja nie pomogła. Brzuch Hanysa zostaje więc jeszcze raz otwarty i rzeczywiście znaleziono jeszcze mały odłamek żelaza, który usunięto i brzuch zaszyto. Na nieszczęście operacja nie pomogła, choremu gorzej, bóleści coraz to większe.

Biorą więc biednego Hanysa do prześwietlenia Rentgenem i okazuje się, że jeden z asystentów zapomniał w brzuchu chorego

swój kozik. Nie pomogło nic, brzuch Hanysowi jeszcze raz otworo-
zono i nóż usunięto.

Jednakże i to nie pomogło, boleści w dalszym ciągu. Kiedy
więc doktor oświadcza Hanysowi, że go jeszcze raz będą musieli
otwierać, pocziwy nasz Hanys mówi do doktora:

— Panie dochtór, może by mi tak pierona knefle kozali do
brzucha przyszyć albo „drukknopfy”.

* * *

W jakimś „fajnym” towarzystwie jeden niemiecki oficer
przechwolił się, czym to uon nie jest i jakie uon mo zamiłowanie
do stanu wojskowego.

— Jo, pado, toh sie już ze szablom urodził.

— Cego, ze szablom? — pado jakiś filut. — Pierzyna, to bych
nie był chcioł być jeich matkom.

* * *

W jakimś niemieckim miasteczku ciekawy podróżny oglądał
osobliwości miasta i zaszedł też do ogromnej stajni wojskowej, gdzie
przyglądał się koniom.

Oficer dyżurny wpada za nim, a widząc cywila, wrzeszczy:

— Jakim prawem pan tu wchodził? Nie wie pan, że to stajnia
oficerska?

— Przeboczom — odrzekł podróżny zdejmując kapelusz —
joch myśłoł, że to jest k o n s k o stajnio.

* * *

Przed kasynem oficerskim w niemieckim miasteczku X stoi
posterunek, który otrzymał surowy rozkaz, absolutnie nie wpusz-
czać żadnego cywila.

Pewnego dnia zjawił się jednak pewien wojażer na wódki, któ-
remu posterunek nie był w stanie dać rady i dostał się do środka.

Starszy oficer służbowy wypada z pyskiem na posterunkowego
żołnierza, dlaczego wpuścił tego cywila.

Na to żołnierz: „Melduja posłusznie, panie lajtnant, adyć-ech
mu padoł, że nie śmie wylżyć. Ale on uozwar na mnie gemba i pa-
doł mi, że mom tyn swój głupi pysk zawrzyć. Potym mi jeszcze
pedzioł durniu i wole, tożech myśłoł, że to wierza bydzie jakiś pon
uoficer w cywilnych łachach i tożech go wpuścił.

* * *

Na placu ćwiczeń strzelanie ślepyimi nabojami.

Kapral do rekruta:

— Gramuła, mazoku diobli, jakóż to strzylosz. Po co to ślepiea zawierosz przy celowaniu, he?

— Panie kaprol, melduja posłusznie, co uoni nom przeca wco-
raj padali, że dzisiok bandziemy ślepo strzylali.

* * *

W baonie wybrano kilku szeregowców i przydzielono ich do służby sanitarnej. Pod dozorem lekarza sztabowego żołnierzyki ćwiczą się w sztuce sanitarnej, mianowicie: sztuczne oddychanie. Szeregowiec Mzik leży na ziemi, zaś starszy żołnierz Stopa, klęcząc obok niego, podrywa mu ramiona w górę, a potem z odpowiednią siłą przyciska mu je z powrotem do klatki piersiowej. Po chwili wrzeszczy Mzik:

— Pieronie Zeflik przestoń, bo już „luftu” nie moga chycić.

* * *

Żołnierz do handlarki: — Kobieto, nie wstyd to wam żądać ode mnie tak drogo za masło, za to, że ja bronię polskiej ziemi?

Baba: — Nie ma ta nijakiej ziemi polskiej, jest jyno ziemia chłopsko.

Żołnierz: — Tak widzicie, chłopsko, a chłop to niby czyj?

Baba: — Chłop? To przeca wiadomo, że babski!

* * *

Jeden kapitan drugiej brygady opowiada swoim towarzyszom przygodę owego rycerza ze starożytności, który wyjął drzazgę z łapy niedźwiedziowi, a niedźwiedź z wdzięczności, za to, nie odstępował go ani na chwilę przez całe życie.

— E, to mi się lepij przydarzyło, — odzywa się mój rodak, tegi wojok, za co został z żołnierza porucznikiem.

— Kiech my stoli pod Baranowiczami, toch roz spotkoł tyż niedźwiedzia, kiery podkrod się do magazynu z komiśniakiem i tyle sie go nażar, że dostał parcio i rycół z bólu jak sto diobłów. Żoł mi go było, tozech mu doł uolejku rycynowego i to mu po-
mogło. Ale wiecie co, uon potym zrobił bez wdzienczość? Kożde rano wachował pod naszom kwatynom i zezyroł moich kamratów, jednego po drugim, starszych rangom uody mnie, a to skiż tego, żebych móg warciej awansować. Dłategocho tak wartko został porucznikiem.

* * *

Kapral do żołnierza: — W którą stronę teraz maszerujemy?

Żołnierz: — Na południe, panie kapral!

Kapral: — Dobrze, po czym to poznaliście?

Żołnierz: — Bo mi coraz cieplej.

* * *

Kapral: — Szeregowiec Mżyk, pana generała to poznasz po szerokich bizach na galotach, rozumiesz?

Mżyk: — Panie kapral, meldują posłusznie, a po czym poznają pana generała, jak nie mając galot?

* * *

Oficer do wojoka podczas instrukcji:

— Co żołnierz winien jest swemu przełożonemu?

— Zwyczajnie nic! — odpowiada żołnierz — bo uod przełożonego trudno coś pożyczyć.

U O B A N I E I B A N I O R Z A C H

W pociągu do Krakowa, w przedziale trzeciej klasy siedzi dwóch panów i jedna pani. Kiedy pociąg dojeżdża do Szczakowej, pyta jeden z panów drugiego: Prze...e...e...pra...a...szam, k...k...która te...te...raz go...o...go.. godzina?

Zapytany milczy jak zakłęty.

Po pewnym czasie, pierwszy pan znowu powtarza pytanie: która go...o...o...dzina?

— Zapytany nic, — milczy. — Wtedy pani, oburzona tą niegrzecznością współpasażera, odpowiada:

— Teraz jest za 15 minut dziesiąta. — Dzie...e...ę...ku...ku...ję pani.

Pociąg zatrzymuje się w Trzebini — i gość, który pytał, wysiada z pociągu. Podczas dalszej jazdy, pyta pani tego pana, który na pytanie pierwszego nie odpowiedział:

○ — Proszę pana, dlaczego pan taki niegrzeczny i nie odpowiedział temu biedakowi, która godzina, kiedy tak o to pana prosił?

— Na to odpowiada ten drugi:

Pro...o...o...szę pani... ni nie...e... ma głu...głu...pich... żebych w py...y...sk dostał?

* * *

Kiedys jadąc pociągiem do Mikołowa siedział obok mnie jakiś jegomość, któremu strasznie trzęsła się ręka. Pytam go, czy to kalectwo ma z wojny. A on mi na to:

Ale kaj tam, dyć ryncysko mom zdrowe, inoch, wiedzom był uoński tydzień w Bytomiu i kupiłem se zegarek, tako wiedzom „armbanduhra”. Ale jak ino chwila ryncyskiem przestana trząść, to mi tyn gizd zaroz stanie.

* * *

— Wiesz Hanys, ten siafner¹ to mi sie w kupeju² tak porzond przyglondoł, jakbych nie miał biletu.

— No, a tyś co zrobił?

— Jo? Nic. Tyżech sie dziwoł na niego tak, jakbych miał bilet.

* * *

Na jakiejś małej stacyjce kolejowej w górach, wyłazi z pociągu jakiś panoczek, ruby jak nieprzymierzajonc becka uoglondo sie, cy ni ma kaj fórmanki. Przed dworcem stoi jakiś fórk zaprzongniento w jednego chudego konia.

„Gospodarzu, znocie to Chodakówka?” — pyto rubaś fórmanna.

„Znom panocku, co bych ta nie znoł, bydzie stond mila drogi”.

„To mie tam może zawieziecie?” Fórmon patrzy na rubasia, potym na swego biednego konia i dropie sie po głowie.

„No czegoż sie namysłocie? Jedźcie, jo wom dobrze zapłaca!”

„No ja, ja panocku, wszystko to pięknie, ino droga wiedzom jest ciężko i nie wiem, cy jo ich na jedyn roz zabiera”.

* * *

Stacja kolejowa na Śląsku. Pociąg ma ruszyć za chwila. Konduktor leci wzdłuż wagonów i zawiero z trzaskiem drzwi. Jeden miglanc siedzonc w wagonie chce konduktora zrobić za błozna, wkłodo wienc miendzy drzwi skórzany pasek od szyby. Konduktor podchodzi, chyta za klamka i z trzaskiem zawiera dźwierz.

— Trrrach! — Drzwi uodskakujom nazod.

— Pozór! — skrzeczy konduktor i zatrzaskuje dźwierz.

— Trrrach!... Dźwierz zaś uodskakujom.

¹ konduktor ² w przedziale

— Co jest, do pierona?! Może tak weźmiecie te swoje palcysko, co?!

* * *

Przez Imielin mieli budować kolej.

Miernicy więc wytykali teren i między innymi zaszli do jednego gospodarza, przez którego posiadłość miał przechodzić tor i to w sam raz przez stodołę. Tłumaczą więc niechętnemu siodłokowi, jaką to korzyść będzie miała dla wioski taka linia kolejowa i że powinien być dumny z tego, że właśnie przez jego podwórze pójdzie ten tor.

Na to gospodarz: — A cóż se to myślom, iż jo nic nie bana robił, ino dło tej waszej kolei wrota od stodoły uotwieroł i zawieroł.

W p o c i ą g u

— Nie mo kto z państwa przy sobie trocha wódki. Tam w przedziale zemdląla jakoś starszo pani!

Momentalnie otrzymał dwie pełne butelki. Nie namyślając się w oka mgnieniu wychyla jedną flaszkę po drugiej.

— Co pan robi, wołają oburzeni ofiarodawcy:

— No jak moi państwo widzicie, mie sie zarozki robi niedobrze, kiej widza, jak tako staro i biedno neiwiasto mdleje, tóż pija na jeji zdrowie!

* * *

Dwóch podróżnych opuszcza na stacji wagon restauracyjny.

— Widziołeś, pado jedyn do drugiego, jakie te gizdy majom ceny? Za głupio pora wurstlików tyła żondajom pieniendzy. — Pan Bóg ich powinien ukorać!

— Już ich ukoroł — powiada drugi. O dziwej sie — i mówiąc to wyciąga z kabzy dwie srebrne łyżeczki.

* * *

Jeden z filarów chrześcijajańskiego stronnictwa w X powiedzmy p. Y serce ma mienkie, jak nie przymierzajonc wosk.

Nikt sie tak nie poradzi przejońc cierpieniem bliźniego jak tyn pan Y.

Kiejsik jechoł „strasbankom” i zaczon se uozprowiać z konduktorem, czyli „siafnerem”.

— Ciężkie terozki momy czasy, pra?

— Oj ja, ciężkie, niech to diosi porwiom. Te nasze basoki z dyrekcyje coroz to rubsze, a my biedoki ledwo wyżyć poradzimy. Cłowiek siedzi zadłużony, bo te pora feników, co dajom na miesionc, nie styknom ani na to trocha żarcio. Calutki dzień uganio sie cłowiek w tyj przejentyj „bance”, już nożysków nie czuja, a tam w doma mi babsko po rzond choruje, a na dodatek cworo mom małych żarłoków. — Ja, ja, panocku, nie lekko mom na świecie, aże nie...

Panu Y...lonowi, aże sie serce kraje z litości i współczucio.

— Bożycku kochany pado — co tyż to borocku godajom. — A dyć dajom mi sam jeszcze jedyn bilet.

* * *

W wagonie III klasy jadącego pociągu siedzą dwie panie i jeden pan.

— Proszę pana, mówi jedna, proszę natychmiast zamknąć okno, bo inaczej zaziębię się na śmierć!

Druga: — Mój szanowny panie, proszę zaraz to okno otworzyć, bo się w tym powietrzu uduszę! Ów pan, nie wiedząc sobie rady, woła konduktora (naszego landsmana) stojącego na korytarzu i przysłuchującego się tej awanturze, mówi do niego: „Panie konduktorze, proszę radzić, co ja mam począć z tymi paniami?

— Ano, jo im powia, to jest „blank” proste! Noprzód niech to uokno uotworzom, to umrze ta jedna! Zaś potym niech to uokno zawrzmom, to sie ta druga udusi! A potym to bydom mieli świenty spokój.

* * *

Pewien dygnitarz śląski jedzie pośpiesznym do Warszawy.

Ponieważ czuje się zmęczonym i chciałby się przespać, woła konduktora, pocziwego Górnoślązaka, wtyka mu do ręki pięciozłotówkę i prosi ażeby go stację przed Warszawą, a więc w Skierniewiczach, gdzie się kończy cel jego podróży, obudził.

Ponieważ jednak należy do gatunku tych śpiochów — którzy jak raz zasną, to ich dziesięć armat nie obudzi — prosi więc, ażeby konduktor nie wiele z nim robił zachodu, jak nie będzie chciał wstać i go po prostu gwałtem wysadził z pociągu.

Konduktor śmiejąc się podziękował za dobry trynkgeld — i obiecał uczynić, jak mu rozkazano.

Rano pociąg zajeżdża do Warszawy. Na peronie ruch, konduktorzy wołają:

— Wszystko wysiadać!

Naraz przy jednym z wagonów awantura arabska.

Pewien starszy jegomość wymyśla stojącemu obok konduktorowi, używając wyrazów, — jakie mu tylko ślina na język przyniesie:

— Bydlę z pana nie urzędnik! Łajdak, cygan, oszust itp.

Naokoło wagonu coraz większe zbiegowisko, w trakcie którego podchodzi do konduktora drugi jego kolega i powiada:

— Francek, jak se to możesz jako urzędnik państwowy dać spodobać, aby cie taki ślimok tak szpetnie przezywał...

Na to pado Francek:

— Cego szpetnie? To jeszcze nic pieronie — to byś dziepiero tego był musiał słyszeć przezywać, coh go wyciep z „kupeju” w Skierniewicach.

U O G Ő N I E I M Y Ś L I W C A C H

Jeden myśliwiec ze Śląska, który kiejs po Indiach podróżował, uosprawio w towarzystwie uo swoich przygodach.

Otóż kiedyś idziemy całom karawanom przez jakąś tam dżungla, naroz z trowy wychyło sie uokropny wąż boa, kiery z uozwartom paszczom gotuje sie do skoku. Wszyscy struchleli. Wtym wysuwo sie jakiś Hindus i z nojwienkszym spokojem wyjmuje z torby flecik, tako wiecie piszczółka i zaczyno grać — no i wyobrażcie sobie państwo boa zniknół w sitowiu.

Na to odzywa sie jedyn ze słuchaczy.

— Adyc wiedzom i joch miół niedowno taki som wypadek. Ida se w niedziela z mojom starom do kawiarni w Katowicach. Moja staro sjena se boa i powiesiła go na stołku. Ledwieśmy sie uobrócili, a sam nikt nie groł na flecie, a boa tyż znikło.

* * *

Jakiś myśliwiec uosprawio w knajpie przy piwie o gonie.

— Jo, pado, przed tydnem toch jednym szusem zabił trzi zajonce.

— Ale to przeca niemożliwe!

— Po jakiemu niemożliwe? Jednego trafił śrut, ten drugi sie przekopyrtnół uod strachu, a trzeci skocyl do rzyki i sie utopił z żolu po stracie towarzyszków.

* * *

Ida sobie tak roz w lesie i patrza, a tu stoi sornik.

Jo ci łap za flinta i gich — sornik nic. Jo ci ryp drugi roz, a ta bestyjo nic, stoi, — Wala ci jeszcze roz, nic. Piera ci potym coś bez dwadzieścia razy, a sornik ani pieron drgnoł.

— A wiecie czamu?

— Bo po prostu gizd był głuchy jak pień.

* * *

Myśliwcy, (jakiech to już kilkakrotnie dowodził), cyganiom miendzy sobom, wiela sie ino zmieści. Razu pewnego dwóch idonc wspólnie na gon opowiadajom sobie o mondrości swoich psów:

— Mój Lux, powiada pierwszy, to taki marcha mondry, że jak ciepna swoja czopka do stawu, zaroz za niom nurkuje i prendzej nie wypłynie, aż jom znejdzie.

— No, a moja Diana dziepiero. Jak ciepna do stwau 100 złotych, to przynosi funt karpiów i uostatek pienidzy nazod!

* * *

W knajpie, przy kieliszku, opowiada myśliwiec, że miał suczkę, która dwa kocięta po zagryzionej kotce wykarmiła i wychowała. Drugi myśliwiec, słysząc to, mówi z uśmiechem: — To nic, moi kochani. U mnie była niedowno kwoka z piskleńciem, no i mój srogi wyżeł. Kwoka dostała pypcia i zdechła. I co powiecie? — Poczciwe moje psisko z litości wychowało kurcze i wyprowadziło go na uogromnygo kokota. A nojciekawsze to to, że kokot miast pioć to szczekoł, akurat tak jak nie przymierzajonc polskie dziecko, kiere w niemieckiej szkole wychowali.

* * *

Jeden podróżnik co to aż do Afryki jeździł na gon (a cygon był jak milion diosków), siedzi se pewnego razu w domu jakiegoś państwa i chwoli się już coś po raz nie wiem kiery ze swoich przygód.

Jedna frela (dość marcha szykowno) prosi, żeby jeszcze coś ciekawego opowiedziol. Nasz myśliwiec nie doł sie dwa razy prosić i zaczyno prawić:

— Najgorszo przygoda toch miał ze źmijom, to jest z takim wiedzom węzem, co to mo „bryle” na uocach, nazywajom tego gizda uokularnik, a inksi powiadajom na niego „brillenschlanga”. Tóz kiejsik-ech sie położył troszycka do trowy i zdrzemnął sie. Kiej-ech zasnął, ten gizd ciep sie na mnie i zanimech sie zmiarkował już sie kole mnie pouwijoł jak uobroncka.

— Matko najświętsza ! W jaki sposób pan sie uratował od niego ?

— A bardzo prosto ! — cyganił myśliwiec dalej. Kiej mie tyn gizd chcioł użyć, joch szykownie uodparował i ja kgo gichna pieńściom w kichoł, tak mu zarozki „bryle” śleciały, no i potym mie już nie mógł widzieć.



Kiejś w jakiś dyszcowy, chłodny dzień, siedzi se w knajpce przy piwku pora karlusów — myśliwców i uozprowiajom se uo swoich przygodach myśliwskich. Toć cyganiom przy tym, zwyczajnie jak myśliwcy.

Najgorszy z śnich Hanys Migoc uozprowio prawie i gamba mu nie ustaje:

— Wiecie, kiejs-ech był w górach i ida przez taki gęsty las. Naroz z krzoków wylecioł ku mnie sornik. Chytom za flinta cyluja i ryp — sornik sie przekopyrtnół.

Ida dalej, a sam z krzoków wyleciała dziko świnią. Jo mierza — bęc — i świnią szłapy wyciongnęła. Nie mógech gizda zabrać, bo był za ciężki, tożech go uostawił.

Ida dalej — a sam jak niepyszny leci ku mnie niedźwiedź, srogi jak krowa. — Jo spluwa na ramia, cyluja i . . .

W tej chwili słyszy Migoc, jak ftoś za nim pado:

Pieronie! Jak tego niedźwiedzia zastrzelisz, to cie gichna w pysk !

Migoc ani drgnął i uozprowio dalej:

— Cyluja — gich — i nie trefiółech gizda !



UODZIADACH I INKSZYCH SMYKACH

G r a j e k f i l o z o f

Na drodze ku Piekarom, blisko już Kalwarii, siedział se biedny grajek. Harmonika jego, wygrywajonco rozmaite pobożne pieśni słyhać było już z daleka. Nie groł pięknie, ale tak głośno, iż nawet marchy wróble niemuzyczne uciekały wystraszone świergolonc głośno ze zgorszynio i niejeden z śnich chconc dać dowód swygo niezadowolynio, uopuszcoł coś mienkkiego na ziemia. Było to w dzień powszydni, to też rzadko fto ciepół coś do copki grajka.

Jak wszyjscy artyści, ludzie, kierzy życie bierom ino z dzisiok na jutro i smolom na wszystko, tak tyż i nasz muzykant był filozofem. Jak widzioł zbliżajoncego sie ku niemu cłowieka, zarozicki poznowoł, cy mu ten ślimok do co, abo ni. Tako już w tym miół

wprawa, że sie prawie nigdy nie uomylił.

Kiej tak bez ustanku na tyj swojej harmonice przebieroł zabołało go rencysko — chciół zrobić małuško pauza, ale naroz patrzy, a sam lezie ku niemu śtyrych fajnych panocków. Totyż uościengoł harmonika, jak ino móg nojsyrzej i prosi ku temu: „Miłosierni panockowie, wesprzyjcie biednego, chorego i nieszczęśliwego, jego chudo baba i sześcioro dzieciek, kiere już bez dwa tydnie nic nie miały w gembie”.

Panockowie jednak zatopieni widać w mondryj uozmowie, ani wejrzeni na muzykanta i pošli dalej. Zanim jednak ušli pora kroków, jedyn z śnich stanył, wyjon z kabsy bajtlik, wrócił sie do muzykanta i ciepnył mu do copki jakoś moneta. Kiej to ci drudzy uwidzieli, zrobili tyż to samo co pierwszy i każdy z śnich ciepnył biednemu cosik do copki. Kiej wszyscy pošli dalej, muzykant do pod copka i wybroł z śniej zawartość. Było w nije: 1 dwugroszówka, 1 dziesięćciogroszówka, 1 złoty i 1 knefel uod galot. To dziwne, filozofowoł muzykant, śtyrych panocków, jednako fajnych, nolegzonych do jednyj zorty ludzkiej, a każdy z śnich doł mi inkszo jałmużna.

Uod kierego tyż może być tyn złoty? Cy uod tego chudego, kiery sie pierwszy ku mie wrócił abo tyż uod tego rubego z ryszawom bródkom? Cy mi naskfol tyla doł, cy sie tyż jeno uomylił. — Kiery zaś z śnich móg mi do copki wciepnońc ten knefel z galot?

Wszystkie te pytania świdrowały naszemu muzykantowi we głowie i nie dowały mu pokoju. Ciengiem jeno uo tym samym myśłoł.

W końcu padoł se tak:

— Jo sam byda tak długo siedzioł, podwiela zaś tych śtyrych nie pódzie nazod i nojlepiej bydzie, jak ich sie „ainfach” spytom.

— Toć nie moga pytać tak „direkt”, boby mi nie uodpedzieli. Jo se to byda musioł mondrzyj narychtować.

Myślonc tak, śmioł sie pod nosym do siebie i zacón grać jakoś piekno, wesoło śpiewka.

I rychtyk: za jakieś dwie godziny widzioł zaś tych panocków idoncych nazod ze szpacyru.

Nasz muzykant stanył, pozdrowioł statecznie i pado:

— Przebocom, miłościwi panockowie, starymu, biednemu muzykantowi, że taki ciekawy! — ale dali mi uoni dzisiok wszyscy,

(niech im to Pon Bócek wynagrodzi stokrotnie!) — jałmużna. Kożdy z panocków doł mi za równo. Bardzo ich tyż pięknie prosza: pedzom mi, czamu mi kożdy z śnich doł jałmużna (za kiero niech im Pon Bócek zapłaci).

Panockowie zacyni sie serdecnie śmioć, a jedyn z śnich pado:

— A to dziepiero berdyjo śmieszno, widzieliście to już takiego dziada? Ale dobrze, trza mu pedzieć, kiej taki ciekawy. Jo zarozicki zacna:

— Jeżeli wom dziadku mom pedzieć prowda, toch jo wom jeno skiż tego doł jałmużna, bo nie moga na dziada patrzeć. Przed biednym człowiekiem to sie wdycy rzadza¹! Joch tam nie jest żodyn moralista i nigdy nie słuchom, cy tam fto jest biedny z własnyj winy, cy tyż nie, — ale biedni ludzie jakoś mi idom na nerwy i nie moga ich ścierpić. Dom jednemu tyła, wiela i drugiemu i fertik!

Słyszonc te słowa, zmiarkuwoł nasz muzykant uod razu, ftóry to z panocków mu wciep do mycki dwugroszówka.

Drugi panocek pado:

— Jo zaś mom nerwy mocne, mie tam byle biedok nie wyprowadzi z równowagi. Mało sie to człowiek nie napatrzy na roztomalitych dziadów? Jeśli dowom jałmużna, to jeno skiż tego, że mom bardzo wyrobione pocucie uodpowiedzialności. Toć mie to mierzi, widzonc, że jest tyła ludzi ubogich, mie zaś powodzi sie wcale dobrze. Cuja sam niesprawiedliwość losu, kiery jednym dowo za dużo a drugiemu nic! Totyż mom zawsze coś takiego, jakby wyrzuty sumienia i lo tego dowom jałmużna kożdymu nie żałujonc nigdy tego!

Sam zmiarkuwoł muzykant, uod kogo to dostał dziesięćgroszówka!

— Jo — pado trzeci panocek — jeśli mom być szcyrzy — to dowom jałmużna ino ze strachu. — Ze strachu skiż tego — bo sie boja, żeby i mie kiejś w życiu nie szło tak usmolonie i tropi mie ucucie: fto mie wtedy wspomóże! Totyż kożdy roz, jak widza ubogiego, cierpnie mi skóra na grzbiecie i lo tego dowom kożdymu, kiery po prośbie wyciongo renka.

Terozki zmiarkuwoł muzykant, fto go uobdarowoł jednym złotym.

¹ brzydzące

Zabroł głos cworthy panoczek i pado pełen uoburzynio:

— O wy samoluby! Cy to nie wiecie, że uobowiązkiem chrześcijanina jest karmić biednygo tym, co spado ze stoła uobfitości i dobrobytu. Joch doł jałmużna przez miłosierdzie, bo mienkkie mom serce i dobroć w duszy. Nie pedzioł to Zbawiciel: „Cokółwiek uczynicie jednemu z najmniejszych braci waszych — mnie uczynicie”. I nie stoi to w Piśmie świentym: „Błogosławieni miłosierni, albowiem ich miłosierdzie bydzie!”

Po tych słowach wiedzioł już nasz muzykant zicher, uod kogo dostoł ten „knefel z galot”.

* * *

Jakiś przechodzeń do synka, kiery wiedzie niewidomego.

Czy to twoi uocić synku?

— Adyć moi.

— A uod kiedy to nie widzom?

— Adyć zwyczajnie panocku, uod rana uósmij aż do wieczora, jak piźnie na zygarze dziewieńć.

* * *

Jakaś mamulka poszła ze swoim trzyletnim syneczkiem na spacer. Synek ujrzał w sklepie przez okno jakieś tam słodycze i uparł się, żeby mu je mamulka kupili. Mamulka jednak, nieczuła na zachcianki synalka, ciągnie go za rączkę i zachęca, żeby poszli dalej. Chłopczyk jednak niezadowolony z takiego obrotu rzeczy, zaczyna przeraźliwie beczć. Mamulka uspokaja synka, ale bez skutku. Niegrzeczny bachor usiadł na ziemi i wali nogami, drąc się w niebogłósy. Nadchodzi jakiś żebrak i ma przewieszoną przez ramię dużą torbę. Mamusia widząc dziada, woła:

— Podźcie no dziadku i weźcie tego niegrzecznego bembna do torby!

— Co, pado dziód, jo go mom wziąć do torby? Ani mi się śni, niech go cholera weźmie!

* * *

— Żebak żałośnie skarży się pewnej pani, do której zapukał po jałmużnę:

— Ja, ja panuchno, i joch mioł kiejs lepsze casy, kaj to-ech we włosnym wózku jeździł.

O wy biedaku, — mówi wzruszona pani wręczając żebrakowi złotego. — A kiedyście to mieli własny wózek?

— Ano bydzie tymu śtyrdzieści lot, zarozki po urodzynie!

* * *

Chłopak prowadzi niewidomego po żebrze. U jednej litościwej pani dostali talerz zupy i kawałek mięsa. Chłopiec zjadł prędko mięso, zaś dziadowi zostawił zupe.

Dziad: Synku, a nie było w tyj zupie mięsa?

Synek: — Po jakiemu?

Dziad: — No boch pocuł.

Gdy pojedli, poszli dalej, a chłopak naumyślnie zaprowadził dziada przed mur i pado:

— Teroz skokejcie, bo tu przykopa.

Dziad skoczył z rozmachem i rypnął głowom o mur. — Na to pado chłopiec:

— Dzię, mięso toście w zupie poculi, ale muru to nie poradzicie!

* * *

Żeście som ślepi dziadku, to jest bardzo smutne. Ale czy to musicie dziadować? Nie mocie rodziny, co?

— O ja, panocku, dyć widzom mom brata. Alech jo widzom jest abstynent, a jak widza u tego gizda tyn cerwony nochol, to mie wdycki diobli majom porwać.

* * *

A co sie stało, staroszku? Przecieście wdycki stoli pod farom, a terozki żebrzecie kole banhofu?

— No ja, dyć tak było panocku, alech terozki to miejsce przy farze musioł dać zieńciowi jako wiano lo cery. Jo tam widzom, już mom dość, niech sie terozki uon dorobio.

* * *

— Litościwa uosobo — aby grosik biednymu!

— Co, ty chacharze — gorzoła leci uod ciebie, a dziadujesz i ani mycki nie sejmiesz z łeba?

— Przebocom panocku, ale widzom tam na rogu stoi poli-cyjon, jakby uobocył, żech sjon mycka, to by mnie za dziadowanie wzion do dziury, a tak se bydzie myśłoł, że idzie dwuch przyjocieli.

* * *

Pani do żebraka: — Wolicie talerz zupy czy 10 groszy?

Żebrak: — Jakóż to mogą wiedzieć, panu chno, kiedych jeszcze zupy nie skosztował.

* * *

Dziad (do przechodzącego): — Panocku, dajom mi co, bo mom dziesięćcioro dzieci!

Pan: — To jeszcze macie mało?

* * *

Dziad w Piekarach na Kalwarii przed kościołem krzyczy:

— Kochane duszycki miłosierne! Nie uopuszczajcie mnie tyż biednego sieroty! Nie mój ani uojca, ani matki, a ciotka boroka mie jeno z litości porodziła! Nie uopuszczajcie mie biedoka, a Pon Jezusek, co tu w tym kościele, w tym ślicznym uółtorzu mieszkowóm to stokrotnie wynagrodzi.

Na to daje mu jeden z pątników złoty i pyta go się, jak długo tu już przed tym kościołem siada i jak ten kościół w środku wygląda.

Dziad odpowiada: — Ho, panocku! Jo już tu siodóm kielańście lot. W tym kościele jest pono bardzo pięknie, ale to sie już tam niech sami uo tym przekonajóm, bo jo tam w niem, wiedzóm, jesce nie bół, skiż tego, iże nie chca robić ciżby i że nie chca zawoźdzać cudzym ludziom, co tu przydzóm na uodpuśc.

* * *

— A dyć-ech se terazki przypomniał, żech nie wloz do jednego bogoca, kiery mi co rok dowo dziesięć złotych.

— No, uosmół go tam, a dyćś przyniós tyła pieniendzy, że nom to styknie, to mu te dziesięć złotych podaruj.

Ale tu dziód zrywa się z ławki i wrzeszczy:

— Podaruj! — A mnie chto co podaruje?

M i o ł s z c z y ń ś c i

Roz wybroł sie tesz stary Niedoba na pogrzyb swojego sómsioda. Niż jeszcze z dómu wyszeł, praji mu jego staro tak:

— Jura, a dejse pozór, abyś dzisio w czas do dómu prziszeł, nie zaś tak jak zaobycz o drugi w nocy. Pamiyntej, że mosz pojczany, czorny ancug, abyś go w gospodzie nie obłoł jakom gorzółkom. Ja, a coch ci to jeszcze chciała... Aha! Dzisio bedem schody sztrajchować, tak dej pozór, abyś mi ich nie zaszmatłoł. Przed dziesióntom musisz już być doma, bo o dziesióntyj se chytom roboty. Słyszysz?

— Ale słyszym, dyć słyszym. Nic sie nie bój Johanko, jo przydem dzisio w czas do dómu. Uwidzisz!

Jednak chłop, jako chłop. Mioł, prowda, najlepsze chynci, ale kej go kamracio zadzierzyli w gospodzie i tak zabałamońcił aż do drugi w nocy. Przychodzi do dómu, wlezie do siyni i czuje farbe i spómnioł se, że jego miała dzisio ty schody sztrajchować. Aby ich nie zababrać, uokroczył poryncz i wio na wyrch. Już był przy samym wyrchu, a tu bync, loska mu spadła. Wio zaś na dół po niom i drugi roz sie winduje na porynczy na wyrch. Zaś był przy samym wyrchu, sturził se do czopki i czopka spadła na dół. Wól nie wól musioł sie zaś tom samom cestom po czopke wrócić, bo mogby mu jom gdo ukraść, i szup na dół. Podniós czopke, uokroczył poryncz i zaś sie winduje po porynczy na wyrch. Procnie mu to szło, pot sie mu z czoła loł, tak przy wyrchu spocznół se troche, wyciongnół szumtychle z kapsy, aby se utrzeć, a tu bync, klucz mu z szumtychlom wypod. Mosz dioble kropocz! Musioł sie zaś nazod spuszczać, naszeł klucz i zaś wio na wyrch. Przeca sie szczyńśliwie dostał na piyrszy sztok, uotworził po cichu dźwierze, wloz do izby, światła nie rożygoł, bo nie chcioł, aby sie baba uobudziła, boby zaś była jynzykowo polywka, że zamiast o dziesiontyj, o drugi wrócił. Ale baba sie zaroz uobudziła i praji se:

— No, pieknieś to prziszeł. Myślisz, że nie wiem, że som już dwie? Dyć teraziunko wybił zygor. No, ale mosz szczyńście, zech schodów nie sztrajchowała, ino... samom poryncz.

(z *Cieszńskiego*)

Przed „lejamtem” (inaczej lombardem) kiejś nieskoro w nocy, dobijo się jakiś naprany bezrobotny... wali we dźwierze, aże się cołko chałupa trzęsie. Narozki uotwiero sie uokno i właściciel domu, czyli gospodarz wychyło łeb i pado:

— Cóż wy pieroński chacharze sam takie robicie larmo? Cegóż to chcecie?

— Cego? — pado uożarty... jo sam chca iść spać!

— Jako to spać, przeca wy sam nie mieszkocie! — pado gospodarz.

— No ja, pieronie, jo wiem, że sam nie mieszkom... ale sam som moje pierzynny.

* * *

Pewien bezrobotny wybrał się ze swoim synkiem na „wander” szukać roboty. Kiedy tak sobie idą polami, lasami, powiada ojciec do synka:

— Wiesz Francik, jak znejda robota i dostana pierszy gieltak, to se zarozki kupiemy los do loteryje, a jak wygromy, to se kupiemy małego wieprzka i bydziemy go fajnie kormić, a jak wieprzek urośnie, to go zabijemy, narobiemy kielbos, krupnioków, leberwusztów i bydziemy se żyli, a jedli — farońsko.

Na to Francik aż podskoczył, ślinka mu spłynęła z podniebienia, klasnął w dłonie i pado:

— Jeckusie uocić, to bydzie ale fajnie, jo ino sama kielbasa byda jod.

Tu ojciec buch synka w gemba i z pyskiem:

— Ty diobli najduchu, widzisz go, som wuszt bydziesz jod, nie mozes se to tyż kasek chleba wziąć, co? Kielbasa terozki tako drogo...

* * *

Ciotka Barbórka i ciotka Stazyjka majom do kupy jedne śtucne zemby. Ta z śnich, kiero idzie na miasto, zabiero se zemby. Zaś drugo bez ten cas siedzi bez zembów w doma. Kiejś ciotka Barbórka prziszła z miasta, wyjmuje z gemby zemby i daje je ciotce Stazyjce, prziczem uozprowio, że była u kamratki, trefiła prawie na geburtstag (urodziny) i jadła kołoc.

— Wiem, wiem — pado Stazyjka — jadłaś kołoc z kejsom, prowda?

* * *

Jak pado mąż do żony, kiej przechodzm bez ulica, a wielki ruch wozów i automobilów co chwila im zagrozo:

W 1-szym roku po ślubie: Dockiej dziubecku, aż te wozy przejadom; nigdy człowiek nie może dować dość pozór.

W 2-gim roku: Hejdla, dockiej troszka, wóz jedzie...

W 5-tym roku: Wóz! Dockiej!

W 8-mym roku: Dowej pozór! Pod koła wlecisz...

W 10-tym roku: Czy fóry nie widzisz?

W 15-tym roku: Czyś pierzina ślepo, cy co? Jak cie przeje-dzie, to fto bydzie płacił dochtora? Co?

W 20-tym roku: (Nic nie pado, bo se pado, że babsko roz przeca dostanie sie pod koła i tonim sposobym diosi jom weznom.)

* * *

Do jednego filantropa — wielkiego i bogobojnego chrześcija-nina, przyszedł raz gdy ten siedział przy sutym obiedzie, jakiś bied-ny bezrobotny i prosił o wsparcie.

— Dozwolom mi panocku siednąć przy jeich stole i pojeść tro-szycka. Jo wiela nie zjem, bo mom żołondek jak małe dziecko.

Słyszac to filantrop, a chcąc się wobec zebranych przy stole gościach popisać swoim dobrym sercem i chrześcijańską cnotą miło-sierdzia i miłości bliźniego, kazał biedakowi usiąść przy stole. Nasz biedok zabroł sie do jadła i zaczął tak „wciepywać”, że niezadługo dlo reszty gości nic nie zostało.

— Słuchej ino człowieku, — pyta filantrop zły, — co to mo znaczyć? Padołeś, że mosz żołondek jak małe dziecko?

— No ja, dyc mom żołondek taki srogi jak małe dziecko.

* * *

Konstant Porwoł pojechał ze swojom babom Teresom na przedświonteczny jarmark. Nakupili, co było potrza na Dzieciontko lo całej czelodki no i spieszno wrócili ku chałupie, jako że Teresa nogliła, bo to jutro przeca wilijo i cołko hołda ceko jeszcze roboty. Jadom, jadam, aż sam naroz naprzeciwno peńdzi autok, (abo je-szcze inakszej samochód). Młody koń przestraszył sie, skoczył w bok i złomół dyszel. Całe szczyńście, że fury nie przewalił. Kon-stant słoz z fury i jakkolwiek mierzół go wypodek i złomany dyszel, zaczón jednak uspokojać bojaźliwego konia.

Natomiast Tereska, zwyczajnie jak baba, zaczyna przezywać,

padajonc: — Co za głupi koń, aże co za głupi !

— Wcale nie głupi uodpowiada Konstant.

— A jo padom, że głupi — pado Teresa...

— A jo ci padom, że koń nie głupi... i już.

— Padom ci ślimoku, że koń jest głupi i nie dopolej mie, bo-
bych ci jeszcze nazdała.

— Padom ci Tereś, że koń nie jest głupi, ino sie zlenknół
autoka.

— A jo ci padom, że jak sie marcha zlenknół autoka, to jest
głupi...

— Słuchej Tereś, przeca koń nie poradziół inakszyj. Widziół
wóz, kiery jechoł, a nie widziół konia, tóż sie zlenknół.

— No to cóż z tego! — pado uparto baba.

— Co z tego... Ano pomys ino ździebko! Jakbyś tak nie
przimierzajonc legła se wiecór do łóżka, i cekos na mie i cekos. Na-
roz uotwierajom sie dźwierze, radujesz sie i dziwosz, a miast mie
włazom do izby ino moje galoty i idom ku łóżku, cybyś sie nie
zlenkła, aże nie zlenkła, co?...

B ó l z a m b ó w

„Kielce cie bolom, uo jeckusie, dyc to przeńdzie”, pado Ha-
nys Grychtolik, uowcorz: „Nabieresz se do gamby pełno wody, ale
blank zimnej. Najlepsz to na świeżo dyszcówka. Weźmiesz se do
gamby wody, cyś spokopiół? Potem nazbierosz se wiązka chrustu
i tak ze trzy naramioncka drzewa. Na jedna ranka sosnowego, a na
druga ranka bukowego. Miarkuj se, trzy naramioncka drzewa. Po-
tem wrzisz te trzy naramioncka do pieca. Potym weźniesz siarnicz-
ki drzewo podpolisz. Zapolisz to w piecu, zmiarkuj se. Potym ban-
dziesz przykładół, furt przykładół, podwił blacha nie bandzie cer-
wiono. Aze bandzie czerwiono — wiesz? Zaś jak bandzie czerwiono,
ściepniesz se galoty i położysz je na stolku abo na ławce... Na
ławce, miarkuj se. Potym dźwigniesz se koszula i siedniesz se na bla-
cha — ale koszula musisz se dźwignąć, coby ci sie nie spoliła. Tóż
se siedniesz na blasze — pamiętej! Terozki bydziesz cekoł, aże sie
woda w gambie zacznie warzyć. Bydziesz cekoł!... Zaś jak woda
bandzie kipieć, to cie zarozki kielce przestanom boleć”.

(z Opolskiego)

Spotkało się dwóch hawirzy, (górników) kierzy hańdowni społem chodzili na szychte, a teraz już trzi miesiõnce, jak dostali „kindygunek” i musieli iść na zielonom trowe.

„Sergust!” — prawi se Francek. „Jak sie mosz Gustlik pierzyna! Na dyc-zech cie już downo nie potkoł na frysznym lufcie! Kajs sie zakopoł? Pedoj!”

„Dobry dzień Francku! Nikajem sie nie zakopoł, ale dyc już dwa tydnie, jak móm robota!”

„Co pedosz? Robota? Mosz już robota? Na po jakimu? Jo przeca chodzem od trzech miesiyncy za robotom, a pierzyna nikaj ji znalyżć ni moga!”

„No ja, wiysz jo sie pomodlił do śwyntego Antoniczka i tożem roz dwa robota naszeł?”

No, to adije, bo ni mom czasu, muszem sie śpichać, bo i jo sie bedem modlił do śwyntego Antonika, to se tyż robota najdem! „Z Ponbóczkiem!”

Tak poszeł Francek prościutko do kościoła i modlił sie przed śwyntym Antonim o robota, ale i tak ni móg robota nikaj znaleźć. Chodził do kościoła jedyn, dwa, trzi dni, chodził cały tydzień, a roboty jak nie widać, tak nie widać.

Na ósmy dziyń prziszeł do kościoła, a prawie za uołtarzem uomiatoł kościelny proch. Hawirz wali prosto ku śwyntymu Antoniowi, wycióngo piyńści złożone i prawi: „Śwynty Antoni, jak do jutra roboty nie nojda, to cie na ty nejdrobniejszy kęsy rozwalem”. No i poszeł.

Kościelny sie strasznie przelónk, leci do faroża i prawi:

„Panie farożu, źle!”

„Na po jakimu? — pyto sie go faroż.

„A bo był teraz w kościele jedyn bezrobotny, widać że to komunista, przygrazowoł piyńściami śwyntymu Antonimu i prawił, że jak do jutra roboty nie nojdzie, to go na ty nejdrobniejszy kęsy rozwali!”

„A, to by trzeba tymu zaradzić, bo szkoda by było tyj wielki figury. Ale co by tu zrobić?”

„Panie farożu, pierucha — a może by tak kościół zamknońć?”

„Ale idż, idż kościół zamknońć. — To przeca nie idzie! Aha, już wiem. Weż oto te małom figurke śwyntego Antoniego, postow jom na tym samym miejscu, a te wielkom figure przynieś

tu. Jak se małom rozwali, to nie bydzie przeca tako szkoda”.

Kościelny poszeł po te wielkom figure, przyniós jom na fare, ale o tyj małej zapomniał i tak zaroz rano niesie te małom figurke do kościoła, ale ledwie postawił jom na miejscu, już przichodzi hawyrz. Kościelny nie chciół, aby go widziół, tósż skrył sie zaroz za uołtorz.

Francek przichodzi bliży, widzi małom figure, ale wielki nigdzie ni ma, toż woło:

„Hej bajtlik ! A kaj som fater ?”

„A poszli po robota” — uodpowiada zza uołtarza kościelny.

„No, to jo już teraz roboty nie nańdem — jak już i świynci po robota chodzm ! Pierucha !”
(z *Cieszyńskiego*)

Tako ot sobie dykteryjka z woniackom

Byli se roz dwaj bracia — zwali sie... zresztą wszystko jedno jak się tam zwali. Gustlik był szwiec, a Zeflik poszoł do „fliegrow” i uostoł pilotem. Roz na święta zrobił Zeflik Gustlikowi niespodzianka i przileciół na aeroplanie do brata w uodwiedziny. Londowoł na polu, kiere do domeczku Gustlika przilygało i było jego, to jest szwieca własnościom. Naturalnie londujonc, potrajtoł mu aeroplanem żytko i w dodatku wyrył uogonem aparatu srogo dziura. Toż Gustlik jako dobry gospodarz, gorszył sie skuli tego i sprzeżywoł Zeflika padajonc:

— Cy pierzinie diosecki, nie mosz dość placu do furganio na gościńcu ? Dziwej sie mamlasie, coś mi to porobiół !...

Zeflik jednak brata przeprosił, no i jakoś sie poszkodowany udobruchół.

Kiej se festelnie pojedli i popili, jak to zwyczajnie przy świętach i uosprowiali uo swoich przeżyciach, pado Zeflik do brata:

— No Gustlicku, na mnie cas, musza pofurgać zanim sie blank zaćmi. Kiej już narychtowoł aeroplan i puścił motor, pado do niego Gustlik:

— Wiesz Zeflicku, nie wia, jak sie to na takim pieroństwie loto, może byś mie tak kąższek przewióz ?

— Dobrze ! — pado Zeflik. — Chocioż mi już pilno, ale co sie nie robi lo braciszka, siadej...

Gustlik siod se do aparatu, Zeflik go porzondnie poskami po-

przwiązywał, żeby casem nie wyleciół i polecieli.

Kiej byli coś na 500 metrów, uobroco sie Zeflik do brata i pyto:

— Gustlik, cujesz co ?

— Nie, nic. . . — pado Gustlik.

Zeflik wjechał na wysokość 1000-ca metrów i zaś pyto brata,

— A terozki cujesz to co ?

Na to Gustlik:

— Nie berej pierzinie po rzond, a jedź wyżyj, bo to jest jednak fajnisto rzec, to furganie.

Zeflika to jednak dopolało, że brat twardy, biere se to furganie tak z lekceważyniem — nie namysławjont się, zrobiół coś trzi koziołki — takie jak to padajom „lopingi”. Kiej zaś aparat wyrównół, pyto:

— A teroz, Gustlik, cujesz ?

— Ja, terozki dziepiero cuja, bo to coch miół w galotach, mom terozki na kraglu. A jedź pieronie na dół, bo mie to milionośko łechce !

* * *

Zeflik Grundelok, fajny chłop, ino troszka niedowiarek (z takich, co sie to Panu Bogu nieradzi naprzikszejom), musioł we Wielgi Tydzień ze swojom starom pójść do kościoła na „dróžki”.

Po „dróžkach” uostać musioł jeszcze na nauce, czego jednak nie pożałował. Księżoszek bardzo pięknie i ucuciowo uozprawiali uo życiu naszego Zbawiciela i uo tym, jak go to Żydzi mencyli i na srogo śmierć krzyżowo skożali.

Kozanie księżoszka trefiło na podatny grunt i wzruszyło sumienie Zeflika. Nazajutrz chodził markotny, uozmyślajont uo słyszanyj nauce całuski dzień. Wieczorem wracajont z roboty, spotkoł kamrata, kiery go namówił, żeby se wstompili na śledzia. Poszli i zjedli koždy po „harynku”. Ale że to harynek rod pływo, więc go tyż i porzodnie zaloli. Kiej już tak mieli coś na 90 procent, uożešli sie ku chałupom.

Nasz Zeflik tompie tak trocha niepewnie ku domu, naroz spotkoł starozakonnego handlyrza. Nie wiela myślont, chycił go

za kragiel i nuż go zacón uobkładać i przezywać:

— A ty pieronie, mom cie! Toś ty mencół naszego Pon Bócka, a mosz, a mosz!

Zrobiło sie larmo i zbiegowisko, a Bogu ducha winny Żydek skrzeczy w niebogłosy:

— Gwałt! Rozbój!

Zjawia sie posterunkowy i łaps terozki naszego Zeflika za kragiel:

— Czyś ty uogłupioł, czy co? Cóż to sam robisz za breweryjo?

Na to pado Zeflik:

No co, piera tego gizda za to, że ukrziżowoł naszego Pon Bócka.

— Ale człowieku, zastanówcie sie, to przeca było tysionc dziewieńset lot tymu!

— Ja, tysionc dziewieńset lot! To mi jest wszystko jedno kiej było, ale jo sie dziepiero przedwcoraj uo tym dowiedział i fertik!

* * *

Hanys Zwada i Gustlik Štuchlik dobrymi byli kamratami. Ale roz powadzili sie uo dzioucha i z dobrych kamratów przemienili sie w śmiertelnych wrogów. Nie godali ze sobom coś bez pora mie-sienicy.

We Wielgi Tydzień poszli se jednak jako dobrzy katolicy do św. spowiedzi i postanowili sie ze sobom pogodzić.

We Wielgo Niedziela spotkali sie po nabożństwie przed kościołym.

Hanys podszed do Gustlika, podowo mu renka i pado: „No Gustlik, nie górsz sie już na mie. A terozki ci życa ze scyrygo serca wszystko to, co i ty mie życys”.

Na to zachnoł sie Gustlik i pado:

„Hanys, pieronie, zaś zacynos?”

C Z Ł O W I E K

(Zadanie szkolne 10 letniego Karlika)

Cłowiek mo jedna głowa, kiero siedzi na karku. Na prawej stronie i na lewej stronie uod głowy siedzom uszy. W postrzodku twarzy siedzi nos, kiery jest niekiedy bardzo srogi, a niekiedy bardzo cerwiony, ale to nie uod wody.

Na wierchu uod głowy siedzom uocy a na spodku gembra. Niekiery mo bardzo srogo gembra. Moja ciotka Stazyjka tyż, bo tak padajom uociec.

Nad gembom i pod gembom mo chłop włosy. Baby nie majom tam włosów, bo som niemęskie. Na zadku uod głowy rosnom włosy, u niekierych jasne, u niekierych ćmawe, corne, siwe abo biołe. Zaś na niekierych głowach rosnom włosy łyse — jak sie trefi. Kobiety majom długie włosy, a niekierzi padajom, że krótki rozum, ale to nie prawda, bo dzisiok jest blank na uopach.

Kark jest niekiedy ruby i krótki abo długi i cienki, ale to nie jest ani tak, ani tak piękne. Przy karku wisi tułów, cyli uostatek. Na wierchu uod tułowia som z przodku piersi a ze zadku plecy. Po prawy stronie uod tułowia wisi prawo renka, a po lewy stronie wisi lewo renka. Lewo renka nigdy nie wi, co robi prawo renka. W piersiach na wierchu na lewy stronie siedzi serce. Prawo strona ni mo serca. Szkoda! Mamulka padajom, że dzisiok dużo ludzi ni mo serca. Cy to je prawda, nie wiem! Pod piersiami uod człowieka wisi brzuch. Bogaci ludzie majom rube brzuchy. W brzuchu człowiek mo żołondek, kiery, jak jest głodny, to bucy. Uo drugiej stronie brzucha, porzanny człowiek nie godo, tóż jo tyż nic nie powia...

Pod brzuchem wiszom do ziemi dwie nogi, na kierych chodzimy. Jak człowiek umiero, to pado dusza do ciała: „Do widzynie”! Wiencyj-chmy sie już nie ucyli.



Jendrek Buła wielkim jest przyjacielem przyrody. Nojwienkszym przyjemnościom lo niego jest, jak se może pójść w pole abo do lasa i tam se pomedytować nad cudami stworzynio. Roz poszeł se zaś do lasa i tam sie ukłód pod jakimś stromem i dziwoł sie ptozskowi, kiery sie nad nim na gałazce wesoło huśtoł. Niedaleko pasła sie krowa. Jędrek medytuje, że jednak na świecie nie jest wszystko tak mondrze zrobione, jakby miało być. — Boć czamu to lo takiej srogiej krowy kaszcek ino jest tyj ziemi, a lo takiego ptozka takie srogie przestworze. Widać, że Stwórca tyż nie miał umiaru. Kiej se tak myśli i krytykuje, naroz ptozsek upuścić mu coś z wierchu prawie na gembra.

„Ho, jednak nie mom prawie! — pado Jędrək, uobcierajonc sie rencyskiem. Co by było, jakby tak na wierchu siedziała krowa”.

* * *

Karlik Grzywoc dostał z „krankenssy” nowe zęby, stare mu bowiem dawno wyleciały. Kiedyś miał pójść na posiedzenie towarzystwa, którego był bardzo czynnym członkiem i piastował w nim urząd sekretarza. Kiedy sie po szychcie ubierał na posiedzenie, wypucował też swoje zęby, które oczywiście poprzednio wyjął z gęby no i położył je na stołku. Kiedy „oblykał fuzekłę”, przez zapomnienie capnął się w zęby, no i efekt był ten, że skoczył jak oparzony, bo zębska nowe i ostre wbiły sie w ciało. Na posiedzenie już nie poszedł, ale posłał tam swego Hanyska, który oświadczył: „Fater dzisiok na posiedzenie nie przyjdom, a to skiż tego, bo sie ugryźli w zadek”.

* * *

Te, Richard, uobejrzyj ino na zygarze, kiero terazki godzina.

— Za świerć godziny bydzie styry, tatulku .

— Trombo! Jo sie nie pytom, wiela bydzie za świerć godziny, jeno chca wiedzieć wiela jest terazki! Rozumiesz?

Padom wom — nie wdowejcie sie z diobłym!

Gustlik Cierpiół (porzondny chłop — bo se rod jednygo chornył), poszoł w „Popielec” ze stwojom starom, bardzo pobożnom kobietom, rano do kościoła. Stanół se jako skromny chrześcijanin w „babińcu” w końciku i zaczon sie przyglondać uobrazom, zawieszonym tamże na ścianach.

Dziwo sie, że na jednym jest wymalowany diobół — jak porywo nieszczęśliwo dusza do piekła.

Przed wszystkimi uobrazkami świecom sie świeczki, jeny przed tym wspomnianym ni ma ani jednyj.

Gustlik przybliżył sie do uobrazu i pado.

— Uo borocku, tak cie sam wsadzili do konta, trza ci tyż przeca ździebko poświęcić, i niewiela myślonc, dopod jakoś świeczka i postawił jom przed uobrozkiem z diobłym.

W nocy śni sie Gustlikowi diobół, kiery prziszoł ku niemu i pado:

— Za to, żeś mi wcora w kościele przświecił, chca ci sie uodwdzińczyć! — Pódź se mnom, pokażo ci skarb.

Gustlik wstoł i idzie z diobłym do lasa. Naroz stanyli kole jakiegoś krzoku paproci. Dioboł wskazuje i pado:

— Widzisz, sam w ziemi pod tym krzokiem jest skarb — wykop se go.

— No ja, pado Gustlik, bardzo to pięknie, ale cym jo go to wykopia, kiej nie mom ani łopaty, ani kilofa...

— Dyc prawda, pado dioboł, hm, no tóż go se nacechuj, a jutro przyjdiesz i wykopiesz.

— No ja, ale cym go to pierzina nacechować? A już wiem, położa sam mycka.

— E, głupiś jak milion diosków... pado dioboł, mycka fto porwie i psinco bydziesz wiedzioł kaj skarb. Uodepnij posek, galo-ty „runter” i nacechuj, no wiesz przeca...

Gustlik zrobił, jak mu kozoł dioboł. Naroz sztuchnył go ftośik w bok i skrzecy (a była to jego baba):

— Gustlik! Co to sam tak cuć?

Na to Gustlik:

— Cicho... cicho dzióbku... bo skarb cechują...

* * *

Kiejsik ida drogom i naroz widza zbiegowisko. Jakiś chłop wadzi sie z babom, widać małżyństwo. Uo co im ta szło, nie wiem, dość że sie wadzili festelnie. Zbiegowisko robi sie coraz wienksze, ludzi nauokoło stoi już cało kupa. Ci, kierzy uostatni przyšli, stowali już na czubki palców i wyciongali łeby, żeby cosik uoboczyć i usłyszeć. Naroz woło jedyn, kiery stoł blank na zadku:

Hejda! Przeżywejcie tam głośnij, bo my sam na zadku nic nie słyszymy.

* * *

— Wiecie Gracyno, ten mój Wiluś to abo mondrała, ten wom mo ale głowa.

— No, a cóż to tam zaś wystudyrowoł?

— Ano wiecie, wymyśłoł wom takie gniozdo lo kur. — Kiej wom kura śniesie jajco, to sie dno uod tego gniozda uotwiero i jajco skulnie sie do takiej szufłodki pod spodkiem. Kura sie uoglonodo i widzi, że ni ma jajca, myśli, że sie uomyliła. Siodo se

zaś na gniozdku i zaś snosi jajco, kiere zaś skulnje sie do szuflodki i tak wom ciengiem sie szydzi i skłodo, nieraz aż do kopy dosiengnie.

C o ś u o c h o r y c h

Joch se wyrachuwoł, że chory może na sześć roztomaitych sposobów wyzdrowieć:

1. Chory nie posyło po dochtora — i chory wyzdrowieje.
2. Chory posyło po dochtora, dochtór nie przichodzi — i chory wyzdrowieje.
3. Chory posyło po dochtora, dochtór przichodzi, nic nie zapisuje — i chory wyzdrowieje.
4. Chory posyło po dochtora, dochtór przichodzi, zapisuje lekarstwo, chory jednak nie posyło po nie do japytki — wyzdrowieje.
5. Chory posyło po dochtora, dochtór przichodzi, zapisuje lekarstwo, chory koże go z japytki przynieść, ale go nie zażywo — i wyzdrowieje.
6. Chory posyło po dochtora, dochtór przichodzi, zapisuje lekarstwo, chory koże go z japytki przynieść, zażywo go — i mimo to wyzdrowieje.

* * *

Trzech kamratów, tengich sportowców, uosprawiajom se uo sportach i o wielkim w nich udziale kobiet.

— Moja Zefla ci kiejs na Hucie zrobiła „hochsprung” na 3 mtr 60 (po łacińsku to se nazywo skok w zwyż).

— Drugi sie zaś chwoli, że jego Gretla zrobiła „weitsprung”, czyli skok w dal na 5 mtr 40.

— To nic pierona, pado trzeci... moja staro przed godami zrobiła „seitensprung” i do terozki jej ni ma w doma.

* * *

Był se raz w Mysłowicach stary Łyzcorz, filut z niego był wielki, ino że był kulawy i kalectwo to dokuczalo mu bardzo. Za to życie uprzyjemniała mu tabaka, którą namiętnie „sznupoł” i bez której żyć nie mógł. — Pewnego razu wracając do domu, szedł przez łąkę, chciał sobie bowiem drogę skrócić.

— Cóż, kiedy przez łąkę płynął potok, który po deszczu na-

¹ skok w bok

pełnił się po brzegi wodą. — Biedny Łyzcorz zafrasował się nie-
lada, bo wracać ze swoją kulawą nogą nie bardzo mu się uśmie-
chało. Więc jak to mówią... Jak trwoga, to do Boga... Nasz
Łyzcorz ukląkł sobie pięknie nad rowem i mówi:

„Pon Bócku, dej mi ta przykopa szczęśliwie przeskoczyć, a jak
jom przeskoca, tóż ślubuja Ci, że już na twoja chwała wiencyj taba-
ki sznupać nie bana”.

Wstał na nogi, wzion „anlauf” skoczył i rychtyk przedostał się
szczęśliwie na drugi brzeg rowu. Zadowolony, że mu się to udało,
wyjmuje z kabsy tabakierka, poszupnoł se fajnięcie i rzyko:

„Ależ się tyż to Pon Bócku doł uoszukać, aże doł uoszukać”

* * *

Jeden bezrobotny zaszoł kiejs po fechcie (bo cóż było robić)
do jednyj restauracyi. Patrzy, a tam przy stole siedzom se przy
jodle i piwku jacyś weseli kumpani i zawijajom, aż im się uszy
trzęsom.

Nasz karlus borok, dziwo się miłosiernie, flaki mu mąrsza
grajom, zjodby se tyż mało wiela i wypił, ale cóż, fenika w kabsie
ni mo, a za darmo nie dadzom!

Myśli: Ach, jakby tu przyjść do jakiej porcyjki. Naroż ujrzoł
kota siedzonego na zofie. Podchodzi do niego, zaczyno go głaskać
i pięścić i pado do gospodarza:

— A skond to majom tego kota? To jest bardzo drogo rasa.
Dużo piniendzy mogom za niego dostać.

— Ja, (pado gospodarz) a cóż to za rasa?

— No dyc to jest zymftowy kot!

— Co to za zymftowy kot? Jeszcech uo takim nie słyszol.

— No, wiedzom panoczku to jest kot, kiery je „zymft”, czyli
musztarda. Jak mu postawiom zymftu, a w drugim talerzyku mly-
ko, to mlyko uostawi, a zymft bydzie lizeł.

— E, nie rozbiecz nos za błozna, pado jeden z gości, spaśny i
bogaty masorz.

— No dyc się mogemy przekonać, ale uo zokłod. Jak wygrom,
to postawiom wiecyrzo i śtyry lagi.

Dobrze!

Przyniesiono z kuchni talerzyk słodkiego mlyka i postawiono
przed kotem. Kot, kiedy pocuł mlyczko, wyprężył się i już mioł
się do niego zabrać, wtym karlus dopod na łyżeczka „zymftu” i

maznół go kotu z drugiej strony, kajś poniżyj uogona.

Efekt był ten, że „zymft” zrobił swoje, no i kot miast do mlyka, zabroł sie do zymftu.

Nasz karlus weta wygroł, postawili co uobsztalował, no i śmiechu było z filuta aże było! Masorz sie trocha gorszył, że go zrobiono za błozna, no ale se padoł, musza sie kiejś na kimś inkszym zemścić.

Razu pewnego pojechał do Mysłowic po wieprzki, no i wstompił se do znanyj tam „restauracji”. Widzi, przy stole siedzom znajomi, tyż masarze, myśli se wienc — cekejcie — terozki jo se na wos użyja!

Uoglon do sie, kaj by ujrzoł kota, ale kota ni ma. Za to patrzy, a tam na ławce leży piesek tak zwany „jamnik”, czyli „dakiel”. Woło wienc gospodorza:

— Cłowieku, a dyc to zymftowy pies, kupa pieniendzy możesz za niego dostać.

Wszyjcy żdziwieni pytajom, co to za taki cudocki pies, uo kierzym jeszce nigdy nie słyszeli.

Nasz masorz uopedzioł wszystko dokumentnie tak, jak to zrobił z kotem nasz karlus, z tom jeno różnicom, że miast mlyka miół służyć do eksperymentu kęs wusztu, kiery, wiadomo, pies bardzo lubi.

Przedtym jednak zrobili „weta” uo śtyry lagi.

Przyniesiono kęs wusztu, dano go psu. Pies capnoł wuszt, a w tej chwili masorz dopod „zymftu” i zrobił prawie tak samo, jak to zrobił karlus kotu.

Efekt jednak był inkszy!

Pies wusztu nie puścił, a jeno usiod se na zadnie szłapy i zacón jeździć zadkiem po caluśkim szynku. Naturalnie wszyjcy w śmiech, no i nasz masorz wety nie wygroł. Musioł ku swojemu zgorszyniu zapłacić śtyry lagi — no i koniec.

R a d i o w l e ś n i c z ó w c e

„Takie radio w leśniczówce, to naprawdę wielkim jest dobrodziejstwem. Tacy leśni ludzie, mając ten cudowny wynalazek, nie są już tak odcięci od świata, przeciwnie — mają i rozrywkę szlachetną i przyjemność”. Słowa te wyczytała w gazecie pani

leśniczyna. To też molestowała męża i nie dała mu dotąd spokoju, dopóki radia nie zakupił. Naturalnie kupić musiał aparat dobry, cztero-lampowy, ażeby można było przezeń wszystkie rozgłośnie słuchać.

Pan leśniczy nigdy długo tego radia nie słuchał, a to dlatego, że nie lubił słuchawek na uszach. Zakładał je jeno wtedy, jeśli „złapał” gdzieś koncert muzyki wojskowej. Natomiast pani leśniczowa siedziała przy radiu prawie że od rana do nocy. Sfolgowało to dopiero w okresie przedświątecznym, a to z powodu pracy, której w tym czasie gosposie nasze zwykle mają po same uszy. Jednak i tu nie zapominała pani leśniczowa o radiu, studiując pilnie programy.

Pewnego razu mówi do męża:

— Stary, terozki uo piątej bydom w radiju nadowali kucharskie recepta. Siadej i bier słuchawki i blajszttyft i zapisz mi tam z pora receptów.

Pan leśniczy zrobił, jak mu małżonka kozoła, ale że sie tam na kręceniu nie bardzo wyznował, tóż nastawił aparat, że równocześnie przemawiały dwie stacje nadawcze. Ta jedna nadawała owe recepty kucahrskie, zaś z drugiej słyhać było lekcję gimnastyki. Leśniczy słuchając, pilnie zapisywał usłyszane, jak następuje:

„Małą miskę z mąką — na ramiona — raz !

Przysiad — palce wyprostować — dwa !

Wszystko wymieszać w $1/2$ litra mleka —

Wydech — do kawowej łyżki soli — raz !

Wbić dwa jajka — rękoma w przód — dwa !

Wymieszać dobrze — głęboki wdech — raz !

Wylać wszystko do formy — przysiad dwa !

Ubić białko z jajka — ręce w przód — raz !

Postawić na piecu — nogi w przód — dwa !

Położyć się wspak na ziemi — raz !

Wysmarować białkiem górę — dwa !

Przykryć kocem — raz !

Głęboki wydech — dwa !

Wyłożyć na stół — głową na dół — raz !

Posypać cukrem — skok w bok — dwa !”



Jakiś student matematyki kupował se kiejs na targu jabka. Ale zanadto w koszu kopoł, wybierajonc co najwienksze, a potym sie jeszcze targuwoł jak Żyd. Handlyrce sie to sprzikrzyło, wydarła mu z rencyska jabka i zaczyna przezywać, zwyczajnie, jak to poradom handlyrki.

Ale student, prziszły inżynier, pokozoł sie jednak mocniejszy w gembie i w dobieraniu przezwisk, uodpedzioł babie tak:

Będziesz cicho, ty stara przekątnio, piramido ścięta, ośmiościanie foremny, wycinku kołowy, pierwiastku sześcienny, ty... ledwoniestyczna, całko nieokreślona!...

Baba zgłupiała i pysk zawarła.

* * *

— Ty pieroński strzypmie, jo ci tyn twój głupi pysk strzaskom, jak mi zaroz nie śleziesz z tyj łonki!

— Przebocom, ale joch przeca nie wiedzioł, że po tyj łonce chodźić nie wolno i że to jeich łonka.

— Ja! Tóż im też to prawia przeca po dobroci.

* * *

— Wiedzom, panie Kneflik, jak ich tak widzom, to zawsze mi sie spomni przysłówie: „Komu Pon Bóg do urzond, to mu tyż do i rozum”.

— Ja, ale przebocom, jo przeca nie mom urzendu!

— Nie majom? No widzom, jak to zawsze fajnie trefi.

* * *

— I cóż ty na to Karlik — (pado Lelonkowo do swego chłopca) — nasz mały Stanik wypedzioł dzisiok piersze słowo.

— Ja, a każ to było? — pyto uradowany Karlik.

— No dyć Maryjka poszła z snim do uogrodu zoologicznego i jak stanyła przed kłotką z małupicami, a Stanik ujrzoł orangutana, to razym zawołoł: „Tata”.

* * *

Posługacz w zoologicznym ogrodzie:

— Jak mnie sam panuchno widzom żywego, rozech tymu lewowi nastompił na uogon.

Pani z przerażeniem:

— Wielki Boże! I cóż się stało?

Posługacz:

— A dyrektor sproś mie jak nieboskie stworzenie...

* * *

Idzie se roz kobieta z czteroletnim synkiem, kiery cegoś nie-miłosiernie becy. Matka stara się wszelkimi sposobami uspokoić skrzota, ale daremnie. Wreszcie mamulka wpado na pomysł i pado:

— Nie płacz, Karlicku, nie płacz! Mama ci kupiom krup-niok... zjesz go se z Panym Jezuskiem.

Na to Karlik:

— Jo nie sca, jo se go zjem som.

* * *

— Kneflik cyto kiejś swojej Zefli w gazycie uo sułtanie z Maroka, że mo uon coś 300 kobiet. Zefla westchnęła głęboko i pado: — Mój ty Bożycku! — Cóżes se tak westchnęła? — pyto Kneflik. — Ano wiesz, bo se tak myśla, jaki by to z ciebie był usmolony sułtan.

* * *

W pewnym hotelu siedzi w poczekalni grupa gości. Wtem wchodzi znajomy ich, znany kobieciarz Pytlik, który ma strasznie zapuchnięte oko.

Zdziwieni znajomi pytają, co mu się w oko stało?

Na to Pytlik:

— Ano mióteł taki niemiły wypadek, jakoś pani źgneła mie szpyndlikiem z kapelusza w uoko.

— Jaktó? pytają znajomi. Tak przez przypadek?

— Nie przez przypadek, ale tylko przez dziurka od klucza.

* * *

— Gdzież ty jedziesz?

— A czy jo wiem! Zapytej sie o to konia.

— No przecież chciołeś jechać w przeciwnym kierunku?

— Chciołech, ale byda sie to wadził z koniem.

* * *

Idzie se kiejś drógą radny (znany niedowiarek). Naroz prze-jedźo obok niego na koniu ksiondz.

— Hej księżozsku, czy to Pon Jezus tyż rajtowoł na koniu?

— Nie, pado ksiondz, na uośle, ale jo musza terazki na koniu, a to skiz tego, że uośłów wybrali terazki na radnych.

* * *

W czasie przedstawienia w naszym teatrze jakoś pokra (uon i uona) zachowujom sie bardzo głośno, to znaczy, że po rzond ze sobom coś uosprowiajom. Jeden panocek, kiery już tego mo dość, pado:

— Może byście państwo już przestali! Nie moga dosłyszeć ani jednego słowa:

— Dzisz go, jaki mi pon! Nie poradzi dosłyszeć ani słowa... A cóż wos to może uobchodzić, co jo se sam z mojom babom uosprowiom, co?

* * *

Jeden masarz chce zakpić z tępoty drugiego i pyta:

— Te, słuchej, jeśli śtyry cielenta wożą 360 funtów, to wiela woży stary byk?

Drugi masarz: — Wlyż pieronie na woga, to ci zarozki powiem genau.

* * *

— Antek, powiedz mi, czamu koń kiej mu padosz „wišta”, skrenco na lewo, a jak mu padosz hetta, to idzie na prawo?

Antek: — A cy jo wiem?

— Widzisz, pieronie, nie gańba cie to! Nigdy bych se nie był myślał, żeś taki mamlas, przeca to każdy koń wiy.

* * *

Do jednego „bergdyrechtor” przyszoł wandrus po fechcie. Pon bergdyrechtor prawie se siedziół ze swojom rodzinom przy fajnym uobiedzie. Wyjon z bajtlika 20 groszy, ciepnoł je wandrusowi i pado:

— Mocie sam jałmużna, ale miarkujcie se, że to jest grube-lactwo, przyłazić dziaduwać, jak chtoś prawie siedzi przy uobiedzie. Tak sie nie robi.

Wandrus podropoł se po łebie i pado:

— Panocku, słuchajom jeny... uoni se mogom być bergdy-rechtozem, ale fechtować to mie pierona nie bydom ucyć.

* * *

— Hanys, a tobie co sie stało? Z czego to mosz tako buła na cole.

— A to mie wcora Gustlik tak gichnół wodom.

- Cego, wodom? Przeca z wody nie dostanie sie takiej buły.
- No ja, widzisz, ale ta woda była we flaszcze.

* * *

— No, coś podobnego, tu jest człowiek, kieremu cołko rodzina uod razu umarła!

— Jakim cudem?

— No, masz tu, czytej uogłoszenie!

„Dzisiok zmarła moja najdroższa żon. Siostra, ciotka, stryjenka, kuzynka, matka, babka i teściowa. W smutku pogrążony mąż”.

* * *

— Widzisz, mój dziubku — pado Gustla do swojego narzyconego, Karlika. — Kiej sie pobieremy, to byda z tobom dzieliła wszystkie twoje smutki i zgorszenia.

— Jo, tam dzięki Bogu ni mom ani smutków, ani zgorzynieo.

— No, dyc jo ci tyż padom, że jak sie pobieremy.

* * *

Nie ma bodej cłowieka, kieremu by życie nie spletało kiejś jakiegoś figla.

Ze tak jest, posłuchajcie:

Przed paru dniami jeden z naszych pocziwych furmanów, co to z grubu uozwozi ludziom wongle, dostał rano na grubie kartka z polecyniem, że mo na ta i ta ulica w Katowicach, zawieźć styrdzieści cetnorów wonglo „würfel” II. Wongiel ten uobsztaluwała pani Habryka Marta. Nasz furmon wonglo nafołowoł i pojechał, kaj mu kozali. Kej przyjechał na miejsce — bieda, bo nie wi, lo kogo to wongle. Nie wiadomo cy nie poradził cytać, cy tyż miano było tak niewyraźnie napisane, zaś pytać kogoś, było go gańba, tóż sztudyruje i sztudyruje i wysztudyrowoł, że jest to zicher fabryka masła — miast Habryka Marta.

Uradowany ze swojej mondrości, furmon pyto sie jakiejś kobiecinki, kiero z tyj chałupy wylazło:

— Słuchajom jeny muterko, cy sam jest fabryka masła?

— Ni — pado muterka — fabryki masła sam ni ma, ale mieszko sam na zadku jakoś handlyrka, co masło sprzedowo...

I rzeczywiście przypadek zrzondził, że handlyrka tam mieszkała i w som roz tyż była uobsztaluwała fura wonglo.

Furmon przekonany, że to istno ta, bo przeca fabryka masła

a handlyrka masła to prawie że jedno i to samo, wziół i bez wszystkiego wongle swalił na droga.

Kiej handlyrka prziszła z targu du dom, widzi, że to nie jeji wongle, boć uona uobsztaluwała jeno dwadzieścia cetnorów a nie styrdzieści. Totyż wonglo do piwnicy nie kosała ściepać.

Wongle leżało se bez cołko noc przed chałupom, ale że to jesień piekno, — wongle sie po lekutku ulotniło — wierza wyschło abo go tyż ludzie uoztrajali, cyli uoznieśli na nożyskach, a mieszkało ich tam w tyj chałupie cołko kupa ! Tóz i nie dziwota.

Dość, że nazajutrz pomyłka sie wyjaśniła, widać pani Habryka Marta musiała reklamować.

Furmana na grubie sprzezywali uod mamlasa i tromby i peć nie peć, musioł pojechać pod f a b r y k a i wongle nazod pozbierać na fura.

Raduwały sie konie, kiere terozki miały znacznie lżyj niż przedtym. Za to nasz furmon klon tysioncami zapieronowanych pieronów, na pierońsko fabryka masła — kiero jest, a kieryj ni ma.

* * *

Kiejś Walek Kopocz wykopoł w „biedaszybie” fura wonglo, zawioz jom do miasta na sprzedaj. Stoł boroczek przed jednym domem, przed drugim, ale jakoś nie mioł szczęście, żoden wonglo nie chcioł kupić.

Ano, myśli se nasz Walek, nie chcom kundmany przyjść do mnie, tóz musza jo iść do kundmanów.

Przecytoł na kamienicy szyld jakiegoś dochtora, wali więc do niego i zwoni. Puścili go do pocekalni, ceko, potym wyloz dochtór i zawołoł go do pokoju uordynacyjnego i mówi:

— No, seblyczcie łachy !

— Panie dochtór... jo...

Ale dochtór, jakiś nerwowiec, nie doł mu przyjść do słowa, jeno skrzecy na Walka, że sie mo seblyc.

Walek pado:

— Ale panie dochtór... jo przeca...

Dochtór jednak nieubłagany, zapieronił no i Walek rod, nie rod, ściongnoł łachy i stanoł nagusieńki przed dochtorem.

Tyn Walka uobklupoł, uobmacoł, kozoł se pokazać pora razy język, kozoł mu kucać, padać, a nie mogonc niejaki choroby zmiarkuwać pado:

— A cóż wam to do sto diobłów brakuje?

Walek pado:

— Adyc' nic panie dochtór, joch im jeno chcioł sprzedać fóra wongło, ale mi nie dali przyjść do słowa...

* * *

W jednej knajpie siedzi se pora kompli, no i popijajom se festelnie.

Jeden z śnich, srogi miglanc, pado do towarzyszów:

— Chłopczy, zgodnijcie, co uostało sam w tej próznej flaszcze? Chto to zgodnie, temu zafunduja jeszcze kwarytka.

Komple zaczynajom zgaduwać. Jeden pado że powietrze, drugi zaś pado kropki gorzoły, trzeci pado że dno, cworty że ściany itd. — ale zgodnyc' żoden nie poradził i pijonc dalij, bez cołki wiecór łomali se głowy.

Wreszcie, kiej sie już mieli wybrać du dom, pytali, co uostało w tyj flaszcze?

Na to pado miglanc:

— Pierony głupie, nie wiecie? Ano uostało miejsce na nowo gorzołka.

* * *

Do szynku prziszoł karlus, siednł sie przy stole i uobsztaluwoł kwarytka. Jak jom wypiół, uobsztaluwoł jeszcze jedna. Idzie potem do bufetu i pado do gastwirta:

— Słuchajom jeno panie szynkierz, czy uoni zapłacili to już ta gorzoła?

— No toć-ech zapłacił, pado gospodorz, toć jak sztaluja to-
wor, to go tyż i musza zapłacić.

Na to pado karlus:

— Widzom panie gastwirt, joch to jeno chcioł wiedzieć, bo jak uoni już ta gorzoła zapłacili, to jo jej nie musza już płacić, bo na co momy jedyn towar dwa razy płacić... no nie?

* * *

Jakiś masorz prziszoł do chłopa kupić świnia. Ponieważ gospodorza nie było w doma uobgodoł cołko sprawa z gospodynion. Kupno doszło do skutku, masorz zgodził sie na żondano cena. Gospodynin jednak świni nie dała, bo padała, że musi jeszcze pogodać z gospodorzem, jak przijedzie z jarmarku i że potym dadzom masarzowi znać, jak sprawa stoi.

Na drugi dzień dostał masorz „postkarta” nastempujoncyj treści:

„Na sprzedaż mojej kobiety po uośimności złotych za żywo woga sie zgodzom. Mogom se po ta świnią jutro przyjechać”.

* * *

— Słuchej Richard, pożycz mi dwadzieścia złotych, bardzo mi som potrzebne.

— Żałuja bardzo, ale nie mom sam pieniendzy.

— No, a w doma?

— W doma? Dzienukuja pięknie, wszyscy som zdrowi.

* * *

Ja, ja, casy sie terozki zmieniły. Dziśiok som wszyscy równi, zodyn nie jest wiencyj uod drugiego. Uoni tyż jeny som tych, coch jo jest, ślimoku diobelski!

* * *

W knajpie siedzi se przy piwku śtyrych kompli i uosprowiajom se uo roztomaitych przigodach, cyganiajonec wlezie. Prawie uosprowiajom uo szportach i uo pływaniu.

Jeden z panocków, kiery jest podróżujoncy, inaczej rajzendrym, pado:

— O, to jeszce nic! Joch uońskiego roku często miał przygoda jechać do Ameryki. I prawie kiej nasz uokrent miał zaś uodjechać nazod, stanył kole mie jakiś młody człowiek i zawołał: „Do widzynia moi państwo!” — i naroz buch do morza. Zlenkli sie wszyscy, chcieli skoczyć na ratunek, ale młodziak zginął w wodzie i tylechmy go widzieli. Kiejchśmy zaś przyjechali do Hamburga i uokrent nasz zatrzymał sie w porcie, naroz wyłazi z wody ów młodziak i pado: „Dzień dobry państwu”. Marcha ta bez caluśko droga płynął se wele uokrentu i zodyn go z nos nie spostrzeg.

Kiej nasz cygon skończył te swoje cygaństwo, naroz przy drugim stoliku zerwał sie jakiś jegomość, uoskłodo ramiona i biere go w objęcia padajonec:

— A niechżyż ich uściskom. Nareszcie mom świadka, kiery to wszystko widzioł. To jo, wiedzom, ech jest ten istny, uo kierym uosprowiali.

* * *

— Szymek! Joch słyszoł, że twoja cera mo sie wydać za tego ślimoka Szurgoła. Chca ci jeno po przyjocielsku pedzieć, że to

chachor i że już siedział pieńć miesieny w hereście.

— Cego, pieńć? Widzisz, jaki to gizd i jak mie to uocyganiół.
Mie padoł, że jeny siedzioł trzi!

* * *

— Pani Radczyni wróciła z badów do domu. Uradowany mężulek pyta:

— Powiedz Kociu, czy byłaś mi tyż wierna?

Na to żonka:

— Tak samo, jak ty mie!

— Taak? No, moja droga, już ty mi do badów nie pojedziesz!

* * *

— Gustlik, co to znaczy, że moje nowe kamasze tak skrzypiom.

— Boś ich pewno nie zapłacił!

— E, nie berej głupstw. Joch moich galot tyż jeszcze nie zapłacił, a nie skrzypiom!

* * *

Pewien handlarz bydlęm wysyła żonie swojej z podróży taką depeszę:

„Ponieważ pociąg wołów nie zabiera, przyjadę dopiero rano”.

* * *

Kandydat na żeniaczkę do pośrednika małżeństw:

— Ależ słuchajom jeny, przeca jo sie z tom kobietom, co jom rajom, nie moga żenić. Przeca uona mo jedna noga krótszo.

Ale słuchajom ino — pado pośrednik — co to uoni przy tym uszporujom! Przeca może sie zdarzyć, że i z koźdom inkszom dziouchom może być to samo. Wleci pod „śtrasbanka” abo auto, cōż potym bydom mieć z tego, ino koszta na dochtora, lazaryt i aptykorza. A sam już majom wszystko gotowe!

Na muzyce w karcmie przyszło uo dzioucha do bijatyki. Pietrek doł w pysk Francikowi, zaś Francik piznoł Pietrka w sznupacka, po czym uobaj wnieśni skarga do sondu o uobraza i uszkodzynie cielesne. Pietrek na rozprawie pado, że Francika ani dotknył, jeno Francik jego maznoł, zaś Francik pado, że uon broń Boże Pietrka nie rusył, a Pietrek uonymu podbiół ślypie. — Nie było rady, syńdzia musioł przystompić do przesłuchanio świadków.

Pierszy świadek, podany przez Pietrka, Gustlik Drzystoń, nieco głuchy, podaje, że jest żyniaty, katolik i mo troje dzieci.

— Cworo! Uon cygani — przerwał oskarżony Francik, sądząc, że musi wszystkiemu przeczyć, co powie świadek, podany przez przeciwnika. —

— Jakto szcworo? Przeca troje: Hanys, Wiluś i Barbórka.

— A Maryjka

— Ta już wydano, to sie nie rachuje!

— Zatem ojciec czworga dzieci — dyktuje do protokołu sędzia.

— Czem się trudnicie? — No, jako macie profesyjo?

— Sekundant.

— Co? Co? Jaki sekundant?

— No dyć im zaś padom, sekundant jak zwyczajnie.

— Skrzypkorz, panie syńdzio, wiedzom — wtrąca Francik.

— Ni żodyn skrzypkorz ino sekundant — broni sie Drzystoń
— skrzypkorz no prym, a jo sekundo.

— No, no, więc muzykant. Ile lat macie?

— A bo jo to wiem.

— To któż ma wiedzieć? Mniej więcej dwadzieścia, osiemdziesiąt?

— E, zarozki, zaś tam uosiemdziesiont, bydzie można kiele pieńćdziesiont.

— Nie jesteście krewni Pietrka ani Francika?

— A jezech ta przyjociel, ale daleki.

— Jakiż to? Cóż on do was za krewny?

— Matka Pietrka i uoćec Francika, to se ta przychodzili jako chmotrowie, a mój ujek, to wieżom, był szwagier uod brata kobiety Pietrkowego uojca.

— Zeznajcie szczerą prawdę, jak to było na tej muzyce, kiedy się Pietrek z Francikiem powadzili.

— To było tak: Podchodzi ku mnie Hanys i pado: — Drzystoń, wiela to chcecie za uobegranie panny młodyj i za granie na weselu? A jo padom: — wiela bydzie ludzi? Bo trza im wie-dzieć panie syńdzio, że jak za tyła ludzi na weselu, to tyż i tyła półzłotków do mycki ciepłom.

— Krótko, mój człowieku, powiedzcie mi o tym, jak się pobili.

— Zarozinki, panie sondco. A wtym przylazuje chmoter i pa-do: — dobry dzień chmotrze, a jo mu tyż padom dobry dzień chmotrze...

— Gadajcie o bitce, a nie o kumotrze. To do rzeczy nie na-leży!

— Razym, panie syńdzio, Jak-ech mu pedzioł dobry dzień ku...

— Krótko węzłowato gadajcie, czyście widzieli bitkę, czy nie?

— A dyć zarozinki, panie syńdzio. Wtedy chmoter pado: — Jutro Hanysowe wesele. A jo mu padom: — a toli wiem, że jutro wesele, a Michoł z Antkiem za družbów.

— Nie Antek, jeno Richard był družbom — przerwoł Francik.

— Chmoter padali, że bydzie Antek. Jo godom po prowdzie, bo przed sondym, to trza jak na spowiedzi.

— Tak jest! — przerwoł zniecierpliwiony sędzia — gadajcie więc prawdę, jak się bili.

— Zarozicko, panie syńdzio. A no to, jak my tak z chmotrem rzońdzili, przyszoł Ignac, tyn, co to uońskiego roku kupioł kobyła uod Francika...

— Gadajcie do milion diabłów, czyście widzieli bitkę, czy nie?

— A toć-ech widzioł, zarozki im to uopowiem, panie syńdzio.

— Ten Ignac przywitoł sie po katolicku z nami...

— Dajcież do kroćset pokój z tymi Francikami i Ignacami, a gadajcie o bitce. Graliście na weselu?

— Sekundowotech, panie syńdzio.

— No dobrze. Któż i o co zaczął bijatykę? Czy Pietrek uderzył Francika? A Francik czy uderzył Pietrka?

— Zarożicki, panie syńdzio. To tak było: mychmy siedzieli kole żeleźnioka, wiedzom, tak jak kiejby sam, kaj stoi Pietrek — a szynkas był sam, kaj Francik stoi. Jak sie goście poceni schodzić, pado karcmorz: ponknijcie sie na lewo...

— To nie ma nic do sprawy! Gadajcie krótko, jak było z tą bijatyką!

— A dyc już chnet powiem, panie syńdzio. Mychmy sie ponkli na lewo.

— Nie prowda, bo na prawo! — przerywo Francik.

— Na lewo, niech Pietrek poświadczy.

— Na prawo! — wrzeszczy Francik.

— Cicho! — krzyknął sędzia zirytowany i chwytając świadka za rękaw, krzyknął mu w ucho:

— Gadajcie, trąbo stary, krótko i węzłowato, kto kogo bił, a nie coście gadali i robili, to mnie nic nie obchodzi. Gadajcie w dwóch słowach, kto kogo bił, rozumiecie, krótko, krótko!

Drzystoć namyślił się i rzekł:

— Piznył w pysk, dostał w pysk! — Jak krótko, to krótko!

B a b s k o k u r a c y j o

Z mojem nojlepszym przocielem Zalewajom wiecie, coroz to gorzyj i choroba wi — cy nie bydzie jeszcze gorzej. Przeszło tydzień leży już borocek, stenko i kwienko, a umrzeć jakoś ani rusz. A szkoda — bo jakby sie tak miał tropić jeszcze aby jedyn tydzień, to przeca lepij by zrobiół, jakby uod razu uodwalił. No nie?

Poszołech po dochtora, kiery prziloz i wymacoł w chorym uokrutno choroba, kiero sie po łacińsku „gripa” nazywo, a kiero już trzy śćwierci uobywateli naszego stołecznego miasta na stróžaki¹ wtrzasnyła.

Zalewała, kiej mu to dochtór pedzioł, co mo, ani sie skrzywiół, ino sie uobrocił gezichem² do ściany i smolół na wszystko.

Mie to jednak mierzało, bo być do kupy z przocielem na kwatyrze, kiery mo tako przejęnto choroba, a do tego nie mo waluty, to nie jest tak einfach³!

¹ sienniki ² twarzą ³ takie proste

Tóż mu też padom po dobroci:

„A cóż se ty mazoku diobli myślisz? Uwalółeś sie do „klay¹”, kożesz sie pielegnować, jakbyś był bergdyrechtem abo posłem. Tak przeca dalej nie może być. Abo braciszku uodwoł kita abo wstowej z bebechów i już”.

Nic mi na to borok nie pedzioł, alech poznoł po jego poczciewej minie, żeby mi nojlepiej był napluł do uoców, kieby poradzioł głowa dźwignąć ze zoglówka.

Ale we cwortek rano, jakiech sie podziwoł na przociela, toch sie aże złęknoł.

Leżoł se boroczek, żółty jak trikotowo koszula, nos mu sie zrobioł śpicaty, wargi i uszy zbiełały i przypominoł fajnistego nieboszczyka — kiery już bez rok leży w zimnym dole. Nie wiem, co mi się farona zrobiło, alech pocuł, że mi sie serce zacyno topić z markotności, a ze ślypi sie coś mokrego kulo po papli.

Padom se: mój Boże! Nie mom na świecie ani uojca, ani matki, ani żodnej bogatej ciotki a jeny tego jedynego przijociela, a ten mie też chce uopuścić. Ni, to tak być nie może! uon musi żyć, choćby lo mnie samego.

Tózech też podszedł ku niemu, pogłoskołech go po gembie i padom:

„Hanys, ślimoku ty! Nie bydź przeca świniorzem i nie uciekej uode mnie. No, uśmiechnij żyś sie, zdechloku. Co, nic nie padosz? Gorszysz sie na mnie? Aboś wierza głodny, co? Może spuścisz „harynka²” — no fajny... zaprawiany, co? A może kęs „wusztu” ze „zymftem”, co? A gorzołki napijesz sie... no toć... jeszcze by nie!”

Hanys jeno głową pokiwoł, że ni, i ani sie słówkiem do mnie uodezwoł.

O pierona — padom se — jak ty braciszku już gorzołki nie chcesz, to już z tobą ferbaj!

Zacynech lotać po izbie jak głupi i rwać se z łeba szkuciny, ale mi w tym przerwoł dochtór, kiery był włoż, uobklupoł zaś chorego, podziwoł sie na niego bardzo wesoło, mnie zaś pedzioł smutno:

¹ do wyra, łózka

² śledzia

— Źle jest z waszym przocielem, bardzo źle. Jeny jakiś cud go może wyretować z ręcyśków śmierci.

Zapisoł jakieś papry i poszoł, a we mnie sie żoł zacon buntować. Co sam teraz robić? Kaj tu ratunku szukać?

Chyciłem recept, zawarech dźwierze i poleciołem do japytyki po lekarstwo.

Po dródze trefiłem Gracyno, naszo somsiodka, kiero mieszko na drugiej stronie.

— No jakóż tam, panie Bernat, co tam słychać z jeich przocielem Hanysem?

— O źle — padom — frau Graca. Dochtór pedzioł, iż ino jakiś cud go może wyretować!

— E, pierdoły! — Co tam wiedzom dochtory, psinco! Mój stary ledwo zipoł, taki był chory, a jakech sie do niego zabrała, zarozki wydobrzeł. Jo tam zarozki do wos przida i uoboca, co sie tam jeszcze z śniego do zrobić!

I przyszła, mój Boże, ale nie sama, przyszło z śniom całe babskie konsilium: prziszła Kokotka i prziszła Gruchlicka.

Wszystkie baby podziwały sie na Hanyś, potem se wszystkie pouisały na boku, a jeny Gracyno siednyła se przy łóżku i zacyna chorego wypytywać:

— Głowa ich boli?

— Boli — uodpedzioł cicho Hanyś.

— A w gordzielu ich boli?

— Boli.

— A pod łopatkoma żgo ich?

— Źgo.

— A jeść mogom to?

— Ni.

— A godać poradzom?

— Ni.

— Wyplyniom no język.

Hanyś pokozoł język, kiery bół blank bioły.

— To jest influrencia! — wyrokuje Gracyno — a ni żodno tam usmolono „gripa”. Muszom sie mój synecku festelnie wypocić, a zarozicki wszystko bydzie dobrze.

Uona się cofnyła, a na jej miejsce siednyła se Kokotka i pado:

- Cy głowa ich boli?
- Boli.
- A gordziel boli?
- Boli.
- A pod łopatkoma żgo ich?
- Żgo.
- Jeść nie mogom?
- Ni.
- A godać poradzom?
- Ni.
- A na wielki dwór mogom to?
- Ni.

— Ja, ja, to jest richtig influrenca! — pado frau Kokot i cofając się uodstąpiła miejsce Gruchlicce, kiero siednyła se przy Hanysie i pado:

- Żgo ich to Hanysku?
- Żgo.
- A głowa ich boli?
- Boli.
- A w gordzielu boli?
- Boli.
- A morziska nie majom?
- Ni.
- A jeść mogom to?
- Ni.
- A godać poradzom?
- Ni.

— Ja, ja, sprawiedliwie, to sicher jest influrencyjo! Nie ma co wela godać, ino fest trza dać na poty i fertig.

Poszmerały cosik baby między sobom, zawinyły rękowy i nuż sie bierom do roboty. Gracyno uospoliła w żeleźnioku. Kokotka prziniosła blank nowo cegła, a Gruchlicka bez ten cos uogłądała jakoś bardzo genau Hanysowe strzewiki, kiere stoły kole łózka.

- A co frau Gruchlik myślom, bydzio to co z Hanysa?
- No toć-że bydzie! Jak my sie we trzi do niego zabieremy,

to mu tam umrzeć nie domy, ażę ni !

— Oj, frau Gruchlik, niechżyż im to pon Bócek wynagrodzi... tak mi jest, jakby mi kamień sjeni ze serca. Nie wiem, doprowdy jak im mom dziękować.

— No dobrze, dobrze, nie majom tam co dziękować, pado mi baba do ucha. Ale jakby tak nie dej Boże jeich kamrat umar, to niech nie zapomniom, a dajom mi jego strzewiki. Wzienabych je dlo mojego starego, bo uon borok już bez zolów łązi.

Jak mi to baba pedziała, toch jom chcioł ślypiami przebodność, ale uona tego nře widziała, bo uogładała galoty chorego, kiere wisiały na łóžku.

Terozki wlaźła do izby cworto baba, Pytlicka. Przilazła ku choremu, podziwiała sie i naroz załomała ręcyśka:

— Maryjko święto ! — jęknęła.

— Co sie to z cłowieka może bez tydzień zrobić ! Dziepiero na święta był taki wesoły i zdrowy, a teraz leży jakby na marach. Oho, borocku, nie bydzie z ciebie nic, ażę nie bydzie.

— Widzieliście grundeloka ! — krzyknęła Gracyno. — Při konającym godo uo takich rzeczach. Adyć, żeby ci pysk spuch uod ucha do ucha, uoszkubku jedyn !

Chciała uodsztuchnąć babsko uod łóžka, ale ta ani myślała uodejść. Schyliła sie nad chorym i pyto:

— Cy boli ich głowa ?

— Chory wytrzyścół uocy szyroko i ryknół z cółkiej siły:

— Łeb mie boli, gordziel boli, żgo mnie, jeść nie moga, godać nie moga, morziska ni mom, i nie pytej carownico uo nic, bo jak cie ździela, to cie wszyjsy diobli weznom !

Stęknół, uobrócił sie do ściany, a Pytlicka wściekło, splunęła na ziemia:

— A żeby cie pokręciło, chacharze ! To cłowiek sie lituje nad nim, chce mu pomóc, a taki podciep sprzeżywo cie i uodsyło cie do diobłów. — A dyć umierej se som... ślimoku jedyn ! I strzełiła dźwierzami.

Po uodejściu Pytlicki zacyna sie babsko kuracyjo... Przdzi Gracyno do kupy z Kokotkiem uowinyły Hanysowi brzuch zimnym „umszlagiem” (czyli kompresem), uowinyły mu też głowa jakimś chadrom, a dziepiero potym wraziła mu Gruchlicka gorko cegła,

uowinięto mokrom szmatom, pod nogi. Chory wrzasknął przeraźliwie i chciał się wydostać z ręczyków tych trzech bob, ale nie stykło mu siły.

— Parzy ich? — pyto sie Gracyno.

— Oj parzy! parzy! — jęcoł chory. — Weźcie ta cegła, bo umrze!

Jęcoł tak żałośliwie, że mi sie aż coś robiło. Doskoczył do łózka i chciołech wytrząść to ceglisko, aleć babska na mnie uozdarły gemby:

— Cisnom-żyz — mazoku diosecki, bo mogom co uoberwać. Dzisz go, rajca miłosierny! Trzimo boroka chorego już bez cołki tydzień i dowo mu sie męczyć! My tam wiemy, co robić. Cofnąć sie, bobyście mógli co nachytać.

Cóż było robić, cofnyłech sie, boch se padoł, a może mu prawie baby pomogom.

Za chwilecka dziwom sie na chorego boroka i widza, że blade jego skóra robi sie czerwiono, a na czoło wylażom srogie krople potu.

— Zarozki mu bydzie lepiej! — pado Gracyno.

— O, dziwejcie sie, jak sie to nieboroczek już fajnie spociół — pado Kokotka.

— Jesce tak ze świerć godziny musi wytrzymać, pado Gruchlicka, a dziepiero potym uobocymy, co bydzie dalej.

Ale tej świerć godziny borok Hanys nie wytrzymoł. Zbladnoł zaś, a głowa zwisnyła mu bez cucio ku ziemi.

— Zemdlół! — pado Gracyno.

— Ja, ja, richtig zemdlół, potwierdziła Kokotka. — Gruchlicko, moiściewy, przynieście ino wasze srogie koryto uod pranio! Poleciała wartko Gruchlicka i przyprycyła srogachne koryto i cekała, co ji dalej uozkożom. Chory Hanysek leżoł zemdlony i chociaż go babska szarpały i sam i tam i z śniem roztomaicie wyrobiały, na koniec gichnyły na niego cołki kibel wody, jakoś nie przychodził do siebie. Gracyno jednak miała głowa na karku, wartko uozpostarła deka na dylinach i do kupy z Gruchlickom położyły zemdlonego na nia. Potym przewróciły na niego koryto, zaś Kokotka prziniosła jakiś srogachny tuczek (kierym sie tucze lo świni kartofle) i nuże tym tuczkiem prać we koryto. Zdowało sie, że chtoś z „kanony” strzyło — takie wom to zrobiło larmo. Ale pomogło, bo naroz

uodezwały się spod koryta jęki. Wtedy wórn babska wyciągnęły chorego spod koryta, położyły go zaś na łóżku i przykryły go wszystkim, co było w izbie.

— Bydzie żył! — zawołała Gracyno. — Terozki, jak się jeszcze roz spoci, to go zarozicki choróbsko popuści!

Pousiadały się te miliońskie dochtórki przy łóżku, a joch stoł bezzradny i czekał, kiej się to ta babsko kuracyjo skończy.

— Bernat! — zawołał naroz chory. — Dej mi ździebko wody!

— Razym Hanysku, razym! Ale zanimech polecioł z gorciem nabrać w stągwi wody, a sam już Gracyno, przitknyła mu do gemby skłonka z wodom, kierom chory pragliwie występoł. Kiej wypił wszystko do dna i się małowiela pokrzepioł, naroz Gracyno wrzesknyła przeraźliwie:

— Maryjko święto!

— Co się stało? — padom.

— A bestyjo! — wrzasknęła Gracyno. Ten jancykryst! Aby cie ślimoku porwało! A dyć mnie ta marcha uzarła w palec.

— Niech się gizd diobli som kuruje, jak je taki fałszywy! Chyciła za chustka i ino roz praskła dźwierzami.

— Kokotka i Gruchlicka uostały i zdowało mi się, że som ra-de, że się Gracyno poszła. Ale radość ich nie trwała długo, bo kiej Kokotka chciała pomagać chorego Hanysa po piętach — ten dźwignął uobie nogi i świtnył dochtórka, że uodleciała aż pod ściana.

— Ażeby cie pokręciło, ślimoku! — wrzasknyła i tyż uciekła.

Uostała jeno Gruchlicka, kiero widać musiała mieć cyste sumienie, bo nie uciekła, jeny po rząd przigłądała się na strzewiki Hanysa.

Żoł ji było Hanysa, ale jeszcze więcej żoł ji było jego strzewików. Czekala jeszcze coś ze dwie godziny, ale kiej widziała, że chory nie umierze, pożegnała go serdecnie.

— No, z Pon Boczkiem Hanysku — pado — chowiom się dobrze — potym się uobróciła ku mnie: Słuchajom Bernatku, jakby się to chory jeszcze uozwożył i umar, to uostawiom mi te jego strzewiki lo mojego starego.

Hanys sie jednak, po tak farnońskiej babskiej kuracyi namyślił inaczej i wyzdrowiał, z czego sie jo — a myślą, że i wy moi kochani czytelnicy — radujecie.

O p o w i a s t k a w i g i l i j n a

W cichy wiecór wilijny siedziół se jakiś karlus, som i uopuszczony przy stoliku w knajpie „Pod żelaznym koniem”. Nazywoł sie Markotny, a był... zresztom wszystko jedno cym był. Dziśiok jakoś był zły i uozłolony. Nikt z jego codziennych kamratów nie prziszoł do knajpy, musioł som sępać piwsko, kiere mu jakoś nie podłaziło.

To tyż przeżywoł na ta cołko wilijo i wszystkie święta.

Naroz zjawił sie kole niego Anioł. Był uoblecony w biało, długo szata, kiero cuć było piernikoma. Anioł schylił sie nad Markotnym i dotknął rękóm jego ramienia.

Markotny sie uobejrzoł, a ujrzawszy Anioła pedziół grube-lacko:

— A idom se idom, jo ta nic nie kupia.

Zdowało mu sie, że ten Anioł, to jakisik handlyrz, cy tyż domokrażca, a to skiż tego, że trzimoł w gorści malutki goicek, cyli jak sam tyż padajom „kristbaum”.

Po chwili zaś Anioł dotknął karlusa i rzekł:

— Markotny, wstoń i pódź se mnom!

Ale sam Markotny już fest uozgorszony, pado:

— A cóżeś to, pierzinie, za jedyn? Cóż to chcesz uode mnie, aże co?

Na to uopedziół Anioł:

— Jesteś twoim Aniołem, przyszedech cię napomnieć, aże byś szoł do dom, a nie siedziół samotny w knajpie i sępoł w ten święty wieczór, kaj radość wszystkiemu stworzyniu.

I prawił ów Anioł więcej, słowa pełne dobroci i słodyczy, aż Markotny wdzioł czopka i wyszoł z Aniołem z knajpy na ulica.

Kiej byli na dworze, Markotny sie zatrzymał:

— Ale pedzom mi jeny, co jo tam byda w doma robiół?

Na to Anioł:

— Mosz pójść do swoich i sie do kupy z śniami radować i dosz im sam ta choinka na znak weselo i pokoju.

I Markotny z Aniołem zaś ruszyli w droga. Wieczór był ci-chy, piękny i uroczysty. Płatki śniegu leciały z nieba i niepokala-nom białością okrywały ziemia.

— Dziwej się, czy to nie cudowne, czy to nie piękne?... — pado Anioł.

— Toć piękne, wiela to zaś marasu z tego bydzie... — uod-pedzioł Markotny i żoł mu sie zrobiło, że nie uostoł w karczmie, a doł sie Aniołowi namówić. Byłby se jeszcze pora „zajdli” wychy-lił, jako że dziepiero terazki uodcuł prowadziwe pragnienie.

Uozmyślając tak, zaś sie zatrzymał. Ale sam go zaś Anioł pociągnął za ręcyisko i padoł:

— Dzisiok każdy człowiek siedzi w doma. Jeny ty nie chcesz być do kupy ze swojom rodzinom. Nie gańba cie to, co?

— Przebocom, cy uoni znajom moja kobieta?... — pyto Markotny.

— Toć znom! — pado Anioł.

— A moja „świgermutra” znajom?

— Toć znom, przecach jo wasz Anioł, kierego wom Pon Bóg * przeznaczył na uopiekuna.

— Ja! Tóż to uoni som mój Anioł Stróż?

— No toć. Joch twój Anioł Stróż!

— Tóż suchajom jeny... padom im to po dobroci... ciągnom se uode mnie, ale za dobrej pogody!... Tóż to uoni mój Anioł Stróż i dali mi sie uożynić? — pado Markotny. — A dyc siandara byłby mi stokroć milszy, niżli taki Anioł bez serca!

— Jo wiem, człowieku — pado Anioł — żeś nie jest szczęśliwy. Ale to też dzisiok chca sprawić zgoda pomiędzy tobom i twojom ko-bietom. Pódz wartko!

I Markotny doł sie jak baranek wieźć dalej uod Anioła. Uod czasu do czasu musioł go jednak Aniołek porządnie sztuchać i ciągnąć, bo Markotny, czym się barzij zbliżoł ku chałupie, jakosik więcej tracił chęć do tej zapowiedzianej zgody...

Kiej tak przechodzili bez ulice miasteczka, pokazywoł Anioł Markotnymu uoświetlone uokna, bez kiere widać było świecone boże drzewka i uroczysty śpiew radosnych kolend.

— Widzisz, mój kochany, jak szczęśliwi som dzisiok ludzie. Kiedy już byli blisko domostwa Markotnego, pado Anioł pełen dobroci:

— Widzisz, toć jo byłech na waszym weselu.

— Ja ? no i cóż ?...

— Twoja młodo oblubienica tako wtedy była piekno w tym wionieczku na biołem czole...

— Ja piekno, no i cóż dalej?

— Liczka takie miała szumne, jak jabłuszka. A jak wstydliwie spuszczała ślypka, kiej ci przy uołtorzu przysięgała wieczno miłość — pado Anioł.

Na to Markotny:

— Słuchajom, przestanom już berać i radza im po dobroci, pódźmy nazod, skądeśmy przyšli, wypijemy se do kupy po jednym i bydzie nom tyż dobrze, niech im sie nie zachciewo błoznów.

— Jak mozesz być takim zatwardziałem — uodpowiada Anioł.

— Przeca pamiętom, jakieś jom wtencos nazywoł... szczęściem swojem, dziubeckiem jedynym, no czy nie było tak ?

— A może i było...

— Padołeś, że sie miłość twoja ku niej nie skończy nigdy !

— Cego, joch to pedzioł ?...

— Tak, tak mój drogi... padołeś i widzisz, to samo dzisiok znów musi między was powrócić... W ten święty, cichy wieczór wigilijny otwierajom się wszystkie serca i ludzie odnajdujom się zaś w miłości i dobroci.

Markotny milczał i włókł coraz ciężej swoje nogi. Po chwili z pewną nieśmiałością pyta Anioła:

— Przebocom, cy Anieli znajom tyż przyszłość człowieka ?

— Poniekąd znamy, więcej nam bowiem Bóg dał mocy, aniżeli wam grzesznym na ziemi.

— Tóż przebocom i bydom tacy dobrzy i pedzom mi, jako jest ta moja przyszłość ?...

— Widzę cię — powiada Anioł — siedzącego w pokoju między swoimi. Boże drzewko świeci się, przystrojone na stole. Oczy twoje pełne dobroci patrzą w światło, a potem pełne wesela na rozradowaną żonę, siedzącą obok ciebie na kanapie...

— Maryjo !... To wszystko widzom ?... — pado Markotny.

— Wszystko ! I to tak dokładnie, jak ty widzisz wszystko naokoło, czego się możesz dotknąć rękami... Widzę, jak jom uobejmujesz ręką, ona tuli ci głowę na piersi, a ty ją zaś nazywosz swoim szczęściem i swoim dziubkiem jedynym...

— Tóż to nie jest znochwione ? — pado Markotny.

— Nie, to szczyro prowda ! — uodpowiada Anioł...

Tak rozprawiając, przysli przed mieszkanie Markotnego. Na pierwszym sztoku świeci się w uoknie.

— Widzisz, mój kochany, uona czeko na nos — pado Anioł i chcił za zwonek.

— Jeckusie... dajom pokój... nie zwoniom — szepcze pełen trwogi Markotny.

— Czamu to nie ? — pyta pełen radości Anioł.

— Jo im radza, nie zwoniom... a pódźmy lepiej nazod, skądchmy przysli !

— Nie, strapiiony mój człowieku, dzisiok musisz zaś uodzyskać swoje szczęście.

I Anioł chcił ponownie za dzwonek i pociągnął zań z całych sił.

Chwila ciszy, potem słyhać uotwieranie uokna i jakiś głos kobiety woło:

— Wto tam ?

— To jo, Anioł waszego domu, przywodzi ci twojego chłopą.

— Dockajom chwilka — pado ten sam głos.

Markotny chciol sie Aniołowi wyrwać, ale Anioł trzymol go fest, nie puścił.

— Raduj sie, człowieku — pado — przeżyjesz zaś jak downiej szczęśliwy wieczór... — i zaczon cichutko nucić:

„Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi...”

Wstańcie pasterze...”

Ale nie skończył, bo gwołtem uozdarły się dźwierze i jakoś mokro hadra chlapnyła mu między uocy, potym zaś pocuł jakoś twardo miotła na plecach i głowie i głos pełen piekielnego jadu:

— Mosz, ty ślimoku diobelski... a mosz, ty chacharze uoskliwy, kolenda...

I kibel jakisich pomyji cy cegoś gichnył na głowa Markotnego i jego biednego, przerażonego Anioła.

Wiemy już z doświadczynio, że każdo wojna czy uona jest srogo, czy tyż mało, zwyczajno czy totalno — wdycki wszystko na świecie poprzewroco do góry nogoma. Nojwięcej to ucierpią dwunożne stworzynia, zwane inaczej ludziami. No ja, bo to, co było dotąd na spodku, wyłazi se na wierch, zaś to, co było na wierchu, spycho sie wszelkimi siłami na sóm spodek...

To, że następuje wszystkiego i wszystkich równanie w dół — to jest srogie cygaństwo. Po prowdzie jest tak, że malućcy i chudzi przemienili się w wielkich i spaśnych, zaś ubodzy duchem przerobili się w mądrych i niedostępnych. Rozmaite mamlasy i drapichrusty spod ciemnej gwiazdy — sprytym i tupetym powłaziły na rozmaite urzędowe stolce, swoja skóra se przed tym poprzewrocali na drugo abo trzecio strona no i pomalowuwali ją to abo na czerwiono, zielono, corno abo modro — jak tam akurat tymu istnemu było potrza. Dzisiok spaśnymi zadkami wygniatajom skórzanne „klubzesle”, jeżdżom w miękkich limuzynach, bierom „funty” na kila, no i, jak to padajom, bez kija abo tyż waseliny do nich nie przystępuj.

Kożdy z takich mo naturalnie swojo uosobisto „sekre-ciorka” abo pieleśniorka — no, bo roboty to taki boroczek mo wdycki tela, że se rady dać nie może. Jakby tak, nie daj Boże, ustół — wszystko by sie zawaliło, świat cały przeca spoczywo na jego tzw. głowie.

Wiele roboty przysporzo mu tyż tzw. wygląd zewnętrzny. No dyć, musi przeca dbać uo dobro prezencyjo... Uon przeca reprezentuje państwo... Wie uo tym, to tyż po całych dniach myśli, jakie by se jutro uoblyc galoty, jako wdzioć koszula i jaki se zawiązać krawat. Zawsze wysztajfirowany i wypomadowany, siana prawie nigdy u niego nie pocujesz i nigdy nie wiesz, czy taki pieron to dygnitorz abo tyż jaki inkszy masorz.

Jedynie jeśli taki niekiedy uotworzy gęba, wtedy dziepiero zmiarkujesz, jaki to ten istny arystokrata, a jeszcze więcej, jeżeli przytrefi sie, że siedniesz z takim w fajnym towarzystwie, to z zachowaniem jego zaroz sie przekonosz, z jakiego to jegomość ten placu.

Otóż tym nowym arystokratom ta moja nauka geltuje, kierom niech sobie dobrze zmiarkujom. — Ci zaś, kierych mamulka ucyli,

jak sie zachowywać między ludźmi według starej, dobrej recepty, niech jom sobie zatrzymajom, bowiem nic lepszego dotąd świat jeszcze nie wymyślił i pewnie nie wymyśli.

Wiadomo, jak uokrutnie ciężko przychodzi, zachować się w „fajnym” towarzystwie, przy „fajnym” stole, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, nie narazić się na pośmiewisko i miano festelnego „soronia”. Ażeby to uniknąć i zdobyć sobie podziw i uznanie „fajnego” i dobrze wychowanego, trzymać się trza następującej recepty:

Jak wstaniesz z łóżka, zarozki sie umyj i to możliwie z mydłem, wszystko jedno jakim, ale mydłem. — Są tacy, kierzci twierdzom, że mydło psuje skóra i wołom sie posikać jakomś tam woniącom wodom. — Ci robiom stanowco źle. Bowiem takiego zarozki w towarzystwie porządnym pocujom, a myśleć bydom ludzie, że jest pomiędzy nimi kozioł abo inksze woniące stworzonko. — Nie zapomnij nigdy umyć se karku i uszów.

Pazurów nie uobgryzej, bo mosz do tego nożycki. Żałoby za pazurami nigdy nie noś, bo to niehigienicznie i pobudzo do drwin.

Buty se koż uopucować, abo je som uopucuj, bo to toniej. Uoblecynie se tyż szczotkom wycyść, — bowiem chcąc być fajnym, nie śmiesz mieć na niem fleków i klabustrów z gulaszu, moczki albo likieru.

Koszula zawsze miej cysto, zaś jak uoblecesz corny szakiet abo smoking, to nie bier „buntej¹” koszule, ale lepiej bioło cysto „foremetla²”. Ino dej pozór, żebyś jom se dobrze przypion, aby ci potym z lewej abo prawej strony nie wyłaziła trykotowo koszula, co nie jest fajne.

Kraglik (kołnierzyk) se przedtem mokrom szmatkom umyj, żeby zawsze wyglądał bioły i cysty jak śnieg.

Nie zapomnij też o „sznuptychli”, bowiem siąkanie nosa w pazury nie może być przyjęte w żodnym „fajnym” towarzystwie.

Jeśli cie kiedy zaproszom na śniodanie, uobiod abo wieczro do jakiegoś porządnego domu, to zmiarkuj se następujące reguły:

Nim wleziesz do „fajnej” izby, przekonej sie, jakie mosz strzewiki i cyś przypadkiem na drodze nie wloz do cegoś, cym byś

¹ kolorowej ² półkoszulek

zbabroł „tepichy”¹. Gdybyś bowiem o tym zapomniot, jestem przekonany, żeby cie do tego domu nie zaprosili, co by było bolesne i nieprzyjemne, zwłaszcza jeśli w tym domu dobrze dajom pojeść i popić.

Jeżeliś sie więc przekonot, żeś w porządku i uobejrzoł sie uod stóp do głowy, to możesz zwonić, ale po lekutku, żeby zaś nie padali, że sie już żarcio nie możesz docekać.

Jak ci służąco uotworzy dźwierze, wleż i pozdrów pieknie. Służącej sie nie dotykaj (chyba że młodo i gryfno, no i zoden tego nie widzi).

W „antreju” (przedpokoju) sebylc se łachy, ale ino wierchnie, to jest mantel (żebyś potem nie myśłoł sebylc galot).

W salonie zastaniesz już gości, kierzy siedzom i jeno uo tym jednym myślą: kiedy to już dadzą pożyć! Głośno tego jednak zoden nie pado i ty tego broń Boże nie rób. Po jakimś czasie możesz se tak szpasobliwie pedzieć, żeś nie prziszot lo przyjemności a ino dlo jedzenio. Tego ci widzisz za złe nie weznom, a pedzom, żeś dowcipny i mosz humor!

Jakieś srogi, ciężki i szeroki w zadku, nie siadej, bo może sie zdarzyć, że złomiesz stołek abo „zofa” (kanapa). — Toć pani domu w takich wypodkach zwykle pado: „A to nic nie szkodzi”, ale po cichu se pado: „Żebyś puk jak krupniok!” Jo wiem, że tak jest, bo mi sie to już zdarzyło. Nojlępiej oprzyj sie szykownie uo ściana (choćaż w nowym budynku tyż tego nie rób, bo ściana mogłaby sie zawalić).

We „fajnych” towarzystwach przy stole posadzom cie wdycki kole jakiej kobietki abo „frelu”. Pamiętaj, że to lo ciebie świętość! Obowiązkiem twoim jest bawić jom i nie myśleć jeno uo tym, żeby twój talerz zawsze był kupowaty. Nie, musisz też troszka myśleć uo niej!

Jak jej bydziesz uosprawioł wice i kawały, kieroś słyszot i se zmiarkowot uod „Karlika z Kocyndra”, to z nojśmieszniejszym końcem cekej, aż łyknie to, co wraziła do gęby, inacej mogłaby sie udłowić, a taki wypodek udłowienio przy stole wdycki jest nieprzyjemny i nieprzystojny, bo psuje humor i apetyt.

Jeśli somsiadka twoja jest młodo i „gryfno” to sie bardzo zaleco

¹ dywany

² panny

— trzymać ręcyśka zawsze na stole, a to skiż tego, żeby sie nie narazić na klachy i uobmowy.

Żeby ci przypodkiem, kochany cytelniku nie przyszło do łeba, połechtać swoja somsiadka przy stole. Naraziłbyś jom, żeby wrzescała, a ty byś miał potym gańba! — Połechtać ją możesz, ale jak bydziecie sami, — wtedy i uona skrzecć i kwiceć nie bydzie.

Jeśli na półmisku jeszcze jest jakiś konsek, to podej go swojej damie (po cichu proś pana Boga, żeby go nie wziena).

Toć możesz to tyż tak urządzić, żeby sie troszka namysłała, cy go wzięść, cy nie. Wtedy padej: „O, a więc dostolech kosza, — to jo sie byda musioł nad tym kąskiem zlitować” i wartko z śnim do gęby. Jeśli zrobisz to gryfnie i szykownie, to możesz być pewien, że ci sie to zawsze udo. Bydziesz miał sława, że mosz „bildung”, a twój żołądek tyż sie bydzie radowoł.

Co sie tycy jedzynio, dowej wdyci pozór. Somsiadowi michy nigdy z ręcyśka nie wydzierej i nie skrzec bez stół: „Mie! Mie sam dejcie przodzi!” (Dyć prawda, jest to bardzo nieprzyjemnie i markotnie dziwać sie przy podowaniu jodła, jak ci inksi nojwiększe i nojsmacniejsze kąski zabierajom, a tobie sie ino tako bździnka uostanie) — Toć mie tyż nieroz mory skiż tego bierom, ale trudno, pieronić nie śmiesz, a jako człowiek dobrze wychowany, cierpliwie musisz cekać swojej kolejki.

To widzisz, mój drogi, jest granica, kaj sie człowiek uod zwierzćio tak zasadniczo różni.

Zwierzęta nie znajom etykiety i nie poradzom sie maskować, bez co som takie miłe i kochane stworzonka.

Jeśli kiedyś podadzom jakoś potrawa, przy kierej nie wiesz, jak jom jeść, to uozprawiej swojej somsiodce coś wesolego i dowej pozór, jak to inksi robiom.

Toć może sie zdarzyć, że w bardzo fajnym towarzystwie wszyscy inksi to samo robiom i jeden dowo pozór na drugiego, bez co żoden nie je — ale takie wypadki som rzodkie.

Jak coś takiego zajdzie, wtedy nojlepiej zabier sie do jedzenio i jedz, jak ci sie podobo. — Wszyscy cie bydom naśladowali i podziwiali, jakiś ty „fajny” i dobrze wychowany!

Terozki musimy sie jeszcze dobrze zastanowić nad użyciem na-

rzędzi do jodła, jak: łyżki, widołki i noża. — Widołkom nigdy nie śmiesz przy stole dłubać w zębach, a jeszcze mniej dropać się z snią po łebie. Jest to niezdrowe i niebezpieczne, bo możesz się skałycć. (Do tych czynności weź se nojlepiej łyżka).

Na fajnym stole znajdują się wdycki wykałaczkci (po naszymu „zansztochry”). — Otóż z tymi wykałaczkami nie kop se nigdy w uszach, a to skiż tego, że mógłbyś se skalycć bębenki.

Noża nigdy nie bier do gęby, zwłozsca jak ostry, a to skiż tego... — zresztą skiż czego to wszystko jedno, jo padom nie brać do gęby i już.

Jeśli pani domu, to jest gospodyni, przypodkiem pado: „A dyc weznom se jeszcze kasek” — to nigdy nie padej: „O, dziękuja im pieknie, tylach tego świństwa zjod, że mi aż niedobrze!” Nie, tego nie rób! Skromnie podziękuj i powiedz, że zwykle mało jodsz. Można ci uwierzom!

No i bracie jeszcze jedno: Przy jodle nie mlaskiej! Nie mla-skiej, by nie pedzieli, że skończysz w „szlachthauzie”!

To by tak, zdo się, było wszystko, na co trza zwoać przy stole i jodle.

Po skończonym uobiedzie, pani domu (cyli gospodyni) wstaje uod stołu. Znacy to, że ci już więcej nic nie dajom, — żeś się już dość naćkoł, że się przyjemność skończyła i że terozki powinienes se poszukać inkszej malutkiej izdebki, kaj odsiedzieć musisz to, coś przedtem zjod.

Przedtem jednak podziękujesz swojej damie, to jest somsiodce uod stołu, za towarzystwo, zawiedziesz jom do salonu i uoddosz jakiemuś inkszemu mamlasowi. Obowiązek kawalera z wychowaniem spełniłeś.

Terozki starej się, abyś dostał cygara abo cygareta. Bier ino jedna — nigdy więcej. Opychanie sobie tym towarem kabzów, jest nieprzystojne i świadczy uo złem wychowaniu.

Terozki przy cygarze i cornej kawie, możesz dziepiero twoje mądrości wypakować i pokozac, że mosz „bildung”.

Tóż pozór! — nie popisywać się mądrościom i znajomościom uobcych wyrazów, ino godać tak, jak cie matka i szkoła polska nacyła. Nojlepiej na tym wyjdiesz i nie „zblamirujesz” się.

Terozki, kiej nadejdzie chwila pożegnania, podejdz nojprzód do pani domu, podziękuj pięknie za uobiad i powiedz, że margaryny ani łożu w jodle nic a nic nie było cuć; że jodła było mało, bo żoden z gości nie miał uodwagi nabrać se jeszcze więcej. Nigdy nie padej, iż jodło było dobre i smacne i że go było za wiela, bo jakbyś tak pedzioł, wzieniby ci to za złe, boby se myśleli że ich „sztychosz”.

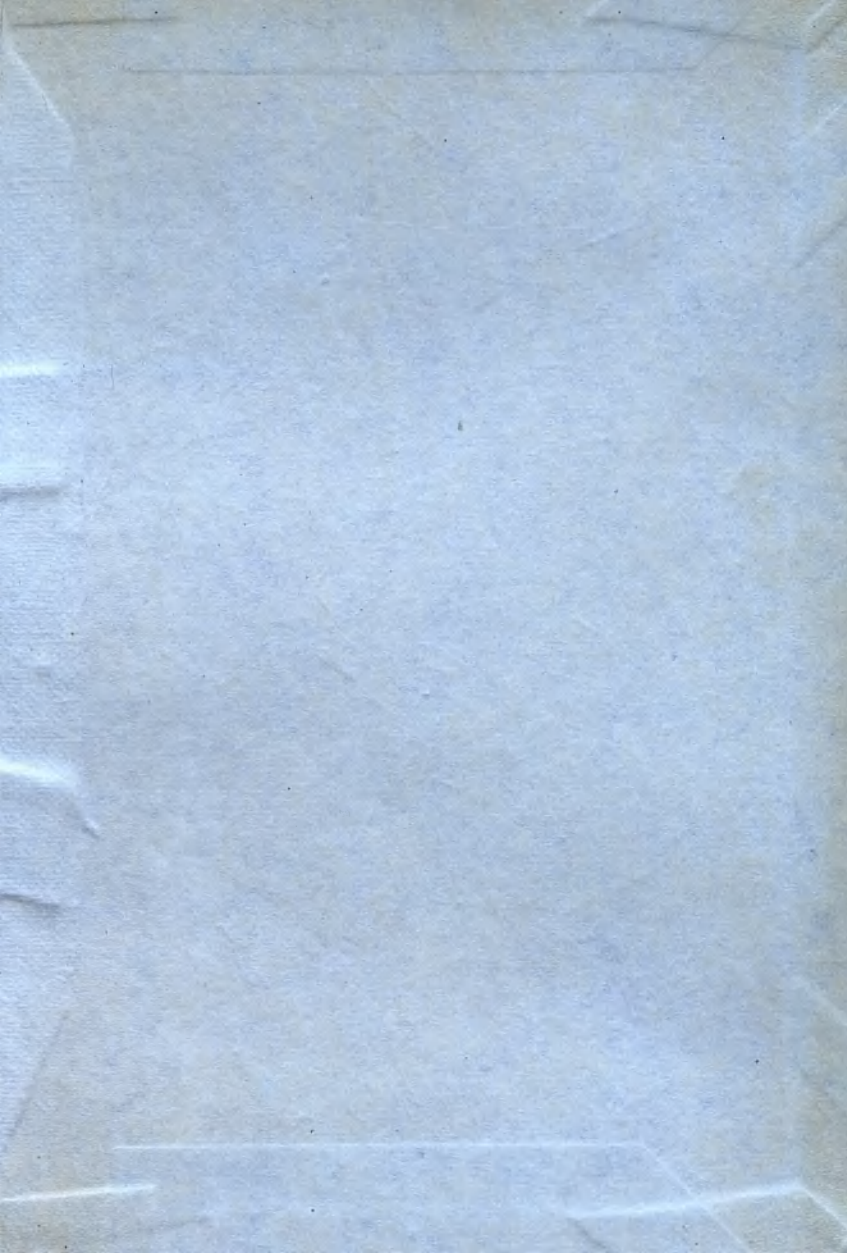
Nie padej tyż, że jodło było nad stan, i że w zupie musieli wywarzyć grzebień. Som to tak stare bery, że za nie już podczas uczty weselnej w Kanie Galilejskiej jakiś sorón uoberwoł po pysku.

Jakeś sie już bracie pożegnał z gospodorzami, idź se terozki do „antreju” (przedpokoju) — kaj ci dziółcha (to jest służąco) do twój „mantel”. Tu już jest dozwolone połechtać jom, — to jest, jeśli ta dziółszka jest gryfno i nie mo 8o lot.

Z piwnem, czyli „trynkgieltem” trza sie tak urządzić, żeby dać coś do kupy z inkszymi, a to skiż tego, żeby dziółcha nie zmiarkowała, wiela uod ciebie dostała.







Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000393976



I 343729

